

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Mars 1968

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

B.D.I.C.
ORZEŁ BIAŁY

MARZEC
1968

Nr 44/1191

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



*Na Litwę patrząc ...
Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony.*

*Tu tylko, w sercu, tu się schroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było ...*

ADAM MICKIEWICZ:

„Konrad Wallenrod“

FP 2156

W NUMERZE :

- J. Drobnik: „Iluzje“ czy „Obłuda“ 1
- Z. Grabowski: Angielska choroba 3
- Krystyn Ostrowski: „Vous me comprenez!“? 5
- T. Radwański: Zablockowany kanał 8
- F. Goldschlag: Jak ja to widzę 10
- A. Stambrowski: Wolność myśli i słowa 12
- Wiślan: Kraj kontrastów 14
- K. Brzozowska: Scena narodowa (II) Aktorzy wśród kłesk 16
- M. Tomkiewicz: Tam się też żyło 19
- W. Günther: Trzy szkice romantyczne 22
- J. W. Surynowa: Wspomnienia z 2-ej Brygady 24
- J. Poniatowski: Wspomnienie o Zygmuncie Szemplińskim 25
- KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“
„Domowa Nurse“: Operacja 27
- „Z Nowogródka“: Zapiski z roku 1940 28
- M. Wilczewska: Z Kazachstanu do domu 30
- Kage: Kronika wojskowa 32
- W. M.: Wystawa 75-lecia P. P. S. 33
- Pamięci Michała Grażyńskiego 34
- J. Ostr.: Notatnik kulturalny z życia polskiego 35
- K. E.: Przeważnie dla pań 37
- W. Stefański: Samarytanin 39
- Książki nadesłane 40

NASZA OKŁADKA

Krzyże na Górze Trzykrzyskiej w Wilnie wzniesione na miejscu dawnych drewnianych w r. 1916 wg. projektu Antoniego Wiwulskiego, przy czynnym współudziale w pracy ludności miasta.. (Z wyd. „WILNO I ZIEMIA WILEŃSKA“, r. 1930, ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie).



Gryf Publications Ltd

SIENKIEWICZ ŻYWY

16 rozpraw naświetlających
żywo i wszechstronnie
sylwetkę najpopularniejszego
z pisarzy polskich

Cena: 30 sh.

W setną rocznicę urodzin MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO KSIĄŻKA PAMIĄTKOWA

O POLSCE I WOJNIE

Myśli i aforyzmy Józefa Piłsudskiego

WYDAWNICTWO OZDOBNE

CENA: 18 s.

Tłoczone w Oficynie Poetów i Malarzy
w ograniczonej ilości numerowanych egzemplarzy

Do nabycia u wydawcy:

KONRAD LIBICKI — 11, Malbrook Road, London, S.W. 15.

LISTY DO REDAKCJI

ZAPOMNIANY BOHATER

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 4 stycznia br. minęło 25 lat od chwili, gdy pod kulami niemieckiego plutonu egzekucyjnego padł w Atenach, w Grecji, żołnierz Samodzielnej Brygady Karpackiej Jerzy Iwanow-Szajnowicz. Przewieziony angielską łodzią podwodną „Thunderbolt“ z Aleksandrii do Grecji, dokonywał tam fantastycznych czynów, przy których błędą wyczyny kinowe James Bonda, agenta 007. Wysadzał kolejowe i morskie transporty wojsk niemieckich i włoskich, amunicji, mosty kolejowe, zniszczył z pomocą sieci robotników około 400 samolotów w niemieckiej fabryce samolotów w Faleronie k. Aten, spowodował wybuch w centralnym lokalu Gestapo w Atenach, wysadził niemiecką łódź podwodną w bazie Skaramanga etc. etc.

Wydany przez swego kolege, zostaje aresztowany lecz udaje mu się uciec z Gestapo, obezwładniając posterunki SS,

Prowadzi dalej swą akcję sabotażową, lecz wydany przez swego przyjaciela z lat dziecińczych, zostaje ponownie ujęty i tym razem próby ucieczki pozostają bez rezultatu. W procesie sądu wojennego zostaje skazany na śmierć ale prokurator niemiecki oddaje hold na sali sądowej jego bohaterstwu. Przed wykonaniem wyroku odwiedza go późniejszy Regent Grecji, Metropolita Damaskinos. „Chciałem go pocieszyć — mówił po zakończeniu wojny Metropolita do naszego attaché wojskowego — ale tymczasem to on mnie pocieszał, mówiąc, żebym nie tracił nadziei, że Grecja będzie niedługo wolna...“ Przed samą egzekucją Jerzy usiłował raz jeszcze uciec, zrywając kajdanki i biegnąc do muru strzelnicy, ale dosięgła go kula. Przywiązano go do słupka i tam umarł z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ na ustach. Dziś śp. Jerzy Iwanow-Szajnowicz

(Dokończenie na przedostatniej
stronie okładki)

„ILUZJE“ CZY „OBLUDA“?

OD ROZWOJU polityki niemieckiej w odniesieniu do granicy na Odrze i Nysie zależy niewątpliwie przyszłość stosunków polsko-niemieckich. Trzeba się więc co jakiś czas zapytać, jak sprawa ta wygląda — odrzucając oczywiście wszelkie takie czy inne względy uczuciowe i opierając się na faktach. Bo w polityce liczą się tylko fakty, rozważane na trzeźwo, bez ubocznych zabarwień ani tego, co Anglicy nazywają „wishful thinking“. Same słowa są aż nazbyt często wyłącznie narzędziem dla zasłonięcia prawdy.

Jak wiadomo, Niemcy głoszą na temat granicy na Odrze i Nysie dwa — jeżeli się tak można wyrazić — dogmaty:

1) że sprawę granicy niemieckiej na wschodzie ustalić można dopiero w Traktacie Pokojowym, co w rzeczywistości oznacza, że obecnej granicy na Odrze i Nysie nie uznają i dążą do jej rewizji.

2) że w żadnym wypadku Niemcy nie użyją siły, ażeby granicę tę zmienić.

Otóż od samego początku za mało się podkreśla bezwzględna i jawna sprzeczność tych dwóch „dogmatów“. Ujął to bardzo trafnie w artykule, ogłoszonym w 20-tą rocznicę klęski armii niemieckiej (ostatni komunikat „Wehrmacht'u“ nosi datę 9 maja 1945) w „Frankfurter Rundschau“ z dnia 8 maja 1965 Iring Fetscher, pisząc w sprawie granicy na Odrze i Nysie:

„Kto bez przerwy głosi cele zagraniczne, o których każdy wtajemniczony wie, że nie mogą być osiągnięte ani za zgodą obecnych rządów odnośnych krajów ani też z aprobatą jakiegokolwiek innego przypuszczalnego ich rządu, i kto jednocześnie podkreśla, że chce dążyć do tych celów tylko drogą pokojową, o tym należy przyjąć, że jest albo romantycznym iluzjonistą albo też obłudnikiem!“

I ten sam autor powiada w innym miejscu: „Gdy w roku ubiegłym pewien amerykański historyk wyraził wobec mnie swój niepokój z powodu nieustannych niemieckich domagań

się rewizji granicy na Odrze i Nysie a ja mu wskazałem w odpowiedzi, że nawet najkrzykliwi mówcy Związku Ziomskowskich chcą odzyskać dawne ziemie wschodnie jedynie 'na drodze pokojowej', przypomniał mi, że również Hitler przez długie lata pragnął zrewidować granicę wschodnią tylko pokojowo.“

Moglibyśmy do tego dodać, że przed Hitlerem „pokojowo“ pragnęli zrewidować granicę z roku 1918 Stresemann i inni politycy niemieccy — po prostu dlatego, bo nie mieli siły, ażeby uczynić to inaczej!!! Hitler mówił to samo, póki siły nie miały. Widzieliśmy wszyscy, co nastąpiło, gdy ją odzyskał! A w ogóle trzeba jasno stwierdzić, że *wyrzekanie się czegoś, czego się nie ma, nic nie kosztuje i nie posiada dlatego żadnego znaczenia.*

Niestety, urzędowe stanowisko niemieckie jest zawsze to samo: Granice mają być ustalone dopiero w Traktacie Pokojowym, czyli innymi słowy, dzisiejsza granica na Odrze i Nysie dla rządu w Bonn nie istnieje! Urzędowych oświadczeń niemieckich tej treści można by przytoczyć bez liku. Ostatnio postawiono na konferencji prasowej w Bonn dnia 3 listopada 1967 kanclerzowi związkowemu Kiesingerowi między innymi następujące pytanie (przytaczamy teksty według Biuletynu Urzędu Prasy i Informacji Rządu Związkowego z dnia 7 listopada 1967):

„W swoim oświadczeniu rządowym i później powiedział Pan kilkakrotnie, że pragnie Pan znaleźć nowy język w stosunku do Polski. Ale odtąd mówił pan zawsze *Nie*, gdy chodzi o uznanie granicy na Odrze i Nysie...“

A na to kanclerz Kiesinger odpowiedział dosłownie: „To są dwie różne rzeczy: inny język w stosunku do Polski i kwestia uznania granicy na Odrze i Nysie... chcemy pojednania z Polską i chcemy — przy pełnym wskazaniu na to, że kwestia granicy może być uregulowana dopiero w Traktacie Pokojowym z całkowitym rządem niemieckim („gesamtdeutsche Regierung“), co nie tylko jest naszym stanowiskiem pra-

wnym, ale również stanowiskiem naszych sprzymierzeńców — szukać rozwiązań, które mogłyby być przyjęte przez oba kraje“... „Nasze wyrzeczenie się siły pojęte jest zupełnie poważnie“.

A więc cóż!? Stanowisko wciąż takie, jak je nazwał autor przytoczonego na wstępie artykułu — czyli „iluzjonizm“ albo też... — wolimy w tym wypadku, ponieważ mowa jest o wyraźnie wymienionej osobie, nie przypominać drugiego określenia. A do zdania o „szukaniu innych rozwiązań“ można zastosować zupełnie to samo nazwanie. Kto jak kto, ale kanclerz niemiecki powinien doskonale wiedzieć, że rozwiązanie „pokojowe“ jest tylko jedno: uznanie granicy.

Skoro jednak przytoczyliśmy już jeden artykuł bardzo dobitnie charakteryzujący sytuację, przytoczmy jeszcze drugi, tym razem wybitnego i znanego prawnika szwajcarskiego, Martina Stahlera, który zamieścił w lipcu 1966 w tejże „Frankfurter Rundschau“ artykuł pod tytułem: „Godzina prawdy wybiła“:

„Zrozumienie, że obecne granice ziem niemieckich według ludzkich osądzeń należy uważać za ostateczne, wyrzeczenie się fikcji, że można na temat tych granic rokować dopiero po zjednoczeniu (czytaj NRF i NRD, przyp. autora niniejszego artykułu), należeć będzie do założeń, które dopiero umożliwią rzeczywistą dyskusję na temat zjednoczenia“.

Otóż można powiedzieć z całą pewnością, że cała zagranica uważa dzisiaj możliwość rewizji granicy na Odrze i Nysie jako „fikcję“. Na ten temat wypowiedziały się zresztą wielokrotnie i wypowiadają nadal najpoważniejsze zagraniczne organy prasowe, jak — żeby wymienić tylko niektóre — francuski dziennik „Le Monde“, angielskie dzienniki „Times“ i „Guardian“, amerykański „New York Times“, duński „Politiken“, norweski „Arbeiderbladet“, szwedzki „Stockholms Tidningen“ (który to dziennik wzywał już w styczniu 1965 zachodnio-niemieckie partie polityczne do porzucenia „ilu-

(Ciąg dalszy na str. 2)

ANGIELSKA CHOROBA

DZIEDZICTWO WOJEN

AŻEBY zrozumieć obecną krytyczną sytuację Anglii, trzeba cofnąć się wstecz kto wie czy nie do pierwszej wojny światowej, którą Anglicy dalej nazywają jeszcze „wielką wojną”. Nazwa ta jest znamieną, albowiem dla Anglii wielką wojną była pierwsza wojna, a straty jej w zabitych, zaginionych i rannych przekroczyły trzy miliony. Nic dziwnego, że Anglia chciała za wszelką cenę uniknąć nowej, krwawej łaźni, która by nadwyreżyła stan biologiczny narodu definitywnie. Anglia nie chciała wojny z Niemcami, a gdy wreszcie w wojnę tę się wplątała, powiedziała sobie, że będzie oszczędzała sił ludzkich. O ile pierwsza wojna wytraciła świetne pokolenie, to druga wojna przyniosła w zabitych, rannych i zaginionych z całego Commonwealthu milion 250 tysięcy. W inwazji brzegu europejskiego w roku 1944 największe stawki rzuciła Ameryka, która miała do rozporządzenia nieprzebrany wprost rezerwuwar ludzki.

Wojna numer dwa zaczęła się dla Anglii dopiero wtedy, kiedy wojska niemieckie runęły na Belgię i Francję i kiedy pułki angielskie zostały zepchnięte na Dunkierkę, skąd salwowały się przy pomocy amatorskich niemal środków. Dopiero bomby Luftwaffe rzucone na Londyn uprzytomniły Anglii w pełni złowrogą nowinę, że znalazła się w wojnie i że ma przed sobą wroga, który nie daje pardonu.

Druga wojna światowa była oszczędna dla Anglii w rachunku biologicznym, ale za to kosztowna w sprzeczcie. Samolot jest drogą bronią, a Anglia oparła swoje kalkulacje militarne głównie na bombardowaniu Niemiec. Pomoc amerykańska okazała się zresztą nieodzowną i bardzo wcześniej w działaniach wojennych Ameryka oddaje Anglii do dyspozycji 50 jednostek morskich. Tak zaczęła się współpraca militarna między Anglią a Ameryką. Zadłużenie Anglii wobec Ameryki wzrosło niebywale, a W. Brytania musiała sprzedawać swoje inwestycje

zamorskie, obliczane na miliardy funtów szterlingów.

Anglia wyszła z drugiej wojny w stanie oszołomienia i niebardzo wiedziała, na jakim znajduje się świecie. Imperium brytyjskie przemianowano na Commonwealth, ale ten nie był już tak spoisty jak dawniej imperium. Pocieszano się, że cztery kraje wyszły zwycięsko z tej wojny, to jest Ameryka, Rosja, Anglia i Francja. W rzeczywistości wygrały tylko dwa państwa: Rosja i Ameryka, przy czym Rosja straciła ponad 20 milionów ludzi — ale te straty nie nadwyreżyły potężnej biologii państwa rosyjskiego. Anglia była tytułarnym zwycięzcą, ale w rzeczywistości przegrała tę wojnę, jeżeli chodzi o stanowisko swoje w świecie, zasięg swojego władania i wpływów, jak również i handel światowy. Anglia wyszła z drugiej wojny osłabiona ekonomicznie, militarnie i politycznie i zaczęła szukać dla siebie miejsca w tym nowym powojennym świecie, kierując się niezawsze najlepszym instynktem.

Automatycznie niejako narzucił się wniosek, że sojusznikiem numer jeden Anglii stanie się Ameryka, z którą wiązały Anglię wspólna mowa i przeszłość historyczna. Nie udało się jednak jakieś równe partnerstwo i Anglia w wielu wypadkach szła niejako w ogonie polityki amerykańskiej, tak jak przed wojną Francja ulegała wielokrotnie naciskom brytyjskim.

Od roku 1945 Anglia przeżywa to, co pewien ironiczny publicysta amerykański nazwał „klimakterium imperialnym”. Używa ona gestów, na które już nie ma pokrycia i przekonuje się raz po raz, że nie jest już państwem samodzielnym, ale krajem, który musi włączyć się w jakiś system — przede wszystkim system bezpieczeństwa. Dlatego Anglia poparła tak wydatnie plan Marshalla, a potem stała się współzałożycielem Sojuszu Atlantycznego, czyli NATO.

SPÓZNIONY PARTNER DO WSPÓLNEGO RYNKU

Orientacja pro-amerykańska polityki brytyjskiej znalazła wielokrot-

nie wyraz we wspólnych działaniach, a przypieczętowana została konferencją na Bermudach premiera Macmillana z prezydentem Kennedy. Ta konferencja na Bermudach przyczyniła się walcie do niechętnego stanowiska Francji i wywołała veto francuskie na forum Wspólnego Rynku. Francja doszła do wniosku, że Anglia jeżeli wejdzie do Wspólnego Rynku, będzie tam reprezentowała interesy amerykańskie. Tak czy owak, Anglia przegrała — przynajmniej na razie — swoją grę w stosunku do EWG i dzisiaj nie wiadomo, kiedy otworzą się na nowo wrota tej organizacji aby przyjąć spóźnionego gościa angielskiego. Jest to niepomiarna szkoda, że Anglia nie podpisała Traktatu Rzymskiego, powołującego do życia EWG przed jedenastu laty. Wówczas wszystko poszłoby gładko i nie powstałoby veto francuskie. Dzisiaj Francja powtórzyła to veto i wysuwa wobec kandydatury brytyjskiej zastrzeżenia dwójakie: że Anglia nie jest jeszcze dostatecznie zorientowana na Europę, oraz, że gospodarka angielska stoi na kruchych podstawach.

W tych warunkach Anglia kluczy w tej matni politycznej i ekonomicznej niebardzo wiedząc co zrobić. Zdłżenia imperialne jeszcze nie zostały rozproszone, czego dowodem polityka premiera Wilsona wobec Rodezji, której Anglia nie potrafiła narzucić wypracowanych przez siebie rozwiązań. Finansowo Anglia jest coraz bardziej zadłużona w rozlicznych bankach świata i musiała po długich wahaniach i ociąganiach dokonać drugiej już od roku 1945 dewaluacji funta. Politycznie Anglia doby Wilsona usiłuje dalej utrzymać tradycyjną rolę pośrednika i politycznego maklera, ale te próby nie zawsze się udają. Rosja chce rozmawiać w cztery oczy z Ameryką i we wszystkich kryzysach jakie nas nawiedziły od roku 1945 ostateczna ugoda przychodziła dopiero wtedy, gdy Ameryka z Rosją zasiadły przy jednym stole. Ministrowie brytyjscy jeżdżą po świecie częściej niż kiedykolwiek przedtem, ale skutki tych

(Ciąg dalszy na str. 4)

zorycznego sposobu myślenia“!!! itd., itd. Właściwie nie ma po prostu poważniejszego zagranicznego organu prasowego, który by tego zdania w taki czy inny sposób nie wyraził. „New York Times“ nazwał swego czasu (styczeń 1965) niemieckie dążenia rewizyjne nie tylko „iluzjami“, ale „pokarmem dla sowieckich i wschodnio-europejskich propagandystów“, zwracając poza tym uwagę na korzyści, które czerpią z nich dla zyskiwania zwolenników „neohitlerowcy“.

A tak zwane „stanowisko prawne“, o którym z uporem mówią niemieckie sfery rządowe i które wymienił raz jeszcze w wspomnianym powyżej wywiadzie kanclerz Kiesinger? Młodzi Niemcy sami zaczynają przyznawać, że „z żadnej z rzeczywistych albo domniemyanych zasad prawa narodów, na które się zwykło powoływać dla uzasadnienia niemieckiego roszczenia, nie wynika jednoznaczny tytuł prawny do ziem Odry i Nysy“ (ustęp z ogłoszonego ostatnio memoriału Związku Młodych Demokratów niemieckich, należących do partii liberalnej).

I wbrew twierdzeniu kanclerza Kiesingera, że na głoszonego przez niego stanowisku „prawnym“ stoją również „sprzymierzeńcy“ Niemiec, trzeba powiedzieć, że — pomijając nawet wyżej scharakteryzowane głosy opinii międzynarodowej — to „prawne“ stanowisko sfer rządzących w krajach „sprzymierzonych“ jest w istocie całkiem inne. Czyż nie wystarczy przytoczyć jasno i wielokrotnie wypowiedzianego zdania generała de Gaulle? A czy w Belgii prezydent Senatu Struye od lat nie podkreśla wytrwale i otwarcie konieczności uznania przez Bonn granicy na Odrze i Nysie? Czy w Senacie belgijskim już w maju 1962 przedstawiciele trzech (a więc wszystkich) partij politycznych, to znaczy chrześcijańscy demokraci, liberali i socjaliści, nie wyrazili, bez spotkania się z jakimkolwiek sprzeciwem, tej samej opinii? Czy w angielskiej Izbie Gmin zarówno poseł Labour Party Brooks jak też poseł konserwatywny Griffiths nie przemawiali za uznaniem tej granicy? Czy w dwa miesiące potem angielski minister spraw zagranicznych Brown nie zdradził w wyjaśnieniu komunikatu o wizycie Kosygina istotnego

stanowiska rządu brytyjskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie, chociaż ulegając naciskom niemieckim, je później zamazał? Czy holenderski minister spraw zagranicznych Luns w grudniu 1966 nie oświadczył w parlamencie, że rząd holenderski nie miałby nic przeciwko obecnej granicy na Odrze i Nysie jako niemieckiej granicy wschodniej, chociaż i on, ulegając oczywiście niemieckim naciskom, dodał ową „łagodzącą pigułkę“ o Traktacie Pokojowym. Z Danii donosili w związku z wizytą premiera duńskiego w Warszawie korespondenci pism niemieckich z Kopenhagi w styczniu 1967, że „w Kopenhadze jest tajemnicą publiczną, że rząd duński uważa granicę na Odrze i Nysie jako ostateczną niemiecką granicę wschodnią“. Norweski minister spraw zagranicznych Lyng stwierdził w listopadzie 1967, że „nikt dzisiaj nie życzy sobie rewizji granic Europy“. A nie zapomnijmy o formalnym uznaniu granicy na Odrze i Nysie przez Izrael, które to uznanie reżim warszawski tylko dlatego pominął milczeniem, ponieważ Moskwa — popiera Arabów w konflikcie arabsko-izraelskim!

Więc jak to jest z tym stanowiskiem prawnym niemieckich sprzymierzeńców? Możemy spokojnie powiedzieć, że cała zagranica, i to również rządowa, stoi na stanowisku nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie, a jeżeli tu i ówdzie dodaje „prawne“ zastrzeżenie o Traktacie Pokojowym, to jest to tylko *pigułka ostadzająca*, dodawana dla uspokojenia nacisków niemieckich. Znany polityk i mąż stanu na miarę międzynarodową, Paul-Henri Spaak, stwierdzając w artykule ogłoszonym w piśmie „Le Soir“ z dnia 19 lipca 1966, że nikt ze sprzymierzonych nie poparłby Niemiec „w zwiariowanym przedsięwzięciu użycia siły“ i że Niemcy „z drugiej strony wiedzą, że Polska ani też Z.S.S.R. nigdy nie zgodzą się na jakąkolwiek zmianę tego co jest“, napisał: „W rzeczywistości uznanie granic nie stanowi już dla Niemców Zachodnich prawdziwej ofiary. Odmowa zgody na to w mniemaniu, że w ten sposób zachowa się atut dla przyszłych rokowań, jest iluzją“.

Tak, iluzją! Ale zapytajmy się razem ze Spaakiem, po co ta iluzja?

Przecież rząd w Bonn nie jest tak naiwny, żeby naprawdę uprawiać chciał politykę „iluzji“! Więc jaki *prawdziwy i uchwytny* cel się za tym kryje? Czemu te gwałtowne naciski na rządy zagraniczne, ażeby nawet wtedy, gdy w rzeczywistości uznają one nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie, dodawały jednak tę uspakajającą „pigułkę“ o Traktacie Pokojowym? Skoro, jak o tym wszyscy wiedzą i co wszyscy stwierdzają, rewizja granic w drodze pokojowej jest iluzją — i mimo zapewnień niemieckich o nieużyciu siły — iluzją być nie przestanie, to *jaką drogę widzą rządowe Niemcy*, ażeby cel swój osiągnąć?

Bardzo to jest niepokojąca polityka — rządy zachodnie zrobiłyby lepiej, przestając stosować łagodzące pigułki przy swoich oświadczeniach. Bo o skuteczności takich pigułek świat miał już raz sposobność się przekonać.

W przyszłym artykule postaramy się scharakteryzować w zestawieniu z polityką rządu rozwój niemieckiej opinii publicznej na temat granicy na Odrze i Nysie. W tej dziedzinie można stwierdzić pewne objawy korzystne, szczególnie w młodym pokoleniu. Przytoczymy je chętnie, chociaż oceniając stosunki w Niemczech nie wolno zapominać, że waga i siła decyzji rządowych w polityce niemieckiej była zawsze dużo większa, niż wpływ opinii publicznej. W tej mierze stosunki w Niemczech różniły się zawsze i różnią do dzisiaj od stosunków w innych krajach.

Jerzy Drobnik

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

wojaży są minimalne. Anglia jednak wierzy ślepo w zasadę, że trzeba rozmawiać wszelkimi sposobami i że nie można przecinać kontaktów z Rosją jakie się już nawiązały. Kto wie, czy w tym punkcie Anglia nie ma racji, i że niepozorne jej wysiłki odnoszą przynajmniej ten skutek, że z Rosją rozmawiamy i że rozładujemy kolejne napięcia.

Wspomniany na wstępie tych rozważań publicysta amerykański zastosował swoje powiedzenie o „imperialnym klimakterium” — do Francji, ale trafniej byłoby zastosować to motto do Anglii. Francja bowiem odcięła się od swojego dawnego imperium i zrobiła na tym nienajgorszy interes. W. Brytania natomiast stara się zachować iluzję Commonwealthu mimo tego, że dwa co najmniej członki tej Wspólnoty, a zatem Kanada i Australia są w amerykańskiej sferze wpływów.

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE

W. Brytania podjęła od roku 1945 ambitne i piękne dzieło przebudowy społecznej. Relacje bogactwa i ubóstwa były przed drugą wojną zbyt jaskrawe, a statystyka powiada, że około 90% majątku znajdowało się w rękach 10% ludzi. Anglia postanowiła wprowadzić zasady sprawiedliwości społecznej i poszła po szlaki państwa opiekuńczego, dając najlepszą służbę zdrowia na świecie — za darmo. Oczywiście, to słowo „za darmo” traktować należy relatywnie, albowiem wszyscy obywatele W. Brytanii płacą składki ubezpieczeniowe. Służba zdrowia pochłania bodaj miliard funtów szterlingów rocznie, czyli sporą część budżetu W. Brytanii.

Te wielkie reformy zapoczątkowane przez rząd Partii Pracy w roku 1945 były konieczne. Warunki pracy i mieszkania warstwy robotniczej wołały niekiedy o pomstę do nieba. Przedział między dyrektorami a robotnikami był bodaj największy ze wszystkich krajów Europy. Zamiłowanie do respektowania hierarchii sprawiło, że robotnik angielski patrzył coraz niechętniej na fabrykantów i dyrektorów, a proletariats angielski miał w swojej podświadomej pamięci nieludzką rewolucję przemysłową. Była ona nieludzka dlatego może, że była rewolucją pio-

nierską. W innych krajach Europy przebieg tej rewolucji przemysłowej był łagodniejszy a kontrast między kapitałem a robotnikiem był o wiele mniejszy.

Trzeba sobie uzmysłowić jak ogromne były zadania W. Brytanii po wojnie: wprowadzić zasady sprawiedliwości społecznej, zreorganizować gospodarke, która przez lat sześć sparaliżowana była wojną i wyjść znowu na szlaki handlu światowego. Były to trudne zadania i nie dziwnego, że Anglia po dziś dzień ich nie rozwiązała.

Jeszcze na początku rządów premiera Wilsona Anglia łudziła się, że potrafi oprzeć się na Commonwealthie i że przy wsparciu Ameryki zdoła odbudować swój przemysł i handel. Okazało się to złudzeniem i dlatego premier Wilson złożył swą kandydaturę w EWG.

„ZA MAŁO I ZA PÓZNO“

Tragedią ostatnich lat jest to, że Anglia nie zdecydowała się na wejście do Europy pomimo tego, że ustami Churchilla nawoływała od roku 1945 do stworzenia Wspólnoty Europejskiej. Zaważyły tutaj zadawnione urazy i niechęci wobec Kontynentu i konserwatyzm mas angielskich, które nie chciały dostrzec olbrzymich korzyści jakie wynikały z przynależności do Wspólnego Rynku. Akcja angielska podpada pod słynną syntezę „Too little and too late” (za mało i za późno). Spojrzenie Europy na Anglię jest dzisiaj raczej współczujące niż krytyczne. Kontynent zdaje sobie sprawę z tego, że Anglia walczy z niebywałymi trudnościami i że jej inicjatywa w polityce zagranicznej jest niewielka.

Bilans płatniczy W. Brytanii przeżywa przynajmniej raz do roku moment krytyczny, a nawroty tych kryzysów stały się akompaniamentem każdego roku. Przewaga importu nad eksportem nie została złamana, co wynika z dwóch co najmniej faktów: Anglia dalej sprowadza gros środków spożywczych ze świata, a następnie eksport angielski trapiiony jest ustawicznymi strajkami, co powoduje stratę dni roboczych i zatary niewysłanych towarów w dokach. Poza tym towar angielski, który przed wojną miał renomę najbardziej so-

lidnego na świecie, nie jest już dzisiaj tego samego gatunku. Powodowane to jest dużym lenistwem robotnika angielskiego, który stroni nieraz od rzetelnej roboty, a bardzo często idzie po szlaku tego co w Polsce ludowej zowie się brakoróbstwem. Rząd Wilsona zdaje sobie z tego sprawę, że trzeba przełamać tę apatię świata robotniczego, ale musi postępować bardzo ostrożnie, aby nie wywołać starcia ze związkami zawodowymi. W pewnym sensie Anglia jest dzisiaj przykładem ukrytej dyktatury proletariatu. Związki zawodowe są potęgą, która wyrosła nad głowę państwa. Rozwiązania jednak tej sytuacji nie widzimy, podobnie jak nie można liczyć na zahamowanie strajków wybuchających nieraz z przyczyn całkowicie błahych. Robotnik angielski nie okazuje poczucia społecznego. Jest to pożałowania godny fakt, albowiem przyszli przywódcy W. Brytanii nie będą należeli już do arystokracji, czy tak zwanych wyższych sfer, ale raczej rekrutować się będą spośród warstw, które wydały przed tym Ernesta Bevina.

Wydaje się, że Anglię zbawić może tylko radykalna zmiana całego układu rzeczy. Przede wszystkim Anglię nie stać jest na bardzo kosztowne zbrojenia nuklearne. Powinna ona skoncentrować się na użytkowaniu energii atomowej dla celów przemysłowych, a arsenał nuklearny zostawić Ameryce. Powinna wycofać się ze swoich pozycji na Bliskim i Dalekim Wschodzie, z wyjątkiem Hong Kongu. Rząd Wilsona czyni raczej nieśmiałe wysiłki, aby zmniejszyć zobowiązania W. Brytanii na wschód od Adenu. Potęga związków zawodowych powinna być przykrócona, a dyscyplina pracy zwiększona. Restrykcyjne zarządzenia w stosunku do pracy powinny być przekreślone, albowiem paraliżują inicjatywę. Jeżeli chodzi o eksport, to przez włączenie się do EWG Anglia zyskałaby olbrzymi rynek. Nie może jednak neglizować faktu, że eksport światowy stał się bardzo bezlitosnym terenem walki. Wszyscy chcieliby eksportować i stworzyć korzystne bilanse płatnicze. W roku 1939 eksport brytyjski nie miał ani części tych konkurentów, którzy obecnie czyhają na mniejsze lub większe kąski eksportowe.

(Dokończenie obok)

„VOUS ME COMPRENEZ!“?

Wydaje się, że ani rząd Labour Party, ani konserwatywny nie potrafią wyleczyć narodu angielskiego ze stanu apatii i że nie potrafią przełamać złych nawyków jeżeli chodzi o pracę fabryczną. Oczekiwanie na jakiś cud, który ma się wydarzyć jest naiwne, a powracające corocznie kryzysy są alarmujące. Ciężar zagadnienia tkwi nie w takich czy innych posunięciach, ale w imponderabiliach i w nastroju psychologicznym. Anglii potrzebny jest nawrót do ducha Dunkierki, czy ducha Battle of Britain. Musi nastąpić przełamanie choroby, która trapi organizm angielski. Nie jest to choroba ciężka, ale raczej coś jak grypa, która wlecze się tygodniami i z której nie można się wydobyć. Państwa kontynentu przeszły przez straszliwe doświadczenia, ale te doświadczenia stały się bodźcem i szokiem do wytężonej pracy. Anglii zabrakło prawdziwego szoku wojny i nie może się wydobyć ze swojej grypy, którą nadaremnie leczą konserwatywni czy socjalistyczni lekarze.

Problem angielski jest zagadnieniem psychologicznym: naród musi się zgodzić na wyrzeczenie się bomby nuklearnej, musi zgodzić się na ewakuację pozycji angielskich na wschód od Adenu i musi zrozumieć, że Anglii nie stać jest na te rzeczy. Anglia musi porzucić swoje sny o potęgę i wejść do Europy — ale do tego potrzeba znowu przemiany zakorzenionego sposobu myślenia i przełamania uprzedzeń w stosunku do Kontynentu. Anglia musi odzyskać swoje poczucie misji w Europie, a także i na forum międzynarodowym, gdzie jej głos rozsądku zawsze jest cenny. Tylko zmiana sposobu myślenia może pchnąć Anglię na nowe twórcze tory i tylko przez nowe wyznaczenie wiary Anglia może znaleźć swoje miejsce w Europie. Z wielkiego mocarstwa stać się ona może drugą Szwecją, tylko nie neutralną, ale czynnie zaangażowaną we wspólną obronę Europy.

Zbigniew Grabowski

**OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA**

CZYŚMY zrozumieli? — Owszem, — ale nie zupełnie.

Ponad głowami komunistycznych „gospodarzy“ generał de Gaulle przemawiał w Polsce jawnie i niedwuznacznie do całego narodu polskiego, dając wyraźnie do zrozumienia, że powiedziałby więcej — gdyby mógł. Zmienił w ten sposób charakter swojej wizyty, do której wielu z nas odnosiło się przedtem nie bez obaw. Będąc z konieczności oficjalnym gościem reżymu, zdołał mimo to nawiązać bezpośredni kontakt ze społeczeństwem i do niego w swych przemówieniach się zwracał. A że naród jest zniewolony — działo się to na podobieństwo odwiedzin kogoś bliskiego w więzieniu, i oględnej rozmowy w obecności dozorczy.

Dziwić może, że władze komunistyczne do tego dopuściły. Po uprzedniej jego podróży do Moskwy, trudno im co prawda było od przyjmowania de Gaulle'a się uchylić. Nawet niedojście do skutku spotkania z Prymasem, upokarzające dla nas i bolesne, miało ten dobry skutek, że podkreśliło na zewnątrz więzienny charakter wizyty i uczyniło jej charakter bardziej zrozumiałym.

Co miał Prezydent Francji nam do powiedzenia? Bardzo wiele i rzeczy ważne. Powiedział, że jesteśmy narodem wielkim który ma w świecie i w Europie przed sobą doniosłą rolę do spełnienia. Wzywał do wyjścia z marazmu i do prowadzenia polityki samodzielnej i niezależnej, na wielką miarę. Wznowił mit „siostrzycy Francji“, który my wciąż w głębi duszy piastujemy i w który chcemy wierzyć — mimo, że Francja zdawała się o nim zapominać.

Wobec kompleksu niższości jaki, nie dziwnego, nasz naród obecnie ogarnął — było to potrzebne, choć z rozpedu wskazówkę w drugą stronę może za daleko przechylił. Trąciło to niemal dawną „mocarstwowością“ której się teraz wyrzekamy, a nie którzy nawet wstydzą. Pierwszy raz od wielu lat, od czasów „Polski jako natchnienia świata“, obcy mąż stanu do nas w ten sposób przemówił. Wykazał przytem znajomość psychiki

polskiej, którą musiał wynieść jeszcze z dawnych czasów — choć tyle się zmieniło.

Z Niemcami rozprawił się również na naszą rzecz. Mowa w Zabrze, chociaż oględna i pozornie nie dość jasna, postawiła jednak kropkę nad i, potwierdzając stanowisko Francji w sprawie granicy. Jej sformułowania implikują ponadto, że były to ziemie zawsze polskie, a więc odzyskane — a nie uzyskane.

O tym, że de Gaulle wiedział co robi, jakie ma w ręku atuty, świadczy fakt, że ani komuniści, ani Niemcy, jawnie nie zareagowali. Wzięli wodę w usta. Ale myśmy zrozumieli. Chodzi o uaktywnienie polityczne Polski po linii jej tradycji zachodnich. Wątpię czy inny zachodni (mam na myśli anglosasów) mąż stanu na takie postawienie sprawy, i to w tych warunkach, by się zdobył.

Naród w Kraju pokwitował Prezydenta Francji owacyjnym przyjęciem. Na Emigracji, Rada Trzech, w swym piśmie do niego, którego treść podał do publicznej wiadomości Przewodniczący Egzekutywy w swej mowie noworocznej, wyraziła mu wdzięczność i uznanie.

NIEWIADOME

Pozostaje wszakże w polityce de Gaulle'a wiele rzeczy niezrozumiałych, które muszą budzić obawy i wątpliwości. Jego sposób prowadzenia polityki podobny jest do gry w pokera. Partnerzy zaś jego, czy antagoniści, państwa anglosaskie, potrafią raczej grać w brydża, w którym się często licytuje i karty na stole rozkłada, pozostawiając partnerowi rozgrywkę. Nie uchyla się on nawet od gry w kłipe z komunistami, choć wie, że ma do czynienia z szulerami.

Przy tak krzyżujących się metodach gry politycznej, dobry gracz, musi mieć przewagę... jak długo karta mu nie najgorzej idzie, pod warunkiem wszakże, by nie dał sobie w nie zaglądać i nie dał po sobie poznać jakie następnie zrobi posunięcie. Nadto zaś rozgrywa on równo-

(Ciąg dalszy na str. 6)

czesnie wiele partii, tak że tym trudniej jest się zorientować, do której się odnosi, to co w danej chwili robi.

Nie dawno odbyło się w Londynie publiczne zebranie na temat polityki de Gaulle'a, na którym zabierał głos szereg naszych znakomitych publicystów. Zastanawiającym było, jak bardzo poglądy były rozbieżne, a z uporem i zadzierzycie stawiane i bronione. Ostatecznie nic nie wyjaśniono. Stoimy najwidoczniej wobec całkowitych niewiadomych. Miało się wrażenie, że zdrowy instynkt publiczności, wyrażany zapytaniami i oklaskami, był jeszcze najbliższy właściwej oceny.

Do jakiego stopnia zachodzi podobieństwo do gry w pokera, świadczą rozgrywana wciąż sprawa jednoczenia Europy. Jest to niewątpliwie najważniejsza partia, jaką de Gaulle się para. Mimo to nie wiadomo nawet, czy naprawdę chce, by doszło ono do skutku, a jeżeli tak, to w jakiej formie i w jakim stopniu, Niektórzy nawet myślą, że chciałyby całą sprawę zlikwidować i taki właśnie wynik uważałyby za swoją wygraną.

Jedni są pewni, że chce tylko luźnej współpracy politycznej, przy najściślejszej gospodarczej, oczywiście, i że tym ma być owa sławna „Europe des Patries“. Inni sądzą, że widzi w tym tylko etap przejściowy, mający ułatwić trudny i długi pro-

ces pełnego zjednoczenia na kształt Konfederacji Stanów Zjednoczonych. Byłaby to w takim razie droga stopniowa i powolniejsza, dająca rzekomo większe szanse osiągnięcia celu, wobec olbrzymich trudności jakie są jeszcze do pokonania.

Czy de Gaulle ma zamiar w ogóle nie dopuścić W. Brytanii do Wspólnego Rynku i Zjednoczonej, takiej czy innej Europy, czy też chce to odwlekać i na jak długo, — jest również sprawą kontrowersyjną. Moim zdaniem jest on temu zasadniczo przeciwny — właśnie w interesie lepszego jednoczenia się Europy. Pośrednio potwierdzało by to ocenę, że w rzeczywistości chce najściślejszego zjednoczenia i wszechstronniejszego, — byle jego własnymi drogami i sposobami, tak by mógł nadać przyszłej Europie taki kształt jaki mu najbardziej odpowiada. Sprawa wejścia Anglii do Europy jest tak ważna, skomplikowana i niebezpieczna, że należałoby omówić ją oddzielnie.

URAL

Nie wiemy nawet jaki obszar i które „ojczyzny“ ta „Europa Ojczyzn“ miałyby obejmować. Ostatnio dochodziły od strony francuskiej odgłosy, że „Szóstka“ na długo może sama wystarczać. W każdym razie bez Anglii i tych którzy się równocześnie zgłosili. Niedawno stawał de Gaulle jednak sprawę inaczej. Europa Zjednoczona miała obejmować cały kontynent europejski, jak długi i szeroki, aż „po Ural“. Tym „Uralem“ zabił światu ćwieka w głowę. Do dziś dnia nie ma przekonywającej interpretacji. Doszło do tego, że chciano to powiedzonko uważać za po prostu przemówienie się, lub za skutek niedostatecznej znajomości geografii. Francuzom nieraz się to zdaża. Ale nie Generałowi. Po nim się to nie pokaże. Wydaje się, że był to chwyt taktyczny, bardziej zrozumiały na tle ówczesnej sytuacji tj. przed chińską „rewolucją kulturalną“, gdy zagrożenie Sowietów przez Chinę było groźną niewiadomą (i jeszcze jest, moim zdaniem). W tych paru słowach zawierać się miało powiedzenie Rosji, że jej wschodnią, przyrodzoną granicą jest Ural i że tylko w tych granicach naturalnych mogłaby kandydować do wspólnoty z europejskim Zachodem. Oznaczało-

by to odrzucenie imperializmu rosyjsko-sowieckiego. Można się domniemywać, że odnosiliby się to znowuż do wszystkich terytoriów etnograficznie nierosyjskich: zapewne więc do Ukrainy, Białorusi, Kaukazu itp., itp. Od jakiegoś czasu Ural w ustach francuskich przestał się pojawiać. Zbiega się to z powrotem Prezydenta Francji z podróży po Rosji. Wygląda na to, że zrezygnowano z niego — a może tylko złożono na zapas do lamusa.

EUROPA ŚRODKOWA

W czasie podróży do Polski pojawiły się nowe koncepcje. Nie ma już mowy o Europie Środkowo-Wschodniej — która obejmowała i Rosję (do Uralu). Ukazał się nowy podział. Europa Wschodnia — z Rosją i Europa Środkowa — z Polską oczywiście. Europa Środkowa — to państwa komunistyczne odcięte obecnie Żelazną Kurtyną. Miałyby one wejść w przyszłości w skład zjednoczonej Europy. Wschodnia pozostawałaby poza nią — przynajmniej do czasu. To nowe ujęcie jest oczywiście bardziej realistyczne i lepiej nam odpowiada. Powinniśmy się tego trzymać i stale go używać. Sformułowania de Gaulla mają to do siebie, że choć z razu wywołują sprzeciwy, ostatecznie się przyjmują — nawet u przeciwników. Pamiętajmy więc, że Polska leży w Europie Środkowej, a nie w Środkowo-Wschodniej.

Wynikałoby z powyższej interpretacji, że polityka de Gaulla stawia sobie za cel Europę zjednoczoną na możliwie największym terytorium kontynentalnym, choć już słyszeliśmy, że tak jak jest teraz — mogłoby wystarczyć. I ta więc sprawa pozostaje niewyjaśniona. Być może, iż pierwsze — to program na dalszą przyszłość, optymalny. Drugie — na czas najbliższy.

SUPERMOCARSTWA

Najważniejsze niewiadome, to rozgrywki Prezydenta Francji z Ameryką i Sowietami i cele tych rozgrywek. Nie poważne jest przypisywanie mu, że się w nich kieruje animozją i porachunkami za upokorzenia, lekceważenie i przeszkody jakich doznawał ze strony Aliantów

BIBLIOTEKA „KULTURY“

TOM 151 — SERIA
„ARCHIWUM REWOLUCJI“

ALEKSANDER
WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład
ADAMA CIOLKOSZA

Ze wstępem
GUSTAWA
HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Wstrząsający dokument
z okresu stalinizmu.

Cena sh. 50/-, F 30, dol.6,50

w czasie wojny w swej walce o wolność i wielkość Francji. Byłoby rzeczą ludzką, gdyby sprawiało mu to satysfakcję, ale nie można przypisywać mężowi stanu tej miary, że w swej polityce daje się powodować motywami personalnymi, gdyż one musiałyby sprowadzać ją na manowce.

Wygłada natomiast na to, że de Gaulle liczy się wciąż nadal i bodaj, że coraz bardziej z faktem, iż Sowiety mogą pokusić się ponownie o zagarnięcie, bronią konwencjonalną, reszty kontynentu europejskiego. Obawia się, że udział USA w obronie Europy, ze strachu przed użyciem broni atomowej, może zawieść. NATO okazałaby się wtedy zbyt słaba. Jedyny ratunek widziałby, w tak czy inaczej skonsolidowanej politycznie i wojskowo Europie. Taka Europa stanowiłaby siłę równomierną z supermocarstwami i mogłaby prowadzić, nie wątpię, że w przymierzu z Ameryką, samodzielną politykę i obronę.

Proces politycznej konsolidacji nie jest wszakże łatwy, nie tylko ze względu na wielkie tarcia wewnętrzne między poszczególnymi „ojczyznami“, ale przede wszystkim dlatego, że cięży nad nim kontrakcja sowiecka, która może w każdej chwili zacząć działać — nie tylko środkami pokojowymi. Tolerowanie przez Rosję tworzenia się Europy jest do pomyślenia wtedy, kiedy byłoby jasne i oczywiste, że powstaje ona nie jako sprzymierzeniec Ameryki i pod jej egidą, ale że przeciwnie, ma z nią wiele zatargów i sprzeczności, na skutek których istnieją szanse, że pozostałaby przynajmniej neutralną, w razie konflagracji olbrzymów. Wśród wielu czynników, te, zdają się mieć na de Gaulle'a wpływ dominujący; na jego ustosunkowanie się do Stanów Zjedn., a w odwrotny sposób, jeżeli chodzi o Sowiety. Karta chińska, której przedtem próbował, mając zapewne to samo na względzie, — spaliła na panewce.

* * *

Staralem się zajrzeć pod maskę wytrawnego pokerzysty i spenetrować sprzeczności i niewiadome, które się za nią kryją. Są to tylko niektóre aspekty, gdyż gra on równocześnie na wielu instrumentach i na wielu klawiaturach. Nie pozwała to

nawet ocenić czy gra dobrze. Dlatego polityka de Gaulle'a wywołuje tyle zastrzeżeń, nieporozumień i sprzecznych komentarzy, i budzi obawy czy jest słuszna i czy nie jest aż tak skomplikowana, że łatwo wszystko może się poplątać. Nieodwracalne osiągnięcia Wspólnego Rynku stanowią wszakże oś, dookoła której sytuacja będzie się koncentrować i stopniowo układać we właściwym kierunku.

* * *

Spenetrowanie celów politycznych de Gaulle'a nie jest jednak tak ważne, jak by się mogło zdawać. Daleko ważniejsze jest poznanie dróg, którymi do nich prowadzi, oraz zadań pośrednich i doraźnych jakie sobie stawia.

Czołowi mężowie stanu będący u władzy, nie zwykli myśleć o tym, co będzie po ich śmierci. Następców nie sposobią, ani nie wskazują. Spodziewają się, że ich epigoni będą prowadzili ich dzieło z pietyzmem dalej. Liczą na nich „jak ktoś — na Zawsze“, i — zwykle zawodzi to na całego. Jeżeli nawet jakiś czas przy władzy zdołają się utrzymać, i lojalnie próbują kontynuować politykę wodza, tak jak im się zdaje, że on by ją prowadził, zwykle nie potrafią, wychodzi inaczej i źle.

Gdy de Gaulle'a nie stanie — zapewne będzie to samo. Wkrótce przyjdą nowi ludzie, ci czy inni, i powrócą do koncepcji integralnej unifikacji Europy. Zmuszą ich do tego konieczności gospodarcze i opinia publiczna. Momenty biologiczne każą przewidzieć, że wielu z nas tego dożyje. Innymi słowy, wolno oczekiwać, że de Gaulle nie zdąży osiągnąć większości swych zamierzeń. Ważnym więc jest zdawać sobie sprawę w jakim stadium będą się one wtedy znajdowały. Jaką spuściznę swoim następcom zostawi. Jakie zostaną punkty wyjścia. Choć nie wiemy kim będą, ich przyszła polityka łatwiej od degaullońskiej da się przewidzieć i wyobrazić. Potrzebna jest po temu świadomość stanu rzeczy, wobec którego staną. Polityka podobno składa się zawsze tylko z samych punktów wyjściowych i umiejętności właściwego ich dobierania.

A nie znamy dnia ani godziny...

Krystyn Ostrowski

Staraniem Komitetu
Uczczenia
SETNEJ ROCZNICY
URODZIN
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

B.D.I.C

ukazała się **PŁYTA**

zawierająca przemówienie

**Józefa
Piłsudskiego**

nagrane w roku 1924
przez firmę B. Rudzki
w Warszawie

Na tejże stronie płyty

Etiuda Rewolucyjna
w wykonaniu
J. Kropiwnickiego
Pierwsza Brygada
fragment w wykonaniu
orkiestry

Na 2-iej stronie płyty

Wypowiedzi
Józefa Piłsudskiego
z lat 1919—1921
czyta Józef Opieński
„O jednej z prawd
życia“
„O ofierze w pracy
dla Polski“
„O cywilizacyjnej
misji Polski“

CENA 30 sh., przesyłka 2/6
US \$ 5, włącznie z przesyłką

DO KSIĘGARNI POLSKIEJ
ORBIS
66, KENWAY ROAD,
LONDON, S.W. 5.

Date

Zamawiam płytę z przemówieniem
Marszałka Piłsudskiego
i załączam należność

£

\$

Nazwisko

Adres

ZABLOKOWANY

DWUKROTNIE, w ciągu jednej tylko dekady, kanał sueski został na rozkaz prezydenta Nassera zablokowany, po raz pierwszy, w czasie interwencji francusko-brytyjskiej, pod koniec października 1956 roku, a po raz drugi, w czasie sześciodniowej wojny Izraela z siłami tzw. zjednoczonej republiki arabskiej w czerwcu 1967 roku. Od tego czasu, na wodach „gorzkiego jeziora“, położonego na południe od Ismailii, 15 statków handlowych należących do różnych państw, głównie zachodnio-europejskich (w tym dwa Polski ludowej), czeka od czerwca ub. roku na odblokowanie kanału. Na odblokowaniu zależy w pierwszym względzie krajom, spro-

wadzającym ropę naftową z zatoki perskiej, których statki zmuszone są krążyć naokoło Afryki co w znacznym stopniu wpłynęło na podrożenie transportu, w wymianie handlowej z państwami położonymi „na wschód od Suez“.

Otwarcie kanału zależy będzie od ostatecznego zlikwidowania konfliktu między Izraelem, a rządzoną przez Nassera ZRA. Konflikt, jeśli Nasser kierować się będzie zdrowym rozsądkiem, może zakończyć się pokojowo, zwłaszcza, że Izrael, poza małą biblijną, częścią Jeruzolimy, nie ma żadnych terytorialnych roszczeń, a tylko żąda bezpieczeństwa i równego z innymi państwami prawa żeglugi tak w kanale jak i zatoce Aqaba. Może jednak, zwłaszcza po dobrojeniu Nassera przez Sowiety, doprowadzić do nowego konfliktu zbrojnego, jeśli ambitnemu Nasserowi grozić będzie utrata stanowiska wodza zjednoczonych krajów arabskich (co dzisiaj na świecie jest zjednoczone?). Wprawdzie straty poniesione na skutek zamknięcia kanału, obliczone na około 100 milionów funtów szterlingów rocznie, postanowiły pokryć mu Libia, Arabia Saudyjska i Kuwait, nie określono jednak na jak długo. W międzyczasie wielkie towarzystwa nafciarskie zamawiają w Japonii supertankowce, aby na zawsze niezależnić się od nowego zablokowania kanału. Jeden z takich tankowców o zdolności przewożenia około 280 tysięcy ton ropy, spuszczonej został niedawno na wodę. Ponadto kanał się zamula, a wystarczy przypomnieć, że odblokowanie w 1956/1957 trwało przeszło 5 miesięcy.

KANAŁ SUESKI

Zlikwidowania konfliktu w jeden z przytoczonych sposobów należy spodziewać się w ciągu bież. roku. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, iż chęć „odkucia“ się drogą zbrojną, nie ograniczy się tym razem tylko do wojny żydowsko-arabskiej, a w ogóle istnienie kanału sueskiego stanie wtedy pod znakiem zapytania. W związku z tym nie od rzeczy będzie zapoznanie czytelników w możliwie krótkim opisie, tak o kanale jak i półwyspie Sinai, którego bogactwa były dotychczas szerokiemu ogółowi mało znane.

Twórcą kanału sueskiego, który w przyszłym roku obchodzić będzie 100-lecie swego istnienia, był dyplomata francuski inżynier Ferdinand de Lesseps. Z projektem połączenia Morza Śródziemnego z zatoką Suez, Lesseps wystąpił już w roku 1859, a po uzyskaniu od rządu egipskiego licencji i

po długich negocjacjach z rządem tureckim powstała spółka pod nazwą Canal Maritime de Suez z kapitałem zakładowym 200 milionów franków. W. Brytania, która początkowo odnosiła się do projektu z wielką niechęcią, na była ostatecznie za kwotę czterech milionów funtów szterlingów, około 177 tysięcy z ogólnej emisji 400 tysięcy akcji, wartość posiadanych przez Anglików akcji w 1956 r., notowana była na giełdach na kwotę około 28 milionów funtów.

Długość kanału wynosi prawie 100 mil, szerokość 450 stóp, przy głębokości kanału nawigacyjnego 34 stóp, co pozwala na przejazd statkom atlantyckim i wielkim jednostkom floty wojennej. Kanał nie posiada żadnych śluz, ponieważ różnica w poziomie wody, spowodowana przyływem i odpływem dochodzi w kanale tylko do 4 stóp. Przekroczenie kosztów budowy posłużyło na rozszerzenie jego części nawigacyjnej. Piaszczysty przekop wykonano przeważnie tanią siłą ludzką i w roku 1869 kanał został otwarty dla komunikacji.

W 1888 r. zawarta została między rządem egipskim umowa międzynarodowa, w której rząd egipski zagwarantował żeglugę w kanale statkom wszystkich narodów, tak w czasie pokoju jak i wojny. W 1954 r., w związku z opuszczeniem przez W. Brytanię bazy w Suezie, rząd Nassera gwarantując tę raz jeszcze zadeklarował. W 1956 r. Nasser nagle i bez uprzedniego zawiadomienia akcjonariuszy, kanał upaństwowił, a wycofanych przez spółkę pilotów, zastąpił pilotami różnych narodowości. Z końcem października 1956 r. w związku z francusko-brytyjską interwencją, kanał został przez Nassera zablokowany, a ponownie otwarty dla żeglugi w marcu 1957 r. W czerwcu 1967 r., gdy wojska Izraela zbliżyły się do rejonu kanału, Nasser polecił zablokować go na nowo.

Należy jednak przypomnieć, iż wbrew umowom z 1888 i 1954 roku, Nasser zabronił używania kanału nie tylko statkom Izraela, ale również nałożył „embargo“ na towary kierowane do i z portów izraelskich.

PÓLWYSEP SYNAJ

Położony między Suezem a zatoką Aqaba półwysep Synaj, o obszarze około 12,000 mil kw. stanowi głównie dziką pustynię, przepasaną na północy i południu granitowymi pasmami gór, które na południu osiągają wysokość około 8,000 stóp, wśród nich Jebel Musa, znana z biblii góra Synaj. Patrząc

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wyłączne przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE
O IDEOLOGIACH 20/-

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT 25/-

Singer Bernard

OD WITOSA
DO SŁAWKA 30/-

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA
3 tomy 145/-

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI
tom I 33/6

Przesyłka każdej książki 3s.

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK

K A N A Ł



na mapę, odnosi się wrażenie, że cały obszar pokryty jest tylko piaskiem i dla posiadającego państwa nie ma żadnej wartości. Inne zdania są geologowie, których badania wykazały, że pod bezbrzeżnymi piaskami kryją się niezmiernie bogactwa, których eksploatacja mogłaby dać Egiptowi olbrzymie dochody. Tempo eksploatacji było jednak, jak dotychczas, bardzo wolne, a jedną z głównych przyczyn były ogromne wydatki Egiptu na uzbrojenie, którego ostatecznym celem było zlikwidowanie państwa Izraela. Ostatnia klęska, poniesiona w czerwcu ub. r. wstrzyma inwestycje na czas nieokreślony, bowiem Izrael, ze zrozumiałych względów, nie ma zamiaru ryzykować jakichkolwiek wydatków, zaś Egipt, nawet po zlikwidowaniu sporu, nie będzie posiadał na ten cel dostatecznych środków.

Jakie zatem są te skarby ukryte pod piaskami półwyspu Synaj? Są one częściowo znane, zaś częściowo stanowią tajemnicę, nie ujawnioną przez geologów Izraela. Wystarczy jednak przypomnieć, iż już w drugim dniu operacji wojennych, jednostki zbrojne Izraela, posuwając się wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, zajęły kopalnie węgla w Jebel Mara, w pobliżu El Arisch, których kierownictwo techniczne w 1956 objęli po Anglikach technicy z Polski. Produkcja węgla wynosiła tam wprawdzie tylko 220 tysięcy ton rocznie, kopalnie były jednak dostawcami dla stalowni w Heluanie. Węgiel jest wyjątkowo wysokowartościowy, bowiem pozostawia przy spalaniu tylko 3 procent popiołu. Według wstępnych obliczeń rezerwy węgla w tym rejonie mają wynosić 26 milionów ton.

Drugim z kolei bogactwem są rudy manganowe, których wydobycie, rozpoczęte przed kilku laty urosło do 200 tysięcy ton rocznie. Ruda posiada blisko 55 procent manganu, a ponieważ jej wartość na rynkach światowych przynosiła Egiptowi 150 funtów za tonę, stąd rząd egipski wybudował w tym rejonie całkowicie nowe miasto dla 10 tysięcy mieszkańców. W czerwcu ub. r. była tam na ukończeniu elektrownia oraz urządzenie dla desalinizacji wody, zdolne do dziennego zaopatrzenia miasta w 2 tysiące metrów sześciennych wody do picia.

Jednak bodaj największym bogactwem półwyspu jest ropa naftowa, której eksploatację rozpoczęto już po drugiej wojnie światowej. Najwydatniejsze są tu źródła w Belaim, których produk-

cja wynosiła już w 1960 r. około 4 i pół miliona ton. Ropa jest wysokiej wartości, zawiera bowiem mało siarki i innych soli i jest łatwa do destylacji w rafineriach. Produkcja kilku tylko szybów, które rząd Izraela utrzymał w ruchu, przekracza całe zapotrzebowanie tego państwa w naftę, a rezerwy, według wstępnych badań, oblicza się na 26 milionów ton.

Niezależnie od węgla, rud manganowych i nafty półwysp jest bogaty w inne jeszcze rudy metalowe jak miedź, chrom, a ponadto w bogate pokłady asbestu i gipsu. Jest tam również i uran, a według nie ujawnionych jeszcze odkryć, choć już dobrze znanych, natrafiono tam na żyły złota.

Toteż jeden z korespondentów szwajcarskich, który po zajęciu półwyspu przez wojska Izraela, objechał położone wzdłuż wybrzeży zatok Suez i Aqaba eksploatowane już, chociaż tylko w skromnych jeszcze rozmiarach bogactwa, nie zawahał się powiedzieć, iż gdyby na ich pełną eksploatację, Nasser był użył tylko 25 procent sumy, jaką co roku wydawał na zbrojenia, to w niedługim czasie byłby mógł przeobrazić półwysp Synaj w prawdziwy raj na ziemi. Co więcej, gdyby kierował się zdrowym rozsądkiem, a nie zamiarem zlikwidowania w rejonie Środkowego Wschodu państwa Izraela, to był w stanie zlikwidować 200 tys. rzeszę uchodźców palestyńskich, pozostawionych od 20 lat, celowo, w rejonie Gazy, obiecując im powrót do Palestyny, a utrzymywanych od dwóch de-

kad głównie ze środków Organizacji Narodów Zjednoczonych, bowiem prawie cała ta bezczynna masa obozujących tam ludzi, mogła znaleźć pracę przy eksploatacji bogactw na półwyspie Synaj. Idąc po tej linii mógł liczyć na pomoc finansową wielkich koncernów światowych i zapewnić obywatelom Egiptu stopę życiową, jaką w ostatnich latach osiągnęła sąsiadująca z Egiptem, Libia.

KONKLUZJA

Patrząc na dzisiejszą sytuację na Środkowym Wschodzie odnosi się wrażenie, że 50-letni dziś Nasser, kierujący Egiptem od 1952 r., jak dotychczas, zawiódł i jako wódz wojskowy i jako polityk. Klęska poniesiona w czerwcu ub. roku udowodniła, że plan strategiczny opracowany przez niego, załamał się już w pierwszym dniu; żołnierz arabski nie dorównał żołnierzowi Izraela, walczącego nie o utrzymanie wodza przy władzy, lecz o istnienie swego kraju. Usunięcie wyższych dowódców i surowe kary, jakie grożą oskarżonym przed tzw. trybunałem rewolucyjnym nie zrehabilitują odpowiedzialnego za klęskę w Jemenie i na półwyspie Synaj autora strategii, a już trudno pomyśleć o przywróceniu mu jego popularności.

Nasser zawiódł również jako polityk bowiem widocznie nie dostrzega, że za pomocą sowiecką kryje się długofalowy plan Sowietów powolnego opanowania produkcji ropy naftowej w zatoce perskiej w drodze powiązania jej sprzedaży przez mieszane konsorcja, które miałyby dyktować uprzemysłowionemu zachodowi Europy cenę nafty. W nowej sytuacji istnienie kanału sueskiego przestanie być aktualne.

Co wysłać teraz?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy biuletyn TAZABA *** (TRZY GWIAZDY)

„POLO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkulujące się u TAZABA: £1 ca: 500 zł., sprzedają się „jak bułki“ po 12—15 zł. za sztukę (cięż 75 gr. za sztukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0; 1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami *** najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZABA

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.
100 EAST 10th STREET, NEW YORK,
TEL. ALGONQUIN 4-4161

20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WAG 0045

JAK JA TO WIDZĘ?

Motto: Plus aloes quam mellis habet
(Iuvenalis).

W POWODZI artykułów poświęconych 150-letniej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki wynurza się jeden, bardzo agresywny, jeśli chodzi o medycynę, pióra Karola Zbyszewskiego (Tydzień Polski, 13.1.1968), a zatytułowany „Tajemnicza niemoc i cudowne uzdrowienie Tadeusza Kościuszki“. Autor darzy szczególną nieufnością orzeczenie angielskiego grona lekarskiego, a ogólnym potępieniem poziom medycyny 18-tego wieku i jej przedstawicieli.

Przyjrzyjmy się sprawom sine ira et studio. Kościuszko, jak wiadomo, po zwolnieniu go z więzienia przez cara Pawła I, przybył w r. 1799 do Londynu, serdecznie witany i zaszczytnie wyróżniany przez wszystkie sfery społeczeństwa. Jego stan zdrowotny był bardzo opłakany. Pod Maciejowicami odniósł dwie ciężkie rany, w głowę i biodro, a w więzieniu rosyjskim przechodził różne, bliżej nie opisane, choroby. Na zlecenie cara zarządził „kacap“ (określenie Zbyszewskiego) Woroncowa, ambasador rosyjski przy dworze angielskim, zbadanie generała przez elitę ówczesnych, miejscowych lekarzy. Zbyszewski, nawiązując do tego wydarzenia, pisze: „przyszedł (Woroncowa) ze zgrają lekarzy zbadać Kościuszkę. Wizyta ta wzburzyła Kościuszkę... Doktorzy, w końcu 18 wieku, mieli szalenie niską pozycję społeczną. Zaledwie ich tolerowano. Nie należeli do towarzystwa. Pomiatano nimi, pogardzano... Od czasu bitwy maciejowickiej Kościuszko był cały czas pod opieką lekarską. Wielu lekarzy! Były to naturalnie konowały, nie nie rozumieli i nie mu nie pomogli. Ale medycyna stała wtedy wszędzie jednakowo nisko. Doktorzy angielscy mieli szumniejsze tytuły ale ani o jotę więcej wiadomości... pchali się do Kościuszki, nie z miłości, ani z podziwu, ale dla reklamy... Była to dla nich gratka, wyborny business. Wydali obszerne orzeczenie, które razi tępotą. Ani słowa o depresji... jakieś dukanie o porażeniu uda... wsunęli Kościuszcze list polecający do jakiegoś dra Rush'a w Ameryce“. Oto wyjątki z filipiki autora „Niemcewicz z przodu i z tyłu“.

Każdy student historii może łatwo stwierdzić, że chorego, wycieńczonego, ciężko utykającego generała odwiedziła delegacja powitalna kół naukowych w osobach Benjamina Westa, prezydenta Królewskiej Akademii i Edwar-

da Bancrofta, znanego epidemiologa i reformatora medycyny wojskowej. „Zgraja“ nie „pchała się“, ale przyjęła z zadowoleniem zaszczytne zaproszenie „kacapa“ Woroncowa. Jej skład, jak na „zgrają“, był rzeczywiście szczególny: Sir George Baker, lekarz dworu, wybitny uczonec, zasłużony badacz zatruczeń metalowych, prezes Kolegium Lekarskiego; John Hunter, fellow of the Royal Society, lekarz następcy tronu, światowej sławy internista i neurolog, który pierwszy opisał zmiękczenie mózgu; William Saunders, fellow of College of Physicians, HARVEIAN ORATOR (zaproszenie do wygłoszenia oracji harveyskiej uchodzi za szczególnie wyróżnienie), lekarz Księcia-Regenta; Sir Gilbert Blanc, lekarz następcy tronu; David Pitcairn, fellow of College of Physicians, HARVEIAN ORATOR, pionierski badacz dyfterii, wykładowca i jeden z najpopularniejszych praktyków w Europie; Henry Cline, profesor anatomii i chirurgii, prezydent Kolegium Chirurgicznego z tytułem „Mister“; Matthew Baillie, patolog, którego dzieła tłumaczono na wszystkie języki, lekarz królowej.

Byli i inni, ale na nasze potrzeby, aby oznaczyć ciężar gatunkowy „zgraj“, lista wystarczyła. Śmiem twierdzić, że consilium opisanego składu było bez precedensu. Jego członkowie nie szukali reklamy, wszyscy byli uważani za chlubę społeczeństwa, a ich wizyta i konsyliarne przebadanie Kościuszki były zaszczytnym spełnieniem obowiązku i dowodem osobistej sympatii dla polskiego bohatera, co wyraźnie podkreślali. Ich orzeczenie stało na najwyższym poziomie i świadczy bardzo dodatnio o powadze ówczesnej medycyny. Nie ma w nim „dukania“, ale zdumiewająco trafna analiza objawów i podziwu godne rozpoznanie. Potrafili nie tylko rozpoznać, ale zlokalizować miejsce uszkodzenia nerwu. Uchylam kapelusza przed tymi „konowalami“!

A teraz przejdźmy do oceny medycyny w tym sławnym wieku oświecenia. Odkrycia Kopernika, Galileusza i Newtona ustaliły nowy porządek w wszechświecie i zapoczątkowały rewolucję w umysłach ludzkich. 300 lat mija od ogłoszenia „Philosophiae naturalis principia mathematica“ (1687), a wnioski z nich płynące obowiązują nadal wszelką naukę. Medycyna 18. wieku nie pozostała głucha na nowe prądy. Odziedziczyła olbrzymi materiał w spadku po poprzednich wiekach, które należało skonsolidować i zużytkować do wypra-

cowania nowych, twórczych idei. Stąd narodziny różnych „systemów“, mających wyjaśnić zjawiska chorobowe i zasady lecznictwa. Stąd różne nowe teorie witalistyczne, mechanistyczne, wprowadzenie toników do terapii, lansowanie teorii równowagi (John Brown) itd.

Ogromne znaczenie miała reforma nauczania medycyny, gdyż z nią obudził się szacunek dla wiedzy. Wieczną wdzięczność wszystkim pokoleń lekarskich zdobył sobie genialny Boerhave w Leyden, gdzie powstała słynna szkoła medyczna, konkurująca z powodzeniem z padweńską. Jej uczniowie założyli szkołę medyczną w Edinburgh. Katedrę anatomii w Leyden objął Bernard Siegfried Albinus, największy anatom stulecia, w Szkocji Alexander Monro, który przez 40 lat wykładał przedmiot i pozostawił katedrę synowi, a po nim wnukowi. Medycynę uczył w Edinburgh William Cullen, do którego ciągnęli uczniowie z wszystkich krajów Europy. Inny geniusz, Albrecht von Haller, szwajcarski poeta, botanik, anatom, nowelista, bibliograf i fizjolog wydał osiem tomów, poświęconych fizjologii. W tym samym czasie zajmował się fizjologią nerwów Sir Charles Bell, znakomity wykładowca, chirurg i neurolog. Stephen Hales, proboszcz w Tedington, pracuje nad biologią, matematyką, fizyką i czyni ważne spostrzeżenia, badając obieg krwi. Przyrodnik René de Réaumur bada sok żołądkowy, a Abbate Lazaro Spallanzani czyni pionierskie spostrzeżenia w dziedzinie gnicia, rozkładu i fermentacji, kładąc podwaliny pod przyszłe odkrycia Pasteura. Amerykanin William Beaumont obserwuje ruchy żołądka i funkcję wydzielniczą. Luigi Galvani próbuje drażnić nerwy prądem elektrycznym. Joseph Blanc i Joseph Priestley pracują w dziedzinie chemii, Antoine Lavoisier interesuje się płucami i wymianą gazów. Theophile Bonet zapoczątkowuje nowy dział, patologię, a nieśmiertelny Morgagni pisze w Padwie „De sedibus et causis morborum“, rozprawę, jeszcze dzisiaj z pożytkiem czytana. W Szkocji pracuje patolog Matthew Baillie, a we Wiedniu Karl von Rokitansky zdaje sprawę z 30.000 sekcji. Jeden z najgłośniejszych ludzi stulecia, szwedzki botanik Carl von Linné jest dyplomowanym lekarzem. Angielski anatom William Hewson odkrywa drogę krążenia limfy, William Cruishank uprawia anatomie i urologię. Do swych sławnych pacjentów zaliczał dra John-

sona i ten przezwiał go z szkocka „a sweet blooded man“. William Hunter wyjaśnił krążenie płodowe, William Cheselden ulepszył metody operacji urologicznych, Charles White propagował aseptykę w praktyce położniczej, Perceival Pott wyspecjalizował się w chorobach kręgosłupa. John Hunter zyskał tytuł ojca naukowej chirurgii i wenerologii. Leopold Auenbrugger wprowadza we Wiedniu metodę opukiwania do badania, Sir John Floyer posługuje się specjalnym zegarem przy liczeniu tętna. William Heberden poświęca swe nieprzeciętne zdolności studium reumatyzmu. Dr Johnson tak cenił jego erudycję, że nazwał go „ultimus Romanorum“. Caleb Parry obdarza nas pierwszym opisem choroby gruźlicy tarczycy, a nieśmiertelny Jenner wprowadza ochronne szczepienie przeciw ospie. Już współcześni ocenili należycie doniosłość epokowego odkrycia. Parlament angielski postawił go na równi ze zwycięskimi wodzami i wyróżnił dwukrotnie szczerą nagrodą pieniężną (10 i 20 tysięcy funtów, pa owe czasy fantastyczne sumy). Benjamin Rush wykłada w Filadelfii chemię i kliniczną medycynę. Zbyszewski zbywa go pogardliwie, bo nie zna dzieł, zajmujących się osobą i działalnością tej wybitnej jednostki, Z sławnych, chociaż zawodowo nieczynnych lekarzy, można wymienić Lessinga, Goldsmitha i Schillera. Poza właściwym zawodem pracowali na niwie literackiej Garth, Arbuthnot, Blackmore, Akenside, Haller, Zimmermann.

Listę wybitnych lekarzy 18. wieku, którzy wzbogacili wiedzę i przysłużyli się ludzkości, możnaby przedłużyć o wiele nazwisk. Zainteresowanych przedmiotem odsyłam do History Of Medicine (Fielding H. Garrison) i zachęcam do przeglądnięcia „appendices“, gdzie znajdują setki nazwisk sławnych lekarzy 18. wieku. Lista wprost przeraża swą mnogością i ważnością. Niektórzy historycy idą tak daleko, że nazywają ten wiek złotym wiekiem medycyny. Nie ulega wątpliwości, że dzięki reformom nauczania, wprowadzeniu konferencji naukowych, publikacjom odkryć i rezultatów leczenia przygotowuje się typ już nowoczesnego lekarza, obierającego niekiedy jakąś specjalność za teren swych studiów i praktyki. Nawet społeczne znaczenie higieny nie uchodzi uwagi światłych lekarzy angielskich.

Zbyszewski degraduje ówczesnych lekarzy do istnych pariasów. Posłuchajmy co pisze tak autorytatywny historyk, jak Fielding H. Garrison: „Posiadamy mnogie dowody że społeczne stanowisko lekarzy 18. wieku było lepsze od dzisiejszego. W niektórych krajach

nosili szpadę. Barwa ich stroju była szkarłatna. Witano ich zdjęciem kapelusza, nawet, gdy nosili zarekawki dla ochrony palców. W Anglii przywdzieli pudrowane peruki, eleganckie surduty z czerwonego atlasu lub brokatu, krótkie spodnie, spięte pod kolanami, pończochy i sprzączką spinane buciki, trójrożny kapelusz, a nosili laski ze złotą galką. Dobrze pojęcie o wyglądzie tych, zdaniem Zbyszewskiego, społecznych wyrzutków dają dwa wspaniałe obrazy wiszące w londyńskiej National Gallery: Dr Peral, pędzla Goya'y i Dr Ralf Schomberg, pędzla Gainsborough'a.

Karykatura i satyra wszystkich wieków nie pomijały lekarzy. Naśmiewał się z nich w 18 wieku Carlo Goldoni, wyrodny syn lekarza, w swej „Finta ammalata“. Pisz o nich dużo Casanova w Pamiętnikach a Mme de Sévigné w „Listach“. Karykaturzyści używali sobie na nich do woli. Słynny Hogarth wprowadza w „Company of Undertakers“ dwunastu osobników, zdaniem znawców reprezentujących jednak nie lekarzy, lecz szarlatanów. Gillray i Rowlandson również obierali lekarza za ulubiony przedmiot swej arcyżołświej sztuki. Największym powodzeniem cieszyły się akwaforty naszego rodaka Daniela Chodowieckiego, reprodukowane w „Zopfzeit“. Wychodziła, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, w Gdańsku.

Roilo się wówczas od szarlatanów z wątpliwym lub samozwańczym dyplomem lekarskim, a nawet bez niego. Również od awanturników operujących już na większą skalę, z amerykańską pomysłowością i dużym rozmachem. Cagliostro sprzedawał różne „eliksiry“, hrabia Saint Germain handlował „napojem nieśmiertelności“. Dwie pomysłowe niewiasty, Mrs. Stevens i Mrs. Mapp zdobyły wielką fortunę w Anglii. Tzw. „mountebank“ praktykowali pod gołym niebem, jak to dzisiaj czynią niektórzy specjaliści od narkotyków. Niejaką Bonafede Vitali, znany jako Anonymus, zaliczał do swej klienteli papieża, Karola XII, Ludwika XV. Zważywszy, że papież Pius XII i Adenauer leczyli się u jakiegoś quacka szwajcarskiego, nie można się dziwić, że imigracja nie jest wolna od nich.

Sąd Zbyszewskiego o medycynie jest tak paradoksalny, że przypuszczam, iż opiera go na legendach osnutych około szarlatanów lub wręcz zbrodniarzy. Może również ma na myśli chirurgów. Te dwa zawody, lekarzy i chirurgów, były ściśle odgraniczone. Szanujący się medicus patrzył z góry na chirurga, nie uważał go za kolegę. Ludwik XIV starał się polepszyć ich status z wdzięczności za wyleczenie go z dokuczliwej fistuły. Fakultet paryski skutecznie sabotował najlepsze chęci monarchy i do-

piero rewolucja zaprowadziła równo-uprawnienie **B.D.I.C.**

Na zakończenie kilka słów i o naszej 18 w. medycynie. Mimo politycznych trudności i przygotowującego się upadku polska nauka może poszczycić się takimi nazwiskami jak Jędrzej Śniadecki, Jędrzej Badurski, Jan Jaśkiewicz, Wicent Szuster, Rafał Czerwiakowski, Andrzej Krupiński. Na uniwersytetach zagranicznych pracowali Józef Wojciechowski, Karol Wiszniewski, Teofil Wisłocki, Ludwik Józef Szreniawa Bierkowski.

Patrząc tedy nieuprzedzonymi oczyma na rozwój i zdobycze medycyny wieku oświecenia, stwierdzam z zadowoleniem, że medycyna i jej przedstawiciele nie zasługują na naganę. Wręcz przeciwnie. Potwierdzili raz jeszcze, że humanitarność jest nieodłączną towarzyszką w pochodzie wiedzy i że zasługi położone dla dobra ludzkości mogą liczyć na uznanie współczesnych i wdzięczną pamięć potomnych. Quod erat demonstrandum!

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

W OKRESIE powszechnego despotyzmu i nietolerancji Voltaire pisał, że pisarz jest jak latająca ryba: gdy leci ponad wodą ptaki zjedzą, a gdy zanurzy się w wodzie ryby zjedzą.

Istotnie los jego był podobny do latającej ryby. Nie podobała się jego twórczość literacka moźnym tego świata i dlatego była surowo cenzurowana, a on sam był prześladowany zarówno przez katolickich Ludwików francuskich jak i protestanckich wyznawców Kalwina. W celu umożliwienia sobie egzystencji i lawirowania między tymi tyranami miał dom w Genewie i kupił sobie farmę tuż przy granicy po stronie francuskiej, w których zamieszkiwał w wypadkach, gdy po jednej lub drugiej stronie granicy stawało mu się za gorąco. Niewiele jednak pomagały mu te manewry i uniki. Dużo czasu spędził w kazamatach „gościnnej“ Szwajcarii i nie mniej „gościnnej“ Francji.

Działo się to z górą 200 lat temu, o czym już na Zachodzie zapomniano.

CARSKI DESPOTYZM I NIETOLERANCJA

W tym czasie car rosyjski nie miał kłopotu z pisarzami z tej prostej przyczyny, że niewielu ludzi umiało pisać i czytać. Dopiero w XIX wieku, gdy zaczęła powstawać obfita i wszechstronna literatura car został zmuszony do trzymania pisarzy na smyczy za przykładem swych zachodnich poprzedników z dawno minionej epoki.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia, gdy rozkwit literatury rosyjskiej osiągnął szczyt, carski zamordyzm w tej dziedzinie został poważnie osłabiony wskutek wprowadzenia w tym czasie przez samego cara niezawisłych sądów i jawnych rozpraw sądowych. Wprawdzie niezawisłość sądów była względna, gdyż sądy skazywały zgodnie z wolą cara nawet najwybitniejszych pisarzy (Dostojewki i inni) za treść ich twórczości literackiej, jawność jednak rozpraw sądowych i nadawanie im rozgłosu w prasie czyniła spustoszenie w umysłowości czytającej publiczności, wywołując i podsycając tzw. „sytuację rewolucyjną“. Będąc świadomi tego wytrawni i inteligentni rewolucjoniści rozmyślnie używali sali sądowej jako trybuny do szerzenia propagandy wywrotowej i podniecania do buntu oraz znieważania sędziów, aby wykazać publiczności ich niemoc na tle bohaterkich wyczynów oskarżonych.

Np. podczas rozprawy sądowej w Petersburgu (sądzono 193 rewolucjonistów), trwającej od połowy października 1877 r. do 23 stycznia 1878 r., oskarżony Myszkina powiedział: „Jestem sta-

ALEKSANDER STAMBROWKI

nowczo przekonany, że pogląd moich towarzyszy jest słuszny... (tych co odmówili zeznać — przyp. autora). Teraz jest oczywiste, że ani jedno słowo prawdy nie może być tu powiedziane. Dla każdego szczerego słowa oskarżony ma zamknięte usta. Mogę teraz powiedzieć, że nie jest to trybunał, lecz bezużyteczna komedia; albo coś gorszego, coś bardziej wstrętnego, coś bardziej sromotnego niż burdel. Tam kobieta sprzedaje swoje ciało z konieczności. Tu senatorowie (sędziowie sądu najwyższego — przyp. autora) uprawiają handel życiem innych, prawdą i sprawiedliwością; faktycznie handel tym wszystkim co jest najdroższe dla ludzkości — z tchórzostwa, podłości, oportunistu i aby móc pobierać wysokie uposażenie“.

W wyniku tej akcji i w związku z rozpowszechnieniem literatury wywrotowej rosyjscy rewolucjoniści należeli (z małymi wyjątkami) do kategorii ludzi wykształconych i często zamożnych.

I tak w okresie od 1873 do 1877 roku aresztowano w Rosji 1.611 rewolucjonistów; z tych 425 zakwalifikowano jako specjalnie niebezpiecznych. Wśród nich (specjalnie niebezpiecznych) było 147 należących do stanu szlacheckiego, 90 synów duchownych, 58 synów wysokich oficerów, 54 należących do burżuazji, 65 chłopów i 11 żołnierzy.

Bogaci ludzie (a nawet banki) dawali pieniądze na cele rewolucyjne i akcję wywrotową. Np. przemysłowiec (milioner) Morozow dawał rewolucjonistom 2 tysiące rubli miesięcznie, a przed samobójstwem w Cannes w 1905 r. przekazał partiom marksistowskim za pośrednictwem inżyniera Krassina cały swój olbrzymi majątek, chociaż miał bliskich krewnych. Podczas strajku powszechnego w 1905 r. przemysłowcy płacili robotnikom pełne płace i pokrywali wydatki związane z kongresami i zjazdami robotników. Nigdy dotąd nie było strajku powszechnego, albowiem nawet sędziowie strajkowali.

Taka atmosfera i akcja wywrotowa trwała aż do wybuchu lutowej rewolucji 1917 r., która urzeczywistniła cele najbardziej gorliwych i oświeconych rewolucjonistów rosyjskich. Wskutek podstępny i zdrady Lenina (rewolucja październikowa) cel ich nie został osiągnięty. Niemniej jednak jest rzeczą jasną, że czynni rewolucjoniści nie tyle walczyli o poprawę bytu szarego człowieka, ile o wartości duchowe, wyrażające się w wolności myśli i słowa, czyli

W O L N O Ś Ć

o człowieczeństwo człowieka. Nie tylko chlebem człowiek żyje.

BOLSZEWICKI DESPOTYZM I NIETOLERANCJA

Po zdobyciu podstępem władzy bolszewicy, mając doświadczenie w tym względzie za czasów carskich, postanowili, że nigdy ich sądy nie staną się trybuną antybolszewickiej propagandy i terenem akcji wywrotowej, a zwłaszcza wypowiedzi bohaterów i męczenników za wzniosłą sprawę.

Znany im był niewątpliwie fakt, iż podczas terroru Jakobinów (1793-4 r.) pewna dziewczyna powiedziała siepaczom, że chce być zgilotynowaną, ponieważ nie widzi powodu, dlaczego ludzie nie mają mówić o niej tak, jak mówią o innych. Władze rewolucyjne odmówiły spełnienia jej prośby. Wobec tego po powrocie do domu otworzyła okno i krzychała: „Vive le roi!“ Gdy ją aresztowano i postawiono przed trybunałem rewolucyjnym zaprzeczyła że była pijana i dalej krzychała „vive le roi!“ Jadąc na miejsce kaźni wołała do tłumu „do widzenia moi drodzy przyjaciele“, a przed spadnięciem ostrza gilotyny na jej szyję powiedziała: Do widzenia motłochu (canaille), do widzenia!“ Taka psychoza jest zaraźliwa.

Wskutek tego za czasów Lenina i Stalina „likwidowano“ rzeczywistych, potencjalnych, domniemych i urojonych przeciwników reżymu po cichu i bez rozgłosu strzałem z rewolweru w tył głowy. Jeżeli urządzano, zwłaszcza za panowania Stalina, procesy pokazuje czyniono to tylko w celach propagandowych, tj. aby wykazać nieomyślność tyranów oraz unaocznić ohydę „zbrodni“ ich ofiar — i to po uprzednim dokładnym spreparowaniu oskarżonych przy użyciu w śledztwie nowoczesnych środków oddziaływania, a nawet zwykłych tortur, gwarantujących, że na jawnej rozprawie powiedzą to czego od nich się żąda, tj. przyznając się do winy „pokajają się“ i oplwają siebie i współoskarżonych.

Obecnie nastąpiły inne czasy. Po „odwilży“ Chruszczowa stosowanie terroru i preperowanie oskarżonych na poprzednią skalę jest niemożliwe, bo nie wiadomo jakie skutki mogą być tego. Z drugiej strony zniknięcie bez śladu wybitnych i powszechnie znanych osób naraziłoby na szwank reputację osób sprawujących władzę, co jest ważne ze względu na opinię zagraniczną, a zwa-

MYŚLI I SŁOWA

szcza komunistów żyjących w wolnym świecie. Wskutek tego przeprowadza się pozornie jawne rozprawy z tym, że na specjalnie wybraną małą salę sądową wpuszcza się za przepustkami tylko pewnych i zaufanych funkcjonariuszy władz bezpieczeństwa, przy czym prasa nie wolno ujawniać szczegółów przebiegu sądowego. W dodatku prasa ma obowiązek oczerniać i bezcześcić oskarżonych.

Mimo stosowania tych środków ostrożności w przedziwny sposób wiadomości wydostają się natychmiast na zewnątrz gmachu sądowego.

Rzecz tym bardziej znamienita, że przedostają się na zewnątrz gmachu sądowego i za granicę dosłowne (steno-gramowane) protokoły rozpraw sądowych i treść wyroków, czego dowodem jest wydana na zachodzie książka o procesie Siniawskiego i Daniela.*) Nikt z obecnej na sali „publiczności“ nie mógł tego uczynić, albowiem w sowieckich sądach nie wolno robić notatek na sali sądowej nawet podczas zwykłych rozpraw. Musiał więc ktoś z biorących czynnie udział w rozprawie sądowej, lub przysłuchujący się za pośrednictwem mikrofonu, sporządzić i przekazać materiał za granicę, co ze względu na świetną organizację przemytu nie nastąpiło żadnych trudności. Świadczy to niewątpliwie o istnieniu „zarazy w Granadzie“.

Podczas procesu Ginsburga, Galanskowa i innych intelektualistów nie ogłoszono w radio i prasie nawet terminu rozprawy. Mimo to dokładnie znano dzień i godzinę posiedzenia sądu, przy czym przez cały czas rozprawy tłumy manifestowały głośno przed gmachem sądowym swe uczucia, wyrażając swą opozycję do reżymu i jego organu — władz sądowych.

Dzięki łatwości przemycania materiału za granicę i z zagranicy (co nie byłoby łatwe, tak samo jak za czasów carskich, bez pomocy funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa) oraz akcji radia zagranicznego szara masa sowiecka więcej wie obecnie o przebiegu i treści rozpraw sądowych i innych nadużyciach władzy niż wiedzieli ludzie za

czasów carskich, gdy wolno było publikować w prasie przebieg jawnej rozprawy sądowej, z tego względu, że nie było wtedy radia i nieliczni umieli czytać. Przyczynia się to wybitnie do wzrostu wrogiego nastroju względem reżymu i natężenia sytuacji rewolucyjnej. Nie bez znaczenia jest też to, że powstaje psychoza wśród pewnych osób, wyrażająca się w chęci i dążeniu do stania się bohaterami i męczennikami za słuszną sprawę, za którą cierpieli ich poprzednicy i uzyskali rozgłos i sławę.

PROCES

SINIAWSKIEGO I DANIELA

Znamienną jest rzeczą, że podczas procesu Siniawskiego i Daniela (oraz Ginsburga i innych) ludzie mieli odwagę i mogli jawnie i na wielką skalę manifestować swe uczucia przed gmachem sądowym. Niemniej znamiennym faktem jest też to, że pozwolono oskarżonym bronić się przed sądem, a bronili się oni inteligentnie, wytrwale i doskonale, czego mógłby im pozazdrościć niejedyn dobry adwokat, przy czym zachowywali się poprawnie i nie obrażali sędziów. Wprawdzie Daniel przyznał się w ostatnim słowie do „winy wysłania potajemnie rękopisów za granicę“, co nie jest zabronione przez prawo, ale po wyroku już z łagru, wysłał list do sądu cofając swe częściowe i ostrożne przyznanie się, przy czym odpis tego listu, z dokładnością i precyzją jak w zegarku, niebawem znalazł się za granicą. Prawdopodobnie wskutek tego bezbarwnego i słabego „pokajania się“ otrzymał o 2 lata mniej katorgi niż Siniawski.

Jeżeli chodzi o obrońców również daje się zauważyć duży postęp. Wprawdzie adwokaci nie bronili oskarżonych, ale też ich nie oskarżali, co było regułą za dyktatury Stalina.

Świadkowie zachowali się z godnością: nie byli zastraszeni oraz napastliwi i obraźliwi w stosunku do oskarżonych, lecz wręcz przeciwnie bronili ich inteligentnie i wnikliwie, a nawet jeden z nich Aleksander Petrow podrywał sobie z sędziów i sądu. Tylko Zrzeszenie Sowieckich Pisarzy skompromitowało się do reszty wydając grubiańską, stroniczną i służalczą opinię, potępiając twórczość literacką oskarżonych i sposób opublikowania ich książek.

W dodatku przewód sądowy ujawnił niezmiernie ważny i doniosły fakt, że zakazane pisma i książki są czytane

w Sowietach przez duży odłam społeczeństwa, a zwłaszcza inteligencję. Część zakazanej literatury przemycana się z zagranicy, a potem powiela się, lub przepisuje na maszynie, tak że tajny rynek księgarski jest dostatecznie nasycony. Ci autorzy, którzy nie mają możliwości i szczęścia publikowania swych prac za granicą mają tę satysfakcję, że ich dzieła produkuje się, również tajnie i podstępnie, domowym sposobem i czytane one są na zebraniach w domach prywatnych członków tajnych kółek literackich.

Charakterystycznym jest też to, że podczas przewodu sądowego mówili o tym śmiało i nieskrępowanie zarówno oskarżeni jak i świadkowie, którzy czytali ich wydane za granicą książki.

Na tle powyższego można dostrzec rysy pęknięć w cuglach i okowach, które krepują i dławią społeczeństwo, a zwłaszcza inteligencję sowiecką.

Nie może też być przyjemne i dobrze wróżące dla reżymu sowieckiego to, że ostatnie procesy intelektualistów sowieckich zostały potępione nie tylko przez „kapitalistów i reakcjonistów“, lecz również przez wszystkie partie komunistyczne na zachodzie.

Dla tych, którzy interesują się przemianami w Sowietach niezmiernie ciekawą będzie przebieg procesu Ginsburga i innych, jeżeli i gdy protokoły z ich rozprawy sądowej przedostaną się zagranicę. W każdym razie proces ich świadczy o istnieniu reakcji łańcuchowej, wyrażającej się w tym, że im więcej ludzi się sądzi, tym więcej jest kandydatów na oskarżonych, gotowych i chętnych stawiać czoło tyranii.

Rozumiejąc to dobrze bolszewicy stosują politykę selekcji nielicznych osób, których sądzą i skazują za nieprawomysłowość, w nadziei, że w ten przykładowy sposób zastraszą innych. W gruncie rzeczy należałoby zakuć w dyby lub zlikwidować tych wszystkich, którzy ostatnio jawnie protestowali przeciw rozprawom i wyrokom sądowym i manifestowali publicznie swe uczucia oraz wszystkich świadków, którzy występowali w procesie Siniawskiego i Daniela.

Nie zmienia to jednak zagadnienia, albowiem im mniej jest bohaterów i męczenników tym wyżej są oni ceni, więcej podziwiani i bardziej godni śladowania.

Ciekawą więc będzie dalsza obserwacja, jaką bolszewicy zastosują politykę i taktykę oraz jakie przedsięwzięją kroki, aby ocalić swą skórę. W każdym razie wątpliwą jest rzeczą, że znalazłszy się między młotem a kowadłem zdecydują się już teraz na wyj-

(Dokończenie na str. 14)

*) On Trial. The Case of Sinyavsky (Tertz) and Daniel (Arzak). Editors Leopold Labedz and Max Hayward. Collins and Harvill Press. London 1967. Stron 384.

Polska myśl techniczna i praca naszych robotników notuje coraz nowe sukcesy, ale jednocześnie zbiurokratyzowany i niemrawy system administracji komunistycznej bije coraz to nowe rekordy absurdu.

ŚWIATOWE OSIĄGNIĘCIA W BUDOWNICTWIE MASZYN GÓRNICZYCH

Do niedawna o rynki zbytu ubiegał się przede wszystkim polski węgiel. Obecnie sytuacja uległa zmianie. Znaczne sukcesy polskiego przemysłu budowy maszyn górniczych przyczyniają się do sukcesów eksportu. W ub.r. przemysł nasz eksportował maszyny górnicze do 25 krajów, w tym do 13 krajów zachodnich. W zeszłym roku po raz pierwszy zdobyła Polska kontrakty na dostawę maszyn górniczych do Wielkiej Brytanii. To samo dotyczy Holandii, Belgii i Szwecji. Na razie są to dostawy na niewielką skalę. Warto jednak odnotować ten fakt.

Jakość krajowej produkcji sprzętu górniczego podniosła się w ostatnich latach. Inwencja naszych inżynierów ma w tej dziedzinie duże sukcesy. Ostatnim osiągnięciem polskiej techniki stała się budowa maszyn do samodzielnego urobku ścian węglowych i automatycznego transportu węgla. Należy również nadmienić, że w ub.r. opracowano 41 prototypów maszyn górniczych, a w 17 wypadkach uruchomiono ich seryjną produkcję.

NIEDOLA ŁÓDZKIEJ „STARUSZKI“

Obok rozwoju jednych zakładów produkcyjnych rejestruje się jednocześnie karygodne zaniedbanie innych. Jako przykład niech posłuży najstarsza fabryka łódzkiego przemysłu bawełnianego, która w tym roku osiąga 140-lecie nieprzerwanej pracy. Są to słynne

ście z beznadziejnej sytuacji przez pozwolenie swym niewolnikom wyrażać swobodnie myśli w piśmie i słowie.

Z drugiej strony, charakterystyczną jest rzeczą, że najczęściej wielkie rewolucje wybuchają wtedy, gdy ludziom staje się lepiej tak pod względem gospodarczym, jak i swobód obywatelskich. Tak było zarówno przed rewolucją francuską jak i rosyjską. Głodni i gnębieni fizycznie ludzie rzadko buntują się. W starożytnym Rzymie było więcej niewolników niż wolnych ludzi: nie wywołali oni jednak rewolucji. Inną wagę i potencjał ma głód swobody wyrażania myśli w słowie i piśmie.

Aleksander Stambrowski

WIŚLAN

przed wojną zakłady geyerowskie, przezwane obecnie Zakładami Przemysłu Bawełnianego im. Dzierżyńskiego.

Otóż „staruszką“ łódzka pracuje w wielu działach na maszynach pamiętających wiek dziewiętnasty. Ocenia się — takie m.in. jest zdanie jej dyr. T. Wirowskiego — że większość parku maszynowego, instalacji, a przede wszystkim budynków jest zdecydowanie przestarzała. Mimo to jakość produkcji tych zakładów jest stosunkowo dobra. Jest to zasługa fachowej i ofiarnej załogi. Potwierdza to fakt, że 25% wyrobów tej fabryki idzie na eksport do strefy dolarowej.

Fabryce należy się gruntowna modyfikacja oraz wymiana parku maszynowego. Leży to w interesie gospodarczym kraju, jest oczywiste dla fachowców i konieczne dla załogi. Zakłady mają dobre osiągnięcia gospodarcze i stać je na konieczne inwestycje. Niestety, nie otrzymują na to zgody czynników nadrzędnych, co oznacza, że nie zostały włączone do planu inwestycji.

W ten sposób nieudolność partyjnego planowania obniża zdolności produkcyjne zasłużonych zakładów i podrywa ich markę eksportową. Stanowi to oczywisty dowód nieodpowiedzialności czynnika partyjnego decydującego prawem kaduka o sprawach produkcji i polityce inwestycyjnej. Trzeba także zaznaczyć, że tego rodzaju polityka gospodarcza partii stanowi typowy przykład ignorowania potrzeb i ambicji zawodowych załóg produkcyjnych. Wpływa na obniżenie wydajności pracy i opóźnia rozwój placówek gospodarczych z wieloletnią tradycją przemysłową.

MIASTO BEZ WODY

Nieszczęścia żywiołowe czy tragiczne wypadki zaniedbań zdarzają się we wszystkich krajach niezależnie od ustroju. Ale reakcja władz na takie nieszczęścia jest różna. W krajach zachodnich bywa natychmiastowa. Po stwierdzeniu zaniedbania władze czują się w obowiązku natychmiastowego zabezpieczenia zdrowia ludności i jej potrzeb życiowych.

W Polsce pod rządami komunistów wygląda to inaczej. Przykład — zatrucie sieci wodociągów w jednej z dzielnic Chełma Lubelskiego.

Zablokowane ścieki miejskie — nie doglądane jak należy — zatruiły wodę

K R A J

dochodzącą do pompowni wodociągów kolejowych, z których korzystała część miasta. Wszystkie wodociągi w kraju mają obowiązek codziennego badania czystości i zdrowotności wody, lecz przepis jest nagminnie lekceważony. Zatruta woda w Chełmie szła do mieszkań i spowodowała niebezpieczną epidemię złośliwej biegunki i groźbę tyfusu. Ilość zachorowań przekroczyła 2 tysiące. Dopiero po stwierdzeniu kilkuset wypadków zatrucia podniosła alarm służba sanitarna. Zabrano się do poszukiwania źródła zakażenia. Gdy je znaleziono, okazało się, że po wyłączeniu z sieci wodnej tej części sporego przecież miasta, administracja nie umiała zadbać o dostawę wody dla dzielnicy odciętej. Jest ze wszech miar karygodne, że skutków tego wypadku, a raczej zaniedbania nie potrafiiono usunąć wcześniej, jak dopiero po trzech tygodniach.

Dopiero po nieszczęściu zdano sobie sprawę, że miasto nie posiada kanalizacji. Sekretarz powiatowy PZPR w Chełmie, niejaki Józef Krywczuk, przyznał, że zaniedbania miejskiej gospodarki są pod tym względem ogromne, ale na rozwiązanie potrzeb miasto nie ma środków. I dość niefrasobliwie dodał: „podobne zatrucia mogą wystąpić jeszcze nie raz“.

GIGANTYCZNA WYWROTKA

W zakładach pod Mińskiem Mazowieckim rozpoczęto produkcję samochodów wywrotek mogących przewozić wielki ładunek 65 ton. Konstrukcja tych gigantów oparta jest na nowych zasadach. Silnik napędza generator, który z kolei dostarcza energii motorom wbudowanym w koła. Nowy samochód wywrotka stanowi jednocześnie model dla projektowanych ogromnych ciężarówek 110-tonowych.

REWELACYJNA OBRABIARKA

Do tej samej kategorii gigantów trzeba zaliczyć obrabiarkę wyprodukowaną w fabryce „Rafamet“ w Kuźni Raciborskiej na Opolszczyźnie. Jest to największa w historii polskiego przemysłu maszynowego karuzelówka KBB-1000. Potrafi ona toczyć, wytaczać otwory, wiercić, frezować, nacinać gwinty, szlifować otwory i płaszczyzny bardzo dużych elementów o wadze do 120 ton i

KONTRASTÓW

B.D.I.C

Taka jest logika marksizmu-leninizmu w zastosowaniu do placówek uspołecznionego handlu.

średnicy do 10 metrów. Pierwsze próby wykazały, że dokładność tej ogromnej maszyny jest wprost zadziwiająca. Mimo wielkości obrabianych elementów posiada ona zdolność uzyskania dokładności do 3 mikronów.

NOWOCZESNE KOTŁY OKRĘTOWE

Obok budowy statków i silników trzecią specjalnością Stoczni Gdańskiej — przezwaną w zeszłym roku nie wiadomo za jaką karę Stocznia Lenina — są kotły okrętowe. W okresie powojennym stocznia wyprodukowała około 1400 takich kotłów różnych typów zarówno dla potrzeb naszej floty jak też na eksport. Zbudowała również ponad 200 zbiorników ciśnieniowych.

Kotły i zbiorniki ze Stoczni Gdańskiej zaliczane są do wyrobów wysokiej klasy. Przed rokiem w kotłarni gdańskiej przystąpiono do produkcji prototypowych, unowocześnionych kotłów — nieznanymi dotychczas w naszym przemyśle. Są to tak zwane kotły uniwersalne, ogrzewane zarówno paliwem płynnym, jak też zdolne pracować przez wykorzystanie ciepła zawartego w spalinach głównego silnika okrętowego.

SZKOŁA NA BAGNIE

Inaczej przedstawia się „osiągnięcie“ administracji partyjnej w Lublinie. Mimo ostrzeżeń ze strony fachowców czynniki partyjne zdecydowały budowę szkoły tysiąclecia na bagnistym terenie przy ulicy Podwale. Natychmiast po otwarciu szkoły skutki okazały się oplakane. Przede wszystkim sama budowa zamiast 9 miliardów złotych pochłonęła 17 miliardów złotych, a więc wypadła prawie dwukrotnie drożej. Następnie zaraz po oddaniu szkoły do użytku stwierdzono, że w wielu miejscach przecieka dach i woda niszczy sufity. Z kilku sal lekcyjnych wypadły okna. Zawiodły instalacje sanitarne i nieczystości wylały się na korytarze. Wreszcie woda zalała 11 sal i przez jakiś czas dzieci uczono w korytarzach.

Naturalnie, kiedy wybuchł skandal, wojewódzkie władze partii powołały specjalną komisję, która miała ustalić rozmiar i przyczyny tych karygodnych zaniedbań i partactwa oraz wskazać winnych niewłaściwej lokalizacji budynku. Ale minęło wiele miesięcy, szkołę jako tako odremontowano, lecz o ukaraniu winnych nic nie słyhać. A prze-

cież partactwo budowlane tego rodzaju nie stanowi w Lublinie wyjątku. W podobny sposób „zrealizowano“ parę lat temu szkołę w dzielnicy Tatary, która wymaga na gwałt gruntownego remontu. W innej dzielnicy wybudowano znowu przedszkole, które nie nadaje się do użytku, a nowe osiedle nad rzeką Czechówką nie może się doczekać szkoły, gdyż lokalizacja ustalona również na bagnie byłaby w wykonaniu 6-cio krotnie droższa niż w normalnych warunkach.

Krótko mówiąc, inwencja partyjna też ma swoje „osiągnięcia“.

NOWE A NIEUŻYTECZNE

Tzw. Osiedle Młodych w Świętochowicach stanowi klasyczny przykład tak modnego dziś pod rządami komunistów brakoróbstwa. Blok mieszkaniowy wniesiony dla młodych spółdzielców, podkreślamy to, za ich ciężko zarobione pieniądze, ma niezliczone mankamenty i braki. Na klatkach schodowych brak światła. Nie zainstalowano dzwoneków do mieszkań. Piwnice zalewa woda. W ścianach przez które odprowadzono rury instalacji wodnych przeświecają dziury. Podłogi demonstrują ruchome parkiety. Wszystkie piece gazowe i kąpielowe są starannie poobijane. Roboty stolarskie wykonane niedbale itd.

Toteż nieszczęśliwi użytkownicy tych mieszkań słusznie uważają, że bez żadnych nakładów można tam zorganizować wystawę brakoróbstwa budowlanego.

PO LAMPĘ TELEWIZYJNĄ DO CZECHOSŁOWACJI

Dziwny sposób załatwiania reklamacji ma sklep ze sprzętem telewizyjnym przy ul. Engla w Poznaniu. Lampa do telewizora PCF-82, na którą udzielono gwarancji zepsuła się znacznie wcześniej. Ale klient, który przedstawił zepsutą lampę wraz z kwitem gwarancyjnym został odprawiony z niczym. Oświadczone mu, że lampa przepaliła się z powodu zbyt wysokiego napięcia, chociaż powszechnie wiadomo, że właściciele telewizorów nie mają wpływu na wahania napięcia w sieci miejskiej. Wreszcie poradzono zainteresowanemu, aby dochodził swoich praw u producenta, to znaczy w danym wypadku w Czechosłowacji, gdzie telewizor wyprodukowano.

POSADA DLA NOSIWODY!

W blokach BV, BV1, BX na osiedlu Tysiąclecia w Poznaniu zapewniono względny, ludowo-demokratyczny komfort. Z jednym wszakże zastrzeżeniem. Od wiosny na wyższe piętra tych bloków nie dociera bieżąca woda. Bloki, owszem posiadają specjalną instalację przeznaczoną do tłoczenia wody na górne piętra, lecz — jak wiadomo — o doskonałość w dzisiejszej Polsce trudno, więc — jak ją tam zwa — „hidrofornia“ nie działa, a prowizoryczne pompy zapewniają wodę tylko niższym piętrami.

Toteż zaopatrywanie się mieszkańców nowoczesnych punktów w wodę odbywa się archaicznym sposobem — taczonym pod górę wiaderka. Zajęcie to idzie im niesporo więc co pomysłowi zamierzają zaopatrzyć się w staropolskie nosidła. Znaleźli się wszakże i typowi malkotenci niezdolni do zrozumienia nieuniknionych trudności administracyjnych, którzy uważają, że naprawa „hidroforni“ trwa stanowczo zbyt długo. Ci domagają się teraz, aby administracja bloków zaangażowała stałego nosiwodę.

Decyzja — jak się wydaje — musi zapaść na wyższym szczeblu administracyjnym, gdyż od złożenia wniosku upłynęło dalszych kilka miesięcy, a wszystko jest po staremu, tzn. „hidrofornia“ nie działa i nie ma nosiwody. Co gorzej, nie dostarczono zainteresowanym nawet nosideł.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE TOWARZYSKIE i UGCZUJOWE

Powieść o potędze małości w socjalizmie

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

ZNIESIENIE przez Wielki Sejm przywileju było dużym wydarzeniem dla sceny narodowej i dla jej niezmordowanego obrońcy.

„Ta pomyślna dla nas odmiana“ — pisze Bogusławski — „inny wcale zamiar podała mi do głowy. Postanowiłem osieść w Warszawie i zrobić z właścicielem teatru ciągłą na lat trzy umowę, a odkładając do lepszego wydoskonalenia się śpiewaków Polskich dawanie Oper, podnieść widowiska Dram i Komedyi. Ażeby się zaś tem bardziej przeciwko przemocy Włoskich Oper zapewnić, podałem Monarsze prośbę o przyłączenie do Widowisk Polskich Iego baletu i o nadanie Aktorem Polskim tytułu: NADWORNYCH AKTORÓW. Otrzymałem to oboje z dodatkiem zaszczytnego urzędu Dyrektora Królewskich Widowisk“.

Bogusławski wysoko ocenia wartość nowego rodzaju muzyki: Salieriego w „Axurze“, Martiniego w „Drzewie Dyany“, które to opery wystawiała trupa włoska, i pisze: „Widziałem ia, że jakkolwiek artyści nasi, co do gry przewyższali zapewne Włochów, ich głosom i sposobowi śpiewania niewyrównywali. Opera nasza obok Włoskiej, była to Gotycka wieża, obok najnowszey Architektury budowli“. Zaczął więc od pomnożenia nowych sztuk i zgromadzenia co najlepszych aktorów. W braku przekładów klasycznych tragedii postanowił zapoznać publiczność z nieznanym dotąd w Polsce niemieckim dramatem. Przełożył zatem sztukę „Lanassa, wdowa Malaboru“ (autor K. Plümicke) i wystawił ją w rocznicę elekcji Stanisława Augusta, obchodzoną zawsze bardzo uroczysto.

Uwolnienie teatru spod kurateli pobudziło rodzimą twórczość. Julian Ursyn Niemcewicz pisze „Powrót Posła“, komedię wierszem, którą Bogusławski ocenia jako najlepszą ze znanych wówczas dramatycznych dzieł polskich. Komedia ta, wystawiona w toku prac Wielkiego Sejmu w r. 1791, „w której“ — jak donosi jedna ze współczesnych gazet warszawskich — „J.P. Niemcewicz wystawił czynności terażniejsze sejmowe, z pochwałą onychże i Króla JMości, w ostatnim akcie

KRYSTYNA BRZOZOWSKA

S C E N A

(II) TEATR

naganął wolną elekcję królów i in-teregna, a sukcesją tronu zalecił“, — grana była trzy razy dzień po dniu „z wielkim aplauzem spektatorów“.

Obok sztuk oryginalnych pojawiają się znowu przekłady: „Tymon Odludek“, francuska komedia, przez Zabłockiego wierszem przełożona, „Nienawiść ludzi i żal“ Kotzebuego w przekładzie Lesznowskiego. Jest to pierwsza sztuka tego płodnego autora w Polsce wystawiona.

Sukcesy te przerwała konieczność przebudowy teatru w którym, Bogusławski, spuściwszy się pod parterową podłogę, znalazł „wszystkie podwaliny i słupy wspierające wewnętrzną budowę, tak dla wilgoci miejsca zbutwiałe, że za poruszeniem w próchno się rozsypywały“.

Teatr otrzymał murowaną podbudówkę, został wzmocniony i zwiększony przez Włocha Maraino, a wszystkie koszty pokrył łaskawy król.

Bogusławski ściąga teraz do Warszawy po kilku latach nieobecności Agnieszkę Truskolaską i męża jej Tomasza, jak również siostrę Agnieszkę — Teofilę Morunowską — i wystawia w odnowionym teatrze melo-dramat J.J. Rousseau „Pigmalion i Galatea, czyli obraz kobiet“ w przekładzie Węgierskiego, oraz patriotyczną sztukę Niemcewicza „Kazimierz Wielki“. Dramat ten, wystawiony na uroczystość pierwszej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, jest okazją do patriotycznych manifestacji.

Niestety, w tym-że samym miesiącu następuje ogłoszenie aktu konfederacji targowickiej (14 maja), a w cztery dni później ambasador rosyjski składa deklarację o wkroczeniu w granice Rzeczypospolitej wojsk carowej. Zaczyna się wojna w obronie Ustawy Majowej.

Pisze natomiast o wystawieniu „Meropy“ Voltaire'a oraz oryginalnej komedii własnego pióra „Henryk VI na łowach“, która to sztuka „przez silniejsze naówczas stron-

nictwo zakazana, żwawych na Seymie sporów stała się przedmiotem“ i zaprowadziła autora przed sejmowy sąd.

Po dłuższym przygotowaniu Bogusławski decyduje się wystawić operę. Sprowadza z Krakowa pierwszą śpiewaczkę Jasińską, tenora Kaczkowskiego i basę Szczurowskiego. Początkowo wznawia dawniej grane opery, a we wrześniu 1793 r. daje premierę wielkiej opery serio z muzyką Salieriego „Axur, król Ormus“.

Ambicje jego sięgają wszakże dalej: chce dać społeczeństwu w dniach tak pełnych wzruszeń patriotycznych, narodową operę i pisze: „Cud mmiemany, czyli Krakowiacy i Górale“, z muzyką Jana Stefaniego i dekoracjami Smuglewicza. Entuzjazm na premierze w dniu 1 marca przechodzi wszelkie oczekiwania. Publiczność czterokrotnie wywołuje aktorów... a po trzech dniach opera zostaje zdjęta z afisza.

Jeżeli weźmie się pod uwagę, że Bogusławski należał równocześnie do kręgu spiskowców, że był na sejsji u Klemensa Wybickiego, gdzie decydowano o terminie powstania, o czym nie może napisać w swych pamiętnikach, to napisanie libretta i wystawienie w tych warunkach opery, jest nielada wyczynem.

A tymczasem historia posuwa się milowymi krokami: 11 marca brygada Madalińskiego maszeruje na Kraków, 24 — Kościuszkowski ogłasza w Krakowie akt powstania, 4 kwietnia toczy się zwycięska bitwa pod Racławicami, a 17-go wybucha insurekcja w Warszawie. 19-go podpisuje Bogusławski akces do powstania. Teatr przerywa działalność.

W „Dziejach Teatru“ wspomina Bogusławski krótko, że stracił w insurekcji cały swój dobytek.

We wrześniu 1794 r. Rada Narodowa „uznała potrzebę otwarcia teatru dla rozszerzenia ducha patriotycznego. Scena Narodowa kilkunastu widowisk wystawieniem

NARODOWA WŚRÓD KLĘSK



wskrzesała na chwilę mdlejącą w ogromie nieszczęść odwagę" — pisze Bogusławski. Na krótko, niestety. 10 października następuje klęska pod Maciejowicami. Ranny Naczelnik dostaje się do niewoli.

4 listopada Suworow zdobywa Pragę, następuje rzeź mieszkańców. Koniec powstania i koniec nadziei. „Nie chcąc być świadkami zgonu dawnéj Ojczyzny, rozpierzchnęli się Artyści na wszystkie strony" — kończy autor opis pierwszego w naszych dziejach narodowego powstania.

Z myślą o przyszłości teatru usiłował Bogusławski ratować bibliotekę, dekoracje i kostiumy, „bez których nigdzie się przywoicie pokazać, nigdzie znaczących widowisk wystawić niepodobna było". Na kilka dni przed upadkiem Warszawy wysłał on przez „krakowskich furmanów" dekoracje i rekwizyty do domu swego w Krakowskie. Sam, z całą biblioteką teatralną, wyjechał dopiero wówczas, kiedy gwałtowny odwrót cofającego się przed silniejszym nieprzyjacielem wojska spowodował zamieszanie na drogach. Ujechawszy zaledwie kilka mil od Warszawy, napadnięty został przez kilkunastu uzbrojonych awanturników. Ludzie ci, podając się za wojsko, domagali się paszportu, którego Bogusławski nie miał, bo wobec wojennego zamętu paszportów nikomu nie wydawano. „Za szpiega nieprzyjacielskiego poczytany, do Mogielnicy przyprowadzony byłem". Uratował go poczmistrz przesyłając list wzywający pomocy do stojącego w pobliżu obozem gen. Dąbrowskiego.

Trzy miesiące musiał czekać na wiadomość od rozproszonych aktorów. Wreszcie dostał list datowany we Lwowie: „Jesteśmy tu. W Pana życzliwi", podpisany pierwszą zgłoską każdego nazwiska. Uradowany dyrektor zabiera całą chudobę teatralną i zaopatrzony w paszport pruskiego rządu w Krakowie wyrusza w drogę.

O przyjeździe do stolicy Galicji pisze ze wzruszeniem: „Uyrzałem w niej bowiem nieledwie połowę Warszawy. Wszelkiego stanu i dostoięstwa osoby zgromadziły się były w to miejsce unikając chwilo-wego w kraiu zamieszania".

Był to styczeń 1795 r. Do Lwowa zjechali również Galicjanie i „przez codzienne uczyty, bale i wszelkiego rodzaju zabawy osładzali im wspomnienie świeżo poniesionych strat i dobrowolnego wygnania". Dalej pisze: „Zbiegali się życzliwi Rodacy witać mnie, iakby powracającego z królestwa śmierci". Załatwiono mu szybko układ z niemieckim przedsiębiorcą teatralnym, dzięki czemu mógł wystawić „Fraskatan-kę" i inne opery.

Tak zaczął się pięcioletni pobyt Bogusławskiego we Lwowie. Pierwsza wystawiona opera „Axur" sprawiła nie tylko polskiej ale i niemieckiej publiczności „niewysłowione zadowolenie".

Rok 1798 rozpoczął lata „chude" w teatrze. Polaków interesowały więcej sukcesy wojenne Napoleona i nadzieje, które one budziły. Bogusławski decyduje się na powrót do Warszawy. Na prowadzeniu obu teatrów stracił on kilkanaście tysięcy i — wbrew umowie — suma ta nie została mu nigdy przez Bullę zwrócona. Stara to historia i będzie się powtarzała aż do końca jego dyrektorowania. A jednak ze łzami wyjeżdżał ze Lwowa, gdzie „Scena Narodowa pozwolony miała przez pięć lat przytułek".

Po przyjeździe do Warszawy tak pisze: „Już późno w nocy stanąwszy w Warszawie, nazajutrz dopiero przebiegając głównejsze miejsca, ledwo poznać mogłem Stolicę kwitnącego niegdyś Królestwa! — Co za smutna odmiana przedstaczała niemal wszystkie przedmioty! Niegdyś mnóstwem ludności napelnione domy, ledwo teraz po kilka osób w rozległych swoich mieściły pomieszczeniach! Szumny i nieustanny łoskot przepysznych pojazdów,

zamienił się w głuchy tentent gdzie niedzie wlokących się koszykowych bryczek! Przyjemne rodowitej mowy moiéy wyrazy, ledwo się odzywały w ustach pracą zgiętego ludu!"

31 sierpnia 1799 r. rozpoczął Bogusławski po raz trzeci i ostatni swoją „antrepryzę" w Warszawie. Wystawił włoską operę z polskim librettem i muzyką Martiniego „Drzewo Diany". Sprowadzony ze Lwowa Elsner, dyrektor orkiestry, „szczególniey doskonale ją uporządkował". Do zespołu powróciła Agnieszka Truskolaska i doszła jej utalentowana córka Józefa, z męża później Ledóchowska.

Opery: „Inez de Castro", „Krawkowiacy i Górale", „Vampum" z muzyką Elsnera, „Axur", „Woziwo-oda Paryski" z muzyką Cherubiniego — zapewniały teatr mimo wyludnienia miasta. Gościnne występy w Poznaniu, Kaliszu i Łowiczu uzupełniały braki w kasie.

Wprowadza Bogusławski na scenę nowe tragedie: „Alzyrę" Voltaire'a, „Cyda" i „Horacjuszów" Corneille'a, „Otella" Szekspira, „Brytannika" Racine'a i kilka melodramatów Kotzebuego. Konkuruje, jak dawniej, z włoską operą, zespołami niemieckim i francuskim.

Rok 1807 przynosi burzę wojenną i kilkadziesiąt tysięcy Francuzów do Warszawy. — „Oczekiwałem przybycia zwycięzkiego wojska" — pisze Bogusławski — „spodziewając się iukom iego ulżyć ciężaru, którym w tylu krajów zyskownym przechodzi, obciążonymi zostały".

„Nie polepszyły się wcale teatralne okoliczności (...) przybyciem samego wsławionego Zwycięzcy: który raz jeden, dnia 19 stycznia, pokazawszy się na Narodowym Teatrze, napisaną wierszem, stosownie do owéj chwili, przez Ludwika Osińskiego heroiczną Operą „Andromeda", piękną muzyką Iózefa Elsnera, Kantatą i Baletem ozdobioną, przywitany w nim został".

Ale Napoleon wyjechał nazajutrz i zabrał większość wojska, a społeczeństwo obciążone kwaterunkiem i wyżywieniem armii, nie miało po prostu pieniędzy na bilety teatralne. Poznań, Kalisz, Białystok, Kraków — uwolniony od wojska austriackiego, zapelniony wojska-

Dokończenie na str. 18)

mi polskimi i sprzymierzonymi rosyjskimi — oto etapy wędrówek zespołu warszawskiego.

Kraków przyjął go entuzjastycznie w 1809 roku. Zarówno wojsko jak i ludność miasta. „...wszystkie w Teatrze Łoże na 40 reprezentacyi z góry zapłaconymi zostały. Codziennie od 13 Sierpnia do 8 Października grywiąc wystawiliśmy 54 reprezentacyi, przy zawsze niemal napelnionym Teatrze“. Niestety, łoże i bilety płacone były w austriackich bankocetlach, a aktorzy bankocetłów przyjmować nie chcieli. Kiedy więc po powrocie do Warszawy Bogusławski w brzęczącej monecie pensje im wypłacał, bankocetle owe zaledwie trzecią część nominalnej wartości posiadały. Po dwóch miesiącach występów nie miał dyrektor żadnego zysku!

Niez mordowany Bogusławski wprowadza ciągle nowe sztuki do repertuaru, m.in. operę Dmuszewskiego „Leszek Biały“ z muzyką Elsnera. Kończy rok uroczystym przedstawieniem dramatu Wężyka „Rzym oswobodzony“. Jest to bezpłatne widowisko dla powracającego z wojennej wyprawy zwycięskiego wojska.

Obdłużony, walcząc z ogromnymi trudnościami, podaje prefektowi departamentu projekt złożenia losów narodowej sceny w ręce Rządu lub magistratu miasta Warszawy. założenia szkoły dramatycznej, stworzenia w Warszawie trzech teatrów: Narodowego, Opery Polskiej i Teatru Komicznego. Projekty, jakkolwiek popierane przez dobrotliwego króla Saskiego a zarazem Księcia Warszawskiego, nie doszły do skutku. „Jak niegdyś mury Jerichu, tak wstrząsła się i upadła w pomyśle moim uroiona wielkość Sceny Oyczystéy, za pierwszym odgłosem trąb zbliżającej się wojny! Miesiąc Kwiecień (...) w 1814 był końcem Antreprizy moiej!“

Dnia 30 kwietnia zamknął Bogusławski swój teatr z deficytem 180.000 zł. Aktorom został winien z tego 60.000. „Antreprizę“ sprzedał prywatnemu przedsiębiorcy, posiadającemu odpowiednie kwalifikacje, za sumę 108.000 zł., „resztę długu postanowiwszy zapłacić sprzedaniem wszelkiego innego majątku“.

Nie zniechęciło to jednak tego „nieznużonego człowieka i aktora“, jak go nazwał Kaczkowski, do pracy dla teatru i występów na jego scenie. Rozpoczął pisanie „Dziejów Teatru Narodowego“, dał sylwetki współczesnych sobie najwybitniejszych aktorów i szkice o oryginalnych i przyswojonych utworach dramatycznych. Całość nosi tytuł „Dzieła Dramatyczne“ i wyszła w 12 tomach.

Bogusławski grywał od czasu do czasu aż do końca życia. Wspomnienie o jednym z jego ostatnich występów zawdzięczamy Francuzowi, synowi wybitnego aktora — Karola Potier. I ojciec i syn przebywali przez jakiś czas w Polsce, ojciec w latach 1816-1818, syn nieco później. Syn, Karol Józef, pisze co następuje:

„Pewnego wieczoru nieprzebrane tłumy oblegały salę widowiskowa. Z największym trudem udało mi się prześliznąć w mały kącik; na szczęście nie jestem zbyt tęgi i zadowolilem się skrawkiem krzesła. Spytałem sąsiadów o przyczynę tego zbiegowiska; do którego szczerze mówiąc nie przywykłem. Jeden z nich odpowiedział z podnieceniem: „Bogusławski będzie dziś grać“. — „Któż to jest Bogusławski?“ — „Pan jest cudzoziemcem?“ — „Tak, proszę pana“. — Spostrzegłem to od razu, bo nie zna pan Bogusławskiego. Jest to najstarszy z naszych aktorów; jest ojcem naszego teatru, naszym Talma, naszym Potierem“.

„Wśród największej ciszy na sali, wszedł na scenę staruszek opierający się na ramieniu dziecka. Pierwszym jego słowom towarzyszyły brawa. Ledwie można było usłyszeć co mówił. Gdy podniósł rękę, by uczynić jakiś gest, już widzowie byli gotowi zachwycać się, tylko mnie jednego irytował ten śmieszny entuzjazm. Wściekły byłem, że widownia obdarza oklaskami ten chodzący szkielet, mówiący niezrozumiałym dla mnie językiem. Gniew mój doszedł do szczytu, kiedy po zakończeniu sztuki zarzucono go na scenie wieńcami. Stary aktor padł na kolana przed publicznością i obiema rękami przesyłał na widownię pocałunki. Wreszcie kurtyna zapadła, wszyscy, wyłączając mnie, który dla przyzwoitości ukrywał

wzruszenie, mieli łzy w oczach. Kiedy sala się uspokoiła, zwróciłem się do swego sąsiada: „Ależ proszę pana, ten wasz Bogusławski, to wcale słaby aktor“. — „Nie przeczę“. „Dlaczegoż więc wszyscy tak podziwiają jego grę? Dlaczego obdarzają go tak frenetycznymi oklaskami? — „Dlaczego? Zaraz to panu wytłumaczę. Bogusławski był najlepszym polskim aktorem. Od wielu już lat uprzyjemnia nam nasze wolne chwile. Dzięki niemu zapominaliśmy o niejednej zgrzyocie. Podwoił on nasze radości, odważnie bronił praw polskiego teatru przeciwko inwazji obcych towarzystw, które starały się go zniszczyć. Był on prawdziwym aktorem narodowym, nie zapomnieliśmy o nim. Jest teraz osiemdziesięcioletnim starcem; żyje przyzwyczajony do oszczędności, które zdołał zebrać dzięki swemu talentowi aktorskiemu. Lecz raz do roku w dzień swoich imienin pragnie zagrać jedną ze swych ról i widział pan, w jaki sposób przyjęliśmy go. Gdybyśmy nie okazali mu tego małego długu wdzięczności i chwały, którymi się dobrowolnie mu odwzajemniamy, umarłby, my zaś moglibyśmy obrzucać kwiatami tylko jego mogiłę“. Podziękowałem swemu sąsiadowi, z którym bliżej się poznałem. Po upływie roku znów ujrzałem Bogusławskiego na scenie. Grał jeszcze słabiej. Słysząc go było jeszcze gorzej, lecz oklaskiwałem go głośniejsz niż inni“.

Od tych słów nieznanego widza sprzed 150 lat nic nie możemy odjąć, moglibyśmy wiele dodać, ale i tak zarysowała się przed nami sylwetka człowieka o wyjątkowej wartości. Współcześni mu stawiali go za patriotyzm obok Kościuszki, a scena polska zawdzięcza mu cały swój późniejszy, tak świetny rozwój.

Krystyna Brzozowska

DZIEIE TEATRU NARODOWEGO na trzy części podzielone oraz WIADOMOŚĆ O ŻYCIU SŁAWNYCH ARTYSTÓW przez WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO. W Warszawie. W drukarni N. Glücksberga, Księgarza i Typografa Królewskiego Uniwersytetu. MDCCCXX. Str. 358, XXI.

TAM SIĘ TEŻ ŻYŁO

OD REDAKCJI: Historia około 5000 Żydów, wywiezionych z „Hotelu Polskiego“ w Warszawie, stanowi jeden z najmniej znanych rozdziałów żydowskiej martyrologii podczas II Wojny Światowej. Z rzeszy posiadaczy prawdziwych czy fałszywych wiz zagranicznych, z których Niemcy ścignęli olbrzymi okup za złudę wyjazdu, tylko 243 osoby pozostały przy życiu. Rozpoczynamy dzisiaj druk wspomnień Niny, bohaterki książki *Miny Tomkiewicz, „Bomby i Myszy“*, z obozu z Bergen-Belzen, do którego dostała się wraz z 3-letnim synkiem Bobusiem po tym, gdy straciła wszystkich i wszystkie. Wystana była z II-ą grupą tzw. „Ausländerów“ z „Hotelu Polskiego“.



JADĄ POŁAMANE LALKI

POCIĄG z tysiącem połamanych lalek z „Hotelu Polskiego“, ruszył dopiero pod wieczór. Nie przestajemy gadać, chcemy się poznać, chcemy żeby inni utwierdzili nas w przekonaniu, żeśmy dobrze zrobili, oddając się dobrowolnie w niemieckie ręce. Na stacjach kupujemy wodę, rozmawiamy z kolejarzami, zdumionymi co to za pociąg, taki inny... Mijamy niezniszczone niemieckie miasta, a przecież wojna ma się skończyć za kilka miesięcy... Jest gorący lipiec roku 1943.

W przekreślonym kapeluszu na głowie starsza pani biada, czemu dała się wciągnąć w pułapkę, dlaczego nikt jej nie odradził, widzieliście co się działo na stacji, nie zdążyli mi przynieść moich rzeczy. Towarzysze podróży zwracają jej uwagę, możeby z takim krakaniem przeszła do innego przedziału, ale pani zagryza sznycę z wędliną i mówi, przed śmiercią chyba ma prawo wygadać się. Bez dokumentów, albo z podejrzanymi promesami wystawionymi na inne nazwiska; wyciągnięci przez niemieckich pachotków z bunkrów i melin; osieroceni, ograbieni i z balastem nieludzkich przeżyć ludzie są niespokojni, niepewni co im przyniesie następna godzina.

Mijamy szumiące łany zboża, zielone łąki, ze stukotem kół zmieniamy czas i przestrzeń, my z ghet, my z więzień, my z kryjówek, do których nie dochodził przerażony promień słońca, jak dziwnie. „Co gorszego, może mnie już spotkać“, myślę, i „jakoś tam będzie“; nie mogę dzielić niepokoju innych, za dużo mam w sobie cierpienia, jestem fatalistką. Grunt, że Bobuś wesoły, bawi się z sze-

ścieletnim Jurkiem o wybitnie agresywnych tendencjach. „Bobuś, nie wychylaj się! Bobuś, wypadniesz!“, jak normalna matka w drodze do Otwocka.

Jedna noc w wagonie, druga, trzecia, zaczynamy się trochę klócić, ten zabiera za dużo miejsca, tamta nie stara się o wodę. W końcu każą nam wysiadać.

Ciemno, choć oko wykol, migocą latarki esesmanów, noc rozdzierają wrzaskliwe komendy. „Na wykończenie, do komór, zginęliśmy, a nie mówiłam, że tak się skończy! po coś ty mnie tu przywlekła, ty wieczna idiotko... „Rozdzielają mężczyzn od kobiet i dzieci, to już nieomylny znak.

„Czy pani może z miasta Łodzi? W takiej chwili chciałabym z rodaczką, boję się“. Rodaczka podnosi ją na duchu pytaniem: „Pożegnała się już pani z mężem? Dobrze, że mego wywieźli przed rokiem...“ Nie mam czasu myśleć o tym, co nam grozi, bo coraz to jakiś z moich skandalicznie zapakowanych węzełków wypada mi z rąk, podnoszę w ciemnościach, wysuwa się inny; Bobuś pęta mi się pod nogami, domaga się esesowskiej latarki.

Niemcy wciąż liczą, ustawiają nas w piątki, kobiety dobierają sobie odpowiednie towarzystwo, z dziećmi razem, z dziećmi osobno, Niemcy nie mogą się doliczyć. Nieskoordynowana masa dwoi się i troi w oczach wykwalifikowanych w selekcjach oficerów. Niemcy krzyczą, my krzyczymy wielkim szepem, nie może pani stać jak człowiek? Nieszczęście sprowadzisz na wszystkich, jeszcze tutaj przebierać, to już skandal, milczeć tam, ustawiać się, bydło nie ludzie, eins zwei, drei, eins, zwei,

drei. Raz po raz padają na nas smugi rażącego światła z reflektorów, ciekawe gdzie jesteśmy, mężczyźni już poszli, dokąd...

Pakują nas do krytych brezentem ciężarówek, zamyka się kłapa. „W Treblince też tak robili“, pociesza tchórzliwa jej rodaczka z miasta Łodzi. Ciemniej niż ciemno, dusi się skotłowana masa ciał, jęki. Gdzieś z głębi ciężarówki dochodzi wyraźny głos, pożegnajcie Zygmuta, ja już nie mogę dłużej. Każdy zajęty sobą, nie zwraca się uwagi na niezrozumiałe, tak bardzo zrozumiałe słowa. Dopiero kiedy otworzyła się kłapa okazało się: trup, młoda pielęgniarka z Lublina zażyła cyjankali. Szkoda, tak w ostatniej chwili przed wyjaśnieniem sytuacji. Obskakuje nas ludzie, wywołują znajomych, uspakajają. To obóz cudzoziemców, mówią, wikt niezły, ale bardzo skąpy, niedługo jedziemy „na Austausch“, lada dzień, liczone tygodnie, zobaczycie!

Siedzę na jakimś tłumoku, siepie deszcz, trzymam kurczowo Bobusia i paczki, powiedzieli, że kradną, trzeba uważać. „Kto tu jest kierownikiem? Dziecko mi pada z nóg“, pytam. „O, „tamta“ banda, z gestapowcem Włodawskim na czele. Trzeba sobie samemu radzić“. Jak trzeba to trzeba; nadziejąc się na kolczaste druty, potykając co krok o rozrzucone rzeczy, dotarłam do jakiejś czerniejącej w ciemnościach budy, gdzie na rozrzuconej słomie leżała już część przyjezdnych. Wygodnie nie było, ale spaliśmy.

W przeciwieństwie do ponurej i deszczowej nocy ranek był słoneczny,

(Ciąg dalszy na str. 20)

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

wszystko nabrało jaśniejszych barw. Otoczone kolczastym drutem wysokości człowieka, upstrzone wieżami wartowniczymi z których wystawały srebrne lufy, na olbrzymim placu stały dziesiątki drewnianych i kamiennych baraków, prawie bez okien, a w barakach dwu — i trzypiętrowe prycze z szarymi wojskowymi pledami i słomianymi siennikami. Na pryczach wisiały, leżały, rozrzucone, ułożone, kupki łachów, tu kolorowa poduszczyca, tam futro, które służyło za szlafrok i kołdrę, cynowe miski, które miały być naszymi nieodłącznymi towarzyszkami przez dwa lata, w dzień i w nocy, do jedzenia i do innych funkcji. Wszędzie pełno ludzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, w różnych pozach, przy różnych zajęciach. A za kolczastymi drutami, inne baraki, inni ludzie, w pasiastych chałatach, z ogolonymi głowami, ludzie jakich jeszcze do tej pory nie widziałam. Byłam w KC Bergen-Belzen, w Sonderlager.

„ŻYCIE TOWARZYSKIE“

Tam i sam kręciły się kobiety w jedwabnych sukienkach, w aksamitnych szlafrokach. Wyglądały pikantnie na tle obozu, ale co miały robić, kiedy zabrały tylko najlepsze, najdroższe. Oczywiście, większość nosiła takie szmatki jak ja, ale kto by na nie patrzył, przecież w życiu zwraca się uwagę na aksamity i jedwabie, nie na kremony czy drelichy. Spotkałam sąsiadkę z domu na Lesznie, która zaprowadziła mnie do swego baraku i przedstawiła komendantkę Rubinowej. Każdy barak bowiem wybierał komendantkę, czy komendanta, którzy pilnowali porządku, dzielili przydziały, rozstrzygali spory. Rubinowa była adwokatką ze Lwowa, niezwykła kobieta, jako młodszej koleżance po fachu przydzieliła mi pryczę. To było bardzo dużo, bo większość ludzi z drugiego transportu spała jeszcze przez kilka tygodni na ziemi, z braku wolnych prycz. Była sąsiadka poczęstowała mnie kawałeczkiem kiełbasy, usiadłam na pryczy, położyłam swoją ślubną poduszkę w atlasowej błękitnej poszwie, i rozplakałam się. Byłam jak gąbka, co pocisnął to kapie.

Sąsiadka z górnej pryczy powiedziała, że jej często spadają rzeczy na moją pryczę, żebym uważała; i żebym pierwsza rzecz rano wylewała miskę z uryną, bo jej śmierdzi pod nosem, ale co robić, nikt tu bez tego obejść się nie może, iść do latryny w nocy — niebezpiecznie i tak daleko. Dostałam dwie miski, dla siebie i dla dziecka, jedną postanowiłam przeznaczyć na nocne potrzeby. Inni mieli tylko jedną do wszystkiego.

Z urzędzeń obozu największe wrazenie — narazie przynajmniej — wywarły na mnie owe daleko położone latry-

ny. Drewniane zbiorowe klozety bez drzwi były dla mnie przez długi czas źródłem bezustannych zdumień. Poza ich zasadniczą funkcją, spełniały także latryny rolę salonu i rynku. Tam odbywały się najszczęśliwsze towarzyskie pogaduszki, tam można było dowiedzieć się obozowych plotek, kto z kim, a przede wszystkim gdzie. Tam także odbywały się wszelkiego rodzaju tranzakcje handlowe, przeważnie zamienne. Brudne, śmierdzące, naturalnie nieskanalizowane, co kilka dni wypełniały się po brzegi, trudno mi z nich było na początku korzystać, potem przyzwyczaiłam się, jak wszyscy. Remarque, Barbusse, przypominałam sobie na pociechę, ale coraz rzadziej, to przecież było moje życie, nie książka. Także wspólne z mężczyznami łazienki były początkowo żenujące, ale i do tego przyzwyczailiśmy się, szczególnie, że mężczyźni rzadko z nich korzystali, a już prawie nigdy zimą.

W nadziei na szybki wyjazd do Vitel, do Palestyny, a może nawet do Szwajcarii — tak nam przecież mówiono — prowadziliśmy życie całkiem jeszcze nieobozowe. Nawiązywały się flirty, których bardziej doczesna realizacja odbywała się w nocy, na ziemi, pod osłoną barakowych ścian i ciemności; urządzano przedstawienia z muzyką i śpiewem. Były odczyty o malarstwie, o literaturze, o stylach w architekturze i problemach biblijnych, co kto miał w intelektualnym zapasie — rozdawał nawet bez dodatkowej porcji zupy. Na odczyt o Nietchem pchano się tak samo jak na występy tancerki Franciszki Mann, Żydzi lubią się przecież uczyć, zawsze i wszędzie, a poza tym — nie myśleć, zapominać.

Wśród obozowiczów miałam dużo starych znajomych, przyjaciół Piotra, sąsiadów z getta, toteż cały dzień biegałam „po kominkach“, od baraku do baraku, czy z pryczy na pryczę. Kiwali głowami, taki Piotr, Mama, Ojciec, tak a wielka rodzina, może się jednak ktoś uratował, widzisz, że te obozy nie takie straszne, no co robić, każdy ma swój krzyż, co za czasy, straszne czasy. Te rozmowy i widok całych rodzin, z mężami, dziećmi, czasem i rodzicami, nie poprawiały mego samopoczucia. A coś dopiero, kiedy rozejrzałam się w obozowym towarzystwie. Mówiło się kiwając głową „no widzisz, kto został“, albo „i taki uratował się“, a myślało się, mój nie, moja nie, bolało, że inni jeszcze żyją, a tamci, dlaczego właśnie oni. Wartości, które w nas wpajano od dzieciństwa rozpadły się w gruzy; w niezrozumiałym dla nas zdeprecjonowanym świecie, deprecjonowaliśmy człowieka, sprawiedliwie, niesprawiedliwie, takie to było nieważne, trzeba było choć na chwilę uspokoić gryzący ból i strach.

Odarci ze wszystkiego, wszyscy na tych samych przydziałach, zaczęliśmy tworzyć nowe wartości, dostosowane do miejsca i czasu. Nie zdawałam sobie z tego sprawy i było mi po prostu tylko bardzo źle.

Powoli i ciężko asymilowałam się z prymitywnością obozowego życia. Przede wszystkim nie umiałam zapomnieć o swoim bólu, asymilacja zaczyna się od zapomnienia. Jak kiedyś byłam niepohamowana w odczuwaniu szczęścia i radości, tak teraz oddawałam się bez hamulców bólowi, któremu wystarczał najmniejszy drobiazg, żeby wybuchnąć z całą gwałtownością... że bez pogrzebów... że gdybym bardziej nalegała... że przecież mogłam... ojciec tak lubił „ładne“ pogrzeby... „Po wojnie, obiecywałam bólowi wciąż jeszcze wierząca w życie, a nie w śmierć, urządzać wspaniałe pogrzeby, zasadzę kwiaty na pustych grobach“. Nocami ból związał się w kolczasty kłębek i kładł kamieniem na pustym ogłupiałym sercu.

Nie tylko mnie. Po nocach słyszało się tłumione łkania, całymi dniami leżeli apatyczni ludzie na pryczach i wspominali, akurat rok temu zabrali mi dziecko, widziałem jak trafiła ją kula, rocznica ślubu, skakałam, palił mnie pożar, szczyry, takie straszne, w kanałach do pasa. A nazajutrz jakby nigdy nic, śmiech, odczyt, przydziały, handelek, pomigdał się pod barakiem, nie stać nas przecież na więcej jak te trochę migdalenia.

DZIEŃ W SONDERLAGER

„Wstawać! Łóżka robić! Zaraz będzie kontrola i zabiorą marmoladę“, krzyczały o 6-jej rano komendantka baraku, wice-komendantka i kilka pomocnic-amateerek. Nawoływania te odnosiły skutek, kiedy rano przynoszono zupę, kiedy jednak była tylko „kawa“ czyli czarna lura z fusami, nikomu nie spieszyło się. Tylko specjalne amatorki, którym większa ilość gorącej kawy potrzebna była do mycia głowy czy dziecka, stawały w nędznej niedospanej kolejce. W tym okresie kobiety miały jeszcze oddzielne baraki, więc po zaopatrzeniu się w ranną kawę czy zupę, wracały przeważnie na prycze i zaczynały międzypryczowe rozmowy na tematy ogólne, o tej porze bardzo przyziemne. Że przed barakiem narobiono dziesięć kup, że ktoś nasiasiał na podłogę. „Łajdaczki, trzeba takiej..“, tu następowały projekty kar na nieuznające latryny mieszkanki baraku, które dopuściły się zbrodniczego czynu. Inwektywy fruwały jak ptaszki, jak te podle przyłapać, kto to będzie sprzątał, czy to należy do dyżurnych, czy trzeba ekstra zapłacić, podwójna zupa, czy wystarczy pół dodatkowej, czy może w ogóle powinny być bezpłatne dy-

żury wszystkich bez wyjątku (za wyjątkiem...).

Te „ekstremalnie“ gawędy kończyły się zwykle zgodnym ustaleniem, że to na pewno zrobili te brudasy z sąsiedniego baraku, w „naszym“ nie można sobie wyobrazić nikogo zdolnego do popełnienia takiego świństwa, od czasu do czasu nocna kradzież porcji chleba czy innej własności prywatnej sprowadzała poranne rozmowy na bardziej kryminalne tory, ale mimo nieporównanie poważniejszego impaktu kradzieże wzbudzały znacznie mniejsze zainteresowanie mieszkanki baraku niż poprzedni temat.

Naraz przychodził „ten z laską“ na inspekcję, pisk, wrzask, zamieszanie, rzucaliśmy się do ścielenia prycz, aby były jak deski, mycie, ubieranie, i wreszcie „śniadanie“, o ile ktoś miał jeszcze kawałek chleba, albo czekanie na „obiad“, o ile ktoś lekkomyślnie zjadł za jednym zamachem cały 15-dekowy przydział. Zabijaliśmy czas czytaniem — niektórzy mieli ze sobą książki — nauką języka angielskiego w przygotowaniu do wyjazdu zagranicę, wizytami w sąsiednich barakach, względnie niezwykłe skomplikowaną akcją prania albo wystawianiem godzinami w kolejce do jedynej piecyka, żeby ugotować miskę „pseudo-chlebowej“ zupy, oszukującej na krótko coraz bardziej dokuczliwe uczucie głodu. A potem główny enennement dnia — ZUPA — wodnista gorący płyn z liśćmi, kawałkami kapusty i okruszynami niewiadomego pochodzenia mięsa. W oparach bijących z czarnego kociołka migotała spocona twarz Kapłanki Podziału, do której wszyscy mieli pretensje, że nierówno kręci chochlą, że tej dała gęste, a tamta od tygodnia nie miała strzępka mięsa prócz kilku karaluchów, że protekcje i trzeba wybrać kogo innego.

W poniedziałki i czwartki przydzielano kilka deko margaryny, łyżkę marmolady, chleb, czasem kawałek blutwurstu, albo kraby. Robiliśmy wagi z pokrywek od blaszanych pudełek, mierzyliśmy centymetrem, na oko, losowaliśmy porcje, wszystko w imię równości, wszyscy dzisiaj równi wobec losu, wobec kotła zupy czy kawałka chleba, wobec śmierci. Wszyscy równi, tak chcieliśmy i klóćiliśmy się o tę równość, czasem bili nawet, do upadłego, chociaż wiedzieliśmy, raczej czuliśmy, że nawet w tym strasznym obozie nigdy równości nie osiągniemy, chyba tylko w śmierci. Kocioł zupy czy krwawe kawałki blutwurstu wydobywały z ludzi drobiazgowość i szlachetność, zachłanność i delikatność, zadróżo i obojętność, zachłanność i szeroki gest, uczciwość i nieuczciwość, w miarkach, których wyrównać nie mogły żadne wagi, najbardziej nawet precyzyjne, a cóż dopiero

obozowe. Miska krabów czy ćwierć B.B.I.C. ba były dla jednych przedłużeniem życia o jeszcze kilka godzin, dla innych stanowiły walutę obiegową, zamieniali je na papierosy, na złote dolary, zupę na chleb, chleb na zupę. A Wanda zamieniała część przydziałów na kosmetyki, margarynę zaś używała jako krem do twarzy, „ja inaczej nie umiem“, mówiła, robiąc kosmetyczne miny do kieszonkowego lusterka. Kiedy zapadał zmrok ona pierwsza wychodziła z baraku na amory z ongiś przystojnym Józefem, który zniknął w oczach.

Bicz rażącego światła, który wędrował po obozie, nie przeszkadzał parom, szukającym w ciemnościach złudzenia samotności i uczucia. Któregoś dnia, podczas nocnej inspekcji, Niemcy zostali w kobiecych barakach kilkunastu mężczyzn. Zatrzymali ich, dużo było strachu, ale skończyło się na tym, że podczas apelu przedefilowali przed ustawionymi w piątki obozowiczami, którym Niemcy kazali śmiać się z lokalnych Don Juanów. Na nikim nie zrobiło to wrażenia, ale z czysto fizjologicznych przyczyn ilość tych romantyków malała z dnia na dzień, warunki naprawdę nie sprzyjały romansom.

W obozie nie było elektryczności, zachód słońca oznaczał noc. Aksamitna ciemność pokrywała duże sale i małych ludzi, sublimując lepsze instynkty. Ze zmrokiem przychodziła do baraków Rubinowa z apelami do ofiarności społecznej, spotykając się z ciepłym przyjęciem, ja dam parę pantofli, ja ofiaruję palto. W ciszy zmroku słuchaliśmy lirycznych piosenek, wierszy i wspomnień, mówiliśmy o Wyjeździe, który był ważniejszy nawet niż Obiad. Mówiło się, że Haas (SS Hauptsturmführer, komendant Bergen-Belzen) powiedział, że kilka dni, tygodni... inny esesman groził, że zatęsknimy za darmowym chlebem, tamten bąknął co innego. Dla wielu była to najlepsza kołysanka.

Powoli milkły rozmowy. Stłumiony chichot, chrapanie, kaszel, odgłosy siusiania do blaszanych misek, czasem rozpaczliwy głos dziecka, „mamo, boję się“ zamierał, w niezrozumiałym bełkocie. Niekiedy ktoś zasnął, dostał bólów, doktor, świeca, w chybotliwym świetle nierealne postaci okutane pedami, biegające cienie po belkach, jęki, potem znowu ciemność, szkoda świecy. Noc tworzy ściany między ludźmi, zastępuje drzwi. Te zamknięte na klucz drzwi, które wśród niemożliwej do uniknięcia obecności tylu obcych ludzi były dla nas symbolem prywatnego życia, normalności. O Boże, móc zamknąć za sobą drzwi i odgrodzić się od całego świata!

TRANSPORT

Przyjechał nowy transport, z Warszawy, z Hotelu Polskiego. Jeszcze bar-

dziej przerażony od naszego, bo przed wyjazdem przeżyli jeszcze jedno piekło. Żandarmi, którzy nas wyekspediowali, zaarrestowali pozostałych w Hotelu i odstawili ich na Pawiak, gdzie rozpoczęła się „zabawa w papiery“. Po kilkunastu dniach straszliwej niepewności część ludzi uznano za „Ausländerów“, a resztę rozstrzelano na dziedzińcu Pawiaka. Powzdychaliśmy nad losem tych, których wykończono na Pawiaku, a ja pomyślałam sobie, że gdybym czekała na rzeczy Bobusia, to by dziecko już na pewno tych rzeczy nie nosiło, ani innych też.

Inna grupa była z KL Lublin. Opowiadali, że ludzie chodzą tam boso, w pasiakach z papieru, katują ich i głodzą. Zmuszałam się, żeby pytać ich o moją rodzinę. Często nie mogłam wydobyc z siebie nazwiska, wstydziłam się pytać, czy nie widzieli Mamy, Ojca, Brata, boso, w pasiakach, umierających z głodu. Wstydziłam się, a może nie chciałam dopuścić do siebie tych możliwości, broniłam się przed nimi, odpędzałam je. Wróciły dni chandry i bólu, znów stawiali mi przed oczyma, tacy bliscy, a tak już nierealni, z ogolonymi głowami, głodni i bici. Może ich przedtem zabili, Boże, żeby ich przedtem zabili.

Przyjechały także transporty z Bochni i ze Lwowa, z Łubianki, z jakimiś żelazobetonowymi dokumentami amerykańskiego i palestyńskiego obywatelstwa. Przywieźli wielkie bagaże, byli pewni siebie, udawali nawet przed sobą, że wszyscy są jak najbardziej „koszerni“, co się zresztą później okazało jeszcze jednym złudzeniem. Uważali, że pokutują za nasze grzechy, gdyż przez szwindle z Hotelu Polskiego opóźnia się ich wyjazd prosto do Chile, Gwatemali czy Palestyny. Byli w tej grupie lekarze, adwokaci, inżynierowie, przemysłowcy, dużo kobiet i dzieci. Było nas w Sonderlager już około 4000.

W tym okresie Bobuś zachorował na zapalenie płuc. Byłam z nim w szpitaliku, który opalałam Stasia i własnym przemyśleniem, inkasując od przyjaciół kawałki drzewa na rozpalkę, cukierki, herbatę i inne dobroci. Jeszcze malec nie stanął porządnie na nogach, gdy ogłoszono tak upragniony Wyjazd. Entuzjazm osłabł trochę, gdy dowiedzieliśmy się, że nie prosto do Gwatemali czy Nikaragui, ale narazie do innego obozu, do Bergau. I że nie wszyscy jadą. Porównywanie dokumentów nie nie wyjaśniło, bo rozdzielano rodziny z identycznymi papierami, nie zmagdzeliliśmy także po inkwizycji u politycznego szefa B. B., SS Hauptsturmführera Seidla. Początkowo ludzie z tzw. palestyńskiej listy mieli jechać, zaprawiałam już Boba do chodzenia, bo po

(Dokończenie na str. 22)

chorobie chwiał się na nogach, ale na kilka godzin przed wyjazdem — nowy rozkaz, zostajemy.

Wyjeżdżało ok. 2000 ludzi, którzy przesiadli cały dzień na bagażach, z drugiej strony kolczastych drutów, za bramą. Komendant Haas flirtował z piękną Hanną, jak dobrze im będzie w Bergau. Jechali także ci z Bochni i ze Lwowa, ubrani w najlepsze, płaszcz z lisami, aksamitne kapelusze, pelisy, gazowe pończochy i sportowe pantofle. Ausländerzy. Załadowano ich do bydzących wagonów z zakratowanymi otworami szerokości 20 cm., a myśmy prędko pocieszyli się, bo tego dnia dano nam ich przydział zupy, najedliśmy się za wszystkie czasy i rozczarowania. W B. B. pozostali rodzice, a dzieci pojechały, byli bracia, siostry i krewni „Bergauowców“, którzy pocieszały się, pojedziemy wkrótce za nimi. Było także kilka rodzin, które zamieniły się papierami, bo nie chciały rozłączać się.

Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się o losie „Bergauowców“. Zawieźli ich prosto na rampę śmierci do Oświęcimia. Jeden z robotników pracujących przy piecach powiedział im, że za 15 minut idą do gazu, poprosił o kosztowności i walutę, które jego mogą jeszcze w pewnym sensie ratować. Wytłumaczył im, że po ich śmierci i tak wszystko pójdzie do „Kanady“, skąd zabiorą to Niemcy. Ludzie w pięknych strojach, z „pewnymi“ papierami, nie dowierzali własnym uszom. Krzyki, spazmy, płacz. A potem, w szaleńczym odruchu desperacji zaczęli rzucać w Niemców termosami i paczkami, próbowali stawiać opór. Tancerka Franciszka Mann zakończyła niesławną karierę jasnowłosej agentki Gestapo filmowym odruchem bohaterstwa: rzuciła się na jednego z esesmanów, wyrwała mu rewolwer i zastrzeliła jego, a potem siebie. Smutnym rezultatem tej dramatycznej sceny była straszliwa śmierć w torturach całej grupy, trzymali ich w gazie znacznie dłużej niż było trzeba.

Naoczny świadek, ów zapobiegliwy robotnik od pieców, zeznawał po wojnie w Paryżu. Na zdziwione pytania, jak mógł uświadomić nieszczęsnych o tym co ich czeka, odpowiedział, że człowiek który widział zagładę całej swojej rodziny i tysięcy innych rodzin, traci delikatność tych, którzy nie pełnili takich funkcji jak on. A poza tym, przecież dał im mikroskopijną szansę zakończenia życia w inny sposób niż w gazie.

Nina Tomkiewicz

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“

„TRZY SZKICE ROMANTYCZNE“

TYTUŁ ostatniej książki Jarosława Maciejewskiego, znanego polonisty, profesora historii literatury polskiej na uniwersytecie poznańskim*), budzi zastrzeżenie. Jego trzy szkice zawarte we wspomnianej książce dotyczą trzech utworów z okresu romantyzmu, lecz same nie są bynajmniej romantyczne, tylko wynikiem wnikliwych i rozumowych badań „medrea szkiełka i oka“, i, wedle określenia Maciejewskiego, poddanych „filologicznemu mikroskopowi“.

Te trzy szkice są to szczegółowe dociekania motywów twórczych, a przy tym niewłaściwych wydań *Dziadów* tzw. „Litewskich“, „kłątwy ciężającej“ na druku *Epilogu* „Pana Tadeusza“, oraz próba oryginalnej interpretacji *Balladyny*.

Maciejewski stara się dociec dlaczego *Dziady* rodziły się i ukazywały drukiem najprzód jako ich część II i część IV., po których, dopiero w kilka lat później, napisana została część III, uzupełniona dodatkowo częścią I. Na podstawie olbrzymiego materiału historycznego oraz szczegółowej biografii Mickiewicza, Maciejewski wyjaśnia genezę pierwszego zarysu II-ej części *Dziadów* w 1821 bliskiej treści i nastrojem *Ballad* i *Romansów* oraz wierszy mających się znaleźć w pierwszych trzech tomach młodego poety, które jednak nie ukazały się drukiem z powodu zakazu cenzury. W r. 1823 Mickiewicz po utracie Maryli wybucha pesymizmem i aktem buntu przeciw porywom filomackim, jak też zbyt ortodoksyjnie pojętej religii, której wyrazem jest *Książd*... Tymczasem nastaje w Wilnie chwilowy liberalizm cenzury wskutek wejścia do jej komitetu J. Lelewela, co skłania Mickiewicza do pośpiesznego wydania gotowych II-ej i IV-tej części *Dziadów*, tytułując je „Ułamki z poematu *Dziadów*“, mając widocznie zamiar dopisać kiedyś część I-ą i część III-ą. Ale w międzyczasie zaszły wypadki, które zaciążyły nad życiem i twórczością Mickiewicza: jego uwięzienie, wygnanie do Rosji, Powstanie 1831 r. i pobyt w Dreźnie, gdzie streścił swoje przeżycia, które stały się III-cią częścią *Dziadów*. Wydał ją w Paryżu A. Chodźko w 1834, razem z

dwoma uprzednimi. Mickiewicz połączył je aluzjami w tekście jak też osobą bohatera, mimo zmiany jego imienia z Gustawa na Konrada, zaznaczając że odtąd oddaje się ojczyźnie. Dopiero po śmierci Mickiewicza uzupełniono *Dziady* częścią I-ą „z rękopisów pośmiertnych“.

Ma się rozumieć powyższe streszczenie historii powstawania *Dziadów* nie uwzględnia wszystkich szczegółów i przyczyn ich „nieporządności“, która właśnie, zdaniem Maciejewskiego, stała się dla *Dziadów* „szczeblem do sławy grodu“, i że właśnie ta „nieporządność“ „stworzyła w literaturze polskiej nowy styl, symbol romantyzmu, symbol największego w historii tej literatury przełomu“.

* * *

Jarosław Maciejewski, jako znawca Mickiewicza i autor ważnej oraz ciekawej książki („Gdy gościł w Wielkopolsce“. 1958) o jego pobycie w Poznańskim w czasie Powstania 1831 r., zainteresował się również *Epilogiem* Pana Tadeusza, nad którym jak się wyraził „zaciążyła filologiczna kłątwa“, dla ogółu czytelników nieznaną i dotąd nie wyjaśnioną.

Ważnym jest przede wszystkim, że Mickiewicz dając do druku „Pana Tadeusza“ w r. 1834, zagubił był jego zakończenie, które nie odnalazło się nawet podczas przygotowania dalszego wydania poematu w 1844 r. I dopiero po śmierci Mickiewicza E. Januszkiewicz i J. Klaczko odnaleźli autograf wiersza, który J. Klaczko uznał za wstęp do „Pana Tadeusza“ i odpowiednio go zaadaptował, aż R. Pilat, a za nim St. Pigoń przyjęli go za zakończenie poematu, które z kolei J. Kleiner „ulogicznili“, utrwalając tekst Klaczki i Pigoń.

Maciejewski, operując znakomitą znajomością stosunków paryskiej emigracji widzi w *Epilogu*, począwszy od jego tytułu, zakończenie „Pana Tadeusza“, nawiązujące do ksiąg XI-ej i XII-ej poematu, w których Soplicowska „sielanka“ nabrzmiewa niepokojem wyprawy napoleońskiej, co każe Mickiewiczowi zakończyć ją akcentem dramatycznym. Zresztą Mickiewicz w międzyczasie rozczarował się co do możliwości dalszej walki powstańczej na skutek tragedii wyprawy Zaliwskiego. Te zmiany nastroju odczuwa się w *Epilogu*, jak też odmiennosc jego poglądu

*)Jarosław Maciejewski „Trzy szkice romantyczne“. Wydawnictwo poznańskie. Przypisy. Indeks osób. Stron 298. Rok 1967.

od optymizmu Słowackiego, wróżącego chociażby w *Lambrze* przyszłość i wielkość emigracji. I w tej odmienności obu poetów tkwi — wedle Maciejewskiego — przyczyna, że Mickiewicz za swego życia w ogóle nie wydrukował *Epilogu*, gdyż niegdyś wytknąwszy Słowackiemu „kościół bez Boga“ nie chciał się przyznać, że sam również stracił wiarę w przyszłość, uciekając przed rzeczywistością w krainę utudy, w kraj dzieciństwa...

* * *

Również w legendarnej, baśniowej treści „Ariostycznej“ tragedii Słowackiego *Balladynie*, Maciejewski dostrzega: „najogólniejszą metaforę dla całej polskiej współczesności politycznej początków XIX w.“, jak też polemikę tym razem z J. Lelewelem i jego teorią prehistorii, wywodzącej polski naród od Lecha, protoplasty gnieźnieńskiego państwa. Poetycka fantazja Słowackiego skierowała ten wywód historyczny na „boczny tor“, w którym świat realny ulega zjawiskom ponadmysłowym, na czym polega tragedia narodu i państwa.

Albowiem istotą treści *Balladyny* jest — wedle Maciejewskiego — spór o królewską koronę będącą w posiadaniu Pustelnika, niegdyś króla Popiela III-go, wyzutego z praw królewskich przez jego brata (Popiela IV-go. Obrótcą korony jest szlachetny rycerz Kirkor, żeniący się za radą tegoż Pustelnika z „chłopianką“ *Balladyną*, która po trupach dochodzi do stanowiska królowej, ale z tą chwilą ginie od pioruna, gdyż korona, by przynieść ludowi szczęście, winna być „niezakrwawiona“ i symbolem moralności władzy.

Ten szkielet tragedii rysuje się poprzez różnorodnie barwne sceny sielankowo-ludowe oraz baśń o nieziemskiej królowej Goplanie, rządzącej światem wedle swej fantazji, obdarzając prostaka Grabca swą miłością i koroną, którą porwał Pustelnikowi, zanim zdobędzie ją *Balladyna* w bitwie dwóch obozów walczących, jednego w jej imieniu, a drugiego w imieniu rycerza Kirkora.

I Maciejewski stawia pytanie, czy te dwa obozy i w ogóle walka o władzę nie jest odbiciem współczesnych Słowackiemu walk paryskiej emigracji, tj. obozu konserwatywnego uznającego nobilitację chłopca przy hegemonii szlachty i obozu demokratycznego o programie zrównania stanów i dalszej walki rewolucyjno-spiskowej? W tragedii istnieją oba te światy w postaci Pustelnika — króla Popiela, rycerza Kirkora i najemnego spiskowca Kostryna, oraz — jeśli idzie o lud — w postaci szlachetnej, ale naiwnej Aliny,

pijanego Grabca i *Balladyny*. Ale swą drogę wzwyż, ściele trupami i ją dosięga śmierć — fatalizm narodu. Żywym pozostaje tylko Filon, marzący poeta...

Czyli *Balladynę* Maciejewski uważa za potępienie emigracji i zapowiedź tragicznego zwycięstwa ludu. Stąd Słowackiego „Sofoklesowe — niestety“ w dedykacji swej tragedii *Z. Krasieńskie*mu.

* * *

Maciejewski, analizując trzy powyższe utwory *Dziady* „litewskie“, *Balladynę* i *Epilog* Pana Tadeusza, daje dowód, niezależnie od opanowania bibliografii przedmiotu, własnej psychologicznej wyobraźni wyzywającej się w twórcze pobudki autorów, których komentuje. Przykładem tego jest już jego studium o *Kordianie* (1961), w którym sugeruje treść zapowiedzianych i nie-napisanych dwóch części *Trylogii* *Spisku Koronacyjnego*. Wyniki dociekań Maciejewskiego przemawiają do przekonania, budząc tylko czasami żal, że jego analiza, wglębiająca się w interpretacyjne i wydawnicze szczegóły, pomija poetyckie elementy arcydzieł, którymi się zajmuje. Wprawdzie trzy utwory, o których mowa, są znanymi polskiemu ogółowi „klasykami“, nie mniej, śledząc badania dotyczące np. *Balladyny* czuje się brak podkreślenia jej poetyckiego piękna, np. poezji nastroju wiejskiej chaty *Wdowy*, zanim wzgardziła nią ambicja *Balladyny*.

Poza tym, jak wiadomo, kilka ważniejszych motywów tej tragedii walki o władzę nie jest wytworem indywidualnych pomysłów Słowackiego, lecz raczej wyrazem wpływu Szekspira, zacząwszy od jej typu i konstrukcji, jak i jej bohaterki *Balladyny*, idącej śladami *Lady Makbeth*, również jak *Goplany* i *Grabca* przypominających *Tytanię* i *Bottona*, jak też *Chochlika* i *Skierkę* spełniających rolę *Pucka* itd. — czyli nie są bezpośrednimi argumentami historiozoficznej koncepcji Słowackiego — czego Maciejewski nie bierze w rachubę.

Godnym jednak uznania jest, że u źródła dociekań Maciejewskiego wyczuwa się chwalebny chęć dotarcia do twórczej prawdy poetów oraz ich istotnego stosunku do życia, prawdy obecnie często interpretowanej fałszywie czy dla wykazania oryginalności interpretatorów, czy...ze względu na koniunkturę.

Ale w pewnej dziedzinie, mianowicie stylu, Maciejewski daje się czasem unieść stylowej koniunkturze obecnej np. zapowiadając we wstępie do swej książki, że trzy szkice romantyczne zestawia „nie tylko z upoważnienia tradycyjnej periodyzacji polskiej literatury“ ale i

wspólnych problemów badawczych. Kie-dyindziej, Maciejewski przyjmuje „założenie niepoznawalności i chaotyczności bytu oraz poetykę amorfizmu jako egzemplifikację kierunku“ (egzystencjalistycznego) (str. 10). I na tej samej stronie, mówiąc o *Dziadach*, stwierdza on, że czyni próbę „idiogenetycznego spojrzenia“, poprzez pryzmat szczególowej filologii.

Ubolewać należy, iż obcując tak blisko z Mickiewiczem i Słowackim J. Maciejewski nie uznał za obowiązującą prostotę ich języka, którym obaj poeci umieli wyrazić nawet najwznioślejsze sprawy człowieka i świata.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

T. Katelbach: ZET.

Wiktor Tomir Drymer: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935—1939.

Stanisław Kot: Wspomnienia (III)

Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

Witold Babiński: Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

Tadeusz Romer: U kolebki pewnego sojuszu.

Jan Weistein: Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

Doskonała książka na nagrodę młodzieży w szkołach przedmiotów ojczytych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów

„Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

WSPOMNIENIE Z 2-EJ BRYGADY

W ROKU 1958-ym, w liście do redakcji „Wiadomości“ — Szymon Konarski wyjednywał okoliczności łągodzące dla wszystkich „wspominków“. Pisał:

„Wiele przyjemności i związanym z tym przykrości właściwym dla młodych wiekiem i doświadczeniem jest dla nas „starych“ („starych“ — dopisek mój) niedostępnych, niechże młodzi pozwolą nam cieszyć się chociaż wspomnieniami.“

Śmiem wątpić aby to „cieszenie się wspomnieniami“ było powodem do napisania „Bomberaków, cacydupków i lapiduchów“.*) Mało jest bowiem radości w tych jednorodnych wspomnieniach leigonowych (rok 1914-15). Sądzę raczej, że kierowała autorem chęć znanego i cenionego kronikarza — utrwaleń ścisłych i wiarogodnych wspomnień i przekazania ich innym. Poza tym od czasów Homerowskich począwszy — przeszłość rzucała zawsze czar na wyobraźnię, nierówie silniejszy niż chwila bieżąca. Szukano poza tym w przeszłości zawsze nauki i nieraz ucieczki od współczesności.

„Ludzie lubią oglądać się wstecz“ — pisze Parandowski.

Na ścisłość Konarski położył specjalny nacisk. Koryguje więc dwukrotnie nieścisłości o sobie, jakie wkrały się do książki Bolesława Roji „Legioniści w Karpatach“ i czuje się w obowiązku te błędy poprawić. Raz kapitan Roja napisał o miłym, odważnym chłopcu Tęczu, że miał go u swego boku — kiedy tym adiutantem był wówczas Szymek Konarski. Drugi błąd wkrał się, że jakoby przy powtórnym zdobywaniu Mołotkowa Szymek Konarski odznaczył się obok Władka Smolarskiego. Autor na niekorzyść swoją notuje, że była to nieścisłość, albowiem w tej bitwie nie brał udziału, będąc na wpeł przytomny w gorączce, w drodze do szpitala. Widzimy więc, że wspomnienia autora nie unoszą się fantazją i oparte są na pamięci, która nie zawodzi autora po 53 latach. Historykom te wspomnienia posłużą jako materiał dowodowy — tak konieczny w chwili, kiedy Kraj wypacza tendencyjnie naszą historię.

Świeżość wspomnień jest zadziwiająca. Czytając mamy wrażenie, że ot wczoraj Szymek Konarski, wraz ze Stasiem

Świdą wyprowadzili ze stajni gniadą klacz i brudnego kasztana i zwiali do Legionów. Że ot wczoraj starszy brat Lolek, w miesiąc po ślubie, stawiał się na zew „za broń, na koń“. Tacy byli ci Konarscy z Bejse.

Szczęśliwe czasy, kiedy koń w armii nie był przeżytkiem. Kiedy nie był historycznym zacofaniem i tragedią Lwa Sapiehy z „Wysokości siodła“. Koń. Mój Boże! Kilka dni temu siedmioletnia dziewczynka ze „Stanów“ — poprosiła mnie, abym jej koniecznie pokazała „żywego konia“, bo ona go widziała jedynie na obrazku. Wspomnienia więc Szymka Konarskiego i jego przydział do piechoty („bomberaków), uwłaczająca honorowi młodego ułana — są już obce młodzieży dzisiejszej — tak jak pogląd na wojnę musi już zadziwiać. Przecież od 1914-go roku tyle okropności przewaliło się poprzez martyrologię Katynia i Dachau, że wspomnienia Szymka Konarskiego i jego nieśczęścia brnące po kopnym śniegu w kawaleryjskich butach z ostrogami, w gorączce — muszą się wydawać blahe. Szczególnie mało zrozumiałe dla współczesnej młodzieży, która już nie czuje urazu na punkcie sponstwowanej ambicji szlacheckiej, wyklętej z ułańskiego raju.

Ale dla młodego chłopca wtedy — była to prawdziwa tragedia. Dla chłopca, który w przyszłości miał kochać się w herbarzach „Kanoniczek Warszawskich“, w „Noblesse polonaise titrée“, w rodowodach Kirkorów i Platerów. Rozpaczą przyszłego kronikarza nie kierował snobizm — raczej wkorzeniona tradycja, że piękno herbów zdobywano zawsze w bitwie, z wysokości siodła. Że marzenie o szarżach(przynajmniej po 3-ch na dzień) przy których Samosierra — była dzieckiem — stanowiło „mołojcką ambicję“ prawdziwej wojny.

Wstęp do wojny to jakby Nowakowskiego „Gałązka rozmarynu“. Romanizm i patriotyzm zgłaszających się do wojska profesorów, obieżyświatów, sędziów, fiaków krakowskich, aktorów, artystów i gimnazystów. Autor ma 20 lat i upija się, aby nie złożyć przysięgi na wierność Franciszkowi Józefowi. A potem warty i musztry. 2 pułki piechoty i dwa szwadrony ułanów nędźnie uzbrojonych, stare działka i ani jednego karabinu maszynowego. A potem ten impet bojowy bez glorii bohaterstwa. Ta pierwsza bitwa Kampanii Kar-

packiej opisana pod względem literackim bardzo plastycznie. Różnorodność wrażeń i reakcji zupełnie pozbawionych uczucia strachu. Kapral Konarski jeździł na patrole. Samowolnie wdał się w bitwę, co zakończyło się podaniem go do odznaczenia. Chłopiec zwrócił na siebie uwagę kpt. Ro'i, który obdarzył go uczuciem sympatii i zaufania, postanawiając zatrzymać go przy sobie w roli adiutanta.

Więc patrole. Więc uganianie się z rozkazami. Więc meldunki pod ostrzałem, z których na szczęście i kapral Konarski i jego klacz Swaśłowa wyszli cało. Roja starał się o stałe przydzielenie do piechoty, ale Szymek nie chciał służyć w „bomberakach“. I wrócił do swego szwadronu. Ale tu ułani „cacydupki“ zatruli mu życie. Był dla nich, jako adiutant Roji — parszywą owcą, synem marnotrawnym, który w piecho- synie splamił honor ułański. Chłopiec tłumaczył, argumentował, zamiast urządzić się z nimi i odwalić kilka ułańskich kawalów. W rezultacie musiał poddać się decyzji przydzielenia do czwartego batalionu II pułku piechoty. Swaśłowa została sprzedana, a jemu odmówiono nawet środków lokomocji mówiąc:

„Chciał iść do piechoty — dobrze, ale na piechotę.“ Czytając ten ustęp przypominałam sobie stary kawał. Oto pyta ułan lotnika, dlaczego nie ma szabli? A lotnik mu odpowiada: — Dlatego, że lotnikowi tak jest potrzebna szabla, jak ułanowi rozum. (Przepraszam za dygresję nie ujmującą ułanom bohaterstwa).

Zaczęły się musztry, regulaminy, dramatyczne walki, ofensywa przy 30° poniżej zera. Odwrot. Złośliwa gorączka. Nastroje ciężkie. Pełne cholewy śniegu. Adiutantura przy Roji i prowadzenie ewidencji pochowanych w walce o Zieloną. Jak uzgodnić tożsamość nieboszczyków obrabowanych przez Huculów do naga? Jak wytrzymać nerwowo widok trupów zwożonych i dźwięk ciał zmarniętych zrzuconych do wspólnych grobów?

Zaczęły się nerwy. Brak snu. Przemęczenie i wyczerpanie nerwowe. Więc pierwszy szpital w Marmaroszu Sziget. Opisywał te szpitale przyfrontowe i Hemingway i Pasternak. Konarski nie jest tym co Irzykowski określił mianem „Opisywacza“. On notuje raczej zmienne nastroje, uczucia, wstrząsy psychiczne. Ten sam Szymek Konarski, za-

(Dokończenie obok)

Wspomnienie o Zygmuncie Szemplińskim

Tym, którzy go bliżej nie znali, nazwisko Szemplińskiego niewiele mówi. Wysokich godności nie piastował. Dzieł wiekopomnych nie zostawił. Jako publicysta nie podpisał się od 1939 roku własnym nazwiskiem. Od lat kilkunastu coraz mniejszy brał udział w życiu społecznym i towarzyskim. Potem przestał pisać. Stał się samotnikiem. Długo chorował. Zdawać by się mogło, życie całkiem zwykłe, jakich wiele. Tyle tylko, że na świecie byłoby jaśniej i piękniej, gdyby podobnych ludzi było więcej.

Urodził się u progu XX wieku, w lutym 1900 roku, w Krasnem, na Podolu. Gimnazjum w Niemirowie, rosyjskie w braku innego, kończy ze złotym medalem. Dzieciństwo i wczesną młodość na wsi, styl życia kresowego, podolskie krajobrazy dały mu spojrzenie na świat trochę poetyckie, rozległe horyzonty myśli, ukochanie przyrody, zrozumienie braterstwa pomieszanych narodowości nie zatrute nacjonalizmem. W mieście było mu zawsze duszno.

W 1919 roku dostaje się do Polski, by jako ochotnik bronić jej granic i prawa do życia. W 1920 roku ranny, dostaje się do niewoli bolszewickiej. Narodowi rosyjskiemu i rewolucji przygląda się ciekawie, nie bez sympatii, ale i nie bez krytycyzmu. Po ryskim pokoju wraca do Polski. Kończy w Warszawie Wolną Wszechnicę i pracuje

tam jako asystent przy katedrze skarbowości prof. Pragiera. Według słów Profesora był najlepszym z jego asystentów. Pochłania dzieła ekonomistów, socjologów, filozofów, ale także literaturę piękną, zwłaszcza poezję, polską i rosyjską. Po 40 latach umiał jeszcze godzinami recytować — i jak recytować — *Maraton Ujejskiego*, wiersze Błoka i inne ulubione utwory. Píše też sumienną rozprawę, *Skarb i pieniądz w ZSSR*. Zaproszony przez dyrektora wileńskiej Szkoły Nauk Politycznych, prof. Wł. Wielhorskiego, jeździ na wykłady do Wilna. Żeni się ze swą młodszą koleżanką, Jadwigą Filipkowską. Oboje należą do radykalnej Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

Poznałem go w połowie 1931 roku, gdy z inicjatywy Czesława Bobrowskiego podjęliśmy wydawanie dwutygodnika *Gospodarka Narodowa*. Jako jej oparcie powstał Klub Gospodarki Narodowej — grono młodych ekonomistów rozważających zagadnienia polityki gospodarczej w ścisłym związku ze strukturą społeczno-gospodarczą kraju. W doborze członków i artykułów nie stosowaliśmy kryteriów politycznych, a chociaż większość stanowili urzędnicy, udało się nam zachować niezależność, bez której pismo i klub nie miałyby sensu. Krytyka zarządzeń oficjalnych bywała ostra, ale bez rozgrywek i ataków personalnych. Przy szerokim wachlarzu poglądów spory i polemiki były nieuniknione, zrodził się jednak wspólny język, a nawet zbieżność wielu ocen. Zgodnie wytykaliśmy lekceważenie lub niedostrzeżenie pośrednich i odległych skutków różnych decyzji, zgodnie zwalczyliśmy tendencje autarkiczne i monopolistyczne, zgodnie docenialiśmy konieczność wykonania reformy rolnej i podniesienia rolnictwa.

Przy nakładzie 700-1200 egzemplarzy trudno było marzyć o honorariach, szpały więc *Gospodarki* wypełnialiśmy głównie sami. Dopiero od 1935 roku zaczęliśmy skromnie płacić, ale tylko „obeym“ autorom.

Szempliński brał w dyskusjach i w pracy pisarskiej żywy udział. Był od początku członkiem komitetu redakcyjnego, czas jakiś redaktorem pisma. Nie od razu się na nim poznałem. Poglądy nasze na drogi wyjścia z dławiącego kraj kryzysu gospodarczego były sprzeczne. On nie godził się z deflacją, oburzała go „bezczyność“ państwa w obliczu klęski bezrobocia, domagał się pod-

jęcia większych robót dla rozruszania koniunktury. Ja szukałem rozwiązań bardziej klasycznych, naszej polityce deflacji zarzucałem głównie brak stanowczości. Zbliżyło nas jednak rosnące zaufanie do wzajemnej dobrej woli w szukaniu środków mających prowadzić do wspólnego przecież celu.

Jego radykalizm nie miał nic w sobie ze snobizmu pięknoduchów, ani z doktrynerstwa. Miał źródło w rzeczywistym zainteresowaniu dla ludzi, stąd odczuwanie krzywd i upośledzeń. Zresztą etykieta radykała coraz mniej do niego przystawała, jak i wszelka inna. Był po prostu dobrym, szlachetnym człowiekiem. Zawsze też gotów był poddać sprawy mniej ważne najważniejszym. Do tych zaliczał bezpieczeństwo państwa i taki jego rozwój polityczny i gospodarczy, który by wszystkim zapewnił godne życie.

Gdy Bobrowski wyjechał do Moskwy na przewlekłe rokowania handlowe, bodaj w jesieni 1931 r., Szempliński objął po nim referat sowiecki w departamencie handlowym Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Znając Rosję i psychologię jej mieszkańców, ich język i literaturę, inteligentny, samodzielnie myślący, lojalny bez cienia serwilizmu — nadawał się jak mało kto do tej pracy. Było wiadomo, że o południu trzeba go szukać nad „pół-czarną“ w kawiarence na Placu Teatralnym, ale gdy była ważna robota — nie liczył godzin pracy. Ławo dopasował się do atmosfery departamentu, którego długoletni dyrektor, Mieczysław Sokołowski, zdołał dobrać i wyszkolić wyjątkowo sprawny i daleki od biurokracji aparat.

Troską rządu było w owym czasie wyzyskanie względnej poprawy w stosunkach z Moskwą (pakt nieagresji) dla pomnożenia nikłych dotąd obrotów. Bobrowskiemu i Szemplińskiemu przypadła tu ważna rola, a Klub G.N. w pełni tę politykę popierał. Wizja uzyskania na wschodzie wielkiego rynku dla polskiego przemysłu jak i źródła surowców mogła się jednak ziścić w nader tylko skromnych rozmiarach, gdyż Sowiety prowadziły politykę samowystarczalności. Gdy na Ukrainie miliony ludzi marły z głodu, rolnictwo polskie dusiło się od nadmiaru produktów, na które brakło zbyru.

W jesieni 1935 r., gdy Eugeniusz Kwiatkowski objął tękę skarbu i wicepremierostwo do spraw gospodarczych, kilku członków naszego klubu przeszło

(Dokończenie na str. 26)

leżnie od momentu podlega różnym skalom odczuwania i zmienia się. To wraca pod opiekę brata do ułanów i swojej klaczy „Swaślowej“. Marzy o szarzy i tylko słyca, jak mu Lolek opowiada o szarzy pod Rokitną i o brawurze i o tych co zginęli śmiercią bohaterską. I dodaje, że to bohaterstwo na nic się nie przydało, jako zwykły los polskich bohaterstw. To znów doznaje lęków w życiu okopowym w ciągłym oczekiwaniu ataku Moskali. I znów silna gorączka. I drugi szpital w Bystrzycy..

Wzrusza nas bohaterski impet tego chłopca i jego załamanie nerwowe. Ojciec nie może syna po roku poznać w obdartym mizeraku, zwolnionym z wojska, rozgoryczonym i chorym.

Przejście od wyjazdu do powrotu do Belżce jest przeprowadzone niebanalnie, bez wyświechtanych, batalistycznych opisów, co świadczy o artyźmie autora.

Okladka i rysunki w tekście Franciszka Prochaski są bardzo polskie i można się w nich doszukać tradycji rysunku batalistycznego sprzed pierwszej wojny światowej.

do jego resortu, w tym Zygmunt Szempliński. Objął referat inwestycji, znowu szczególnie eksponowany, skoro po latach kryzysu i zastojów Polska podejmowała realizację wielkich zadań, mających służyć zarazem obronności kraju i jego uprzemysłowieniu.

Rychno po wybuchu wojny Szempliński przedostaje się do Francji, gdzie znowu zgłasza się do szeregów. Po klasce Francji znajduje się w Szkocji, a ostatnie dwa lata wojny spędza przy pracy w Ministerstwie Przemysłu i Handlu w Londynie. Uczestniczy w powstaniu „ruchu“ politycznego Niepodległości i Demokracji. Skupiał on w owym czasie wielu młodych, zdolnych i ambitnych ludzi, szukających właściwej postawy w nowej rzeczywistości poza ramami dawnych stronnictw. Po kilku jednak latach Szempliński dochodzi do przekonania, że NiD zagubił się w rozgrywkach taktycznych, opuszcza więc jego szeregi rezygnując z działalności politycznej. Już w tym czasie zdrowie przestaje mu dopisywać.

W 1948 r. podejmuje stałą pracę w redakcji *Orła Białego*, gdzie pod pseudonimem S. Klinga pisze tygodniowe przeglądy wydarzeń politycznych oraz artykuły o sprawach międzynarodowych.

Dwanaście lat tej publicystyki, to największe dzieło jego życia, dotąd może nie przez wszystkich docenione. Cechuje pisarstwo Szemplińskiego kompetencja, umiar i dojrzałość, samodzielność sądów, przenikliwość i jasność, wystrzeżenie się optymizmu, pesymizmu i wszelkich uprzedzeń. Nie bawił się w prorocstwa, a jego ostrożne przewidywania rzadko zawodziły. Już przed wojną zajmowały go dzieła myślicieli wojenno-politycznych, od Clausewitza po Liddell Hart'a. Po wojnie studia te pogłębił.

Trudno marzyć o zbiorowym wydaniu tych kronik, a przecież stanowią one — obok równie znanych czytelnikom *Orła* analiz Ryszarda Piestrzyńskiego, obok publicystyki Aleksandra Bregmana i innych — piękny pomnik kultury politycznej pisarza niepodległościowych na obczyźnie.

W 1960 r. Szempliński przestaje pisać do druku. Przyjmuje skromne stanowisko fotografa (micro-film operator) listów przewozowych (frachtów) na stacji towarowej Bricklayers Arms w Londynie. Ja do tej pracy trafiłem o 4 lata wcześniej i jego przyjście było dla mnie wielką radością. Pracowaliśmy na zmianę przy jednej maszynie elektronicznej, a przy każdej zmianie ucinaliśmy dłuższą pogawędkę. Pracy tej nie chciał żaden Anglik: roboty nie za wiele, ale płaca dość licha, zarywa się kawałek wieczora i brak przerw na her-

batę. Kolegowałem więc przedtem z tuzinem pracowników, ich kolorowość (prócz Maltańczyka i Portugalczyka) nie okupywała małej dbałości w pracy, którą przeważnie uważali za zło konieczne, zanim znaleźli lepszą. Mało ich na ogół obchodziła punktualność, czystość, stan maszyny i usuwanie błędów w dokumentach. Maszyna ma swe kaprysy. Gdy się zatnie, wzywaniem inżyniera z fabryki, to duża strata czasu, ale też większość zacięć można samemu usunąć. Zygmunt posiadał sporo zrozumienia, a nawet pasji do mechaniki. Szukając przyczyn zacięcia się maszyny potrafił przesiedzieć większą część przerwy obiadowej. To było dla niego typowe: wyrzekał na pracę, której nie lubił, a nie żałował wysiłku, by ją wykonać najlepiej.

Sześć lat współpracy pogłębiły naszą przyjaźń, pozwoliły mi też poznać gruntowniej Zygmunta. Jego dawna aktywność już zanikała. Zajmował wobec świata postawę obserwatora, ale bystrego i angażującego się uczuciowo. Praca była napięta ku końcowi dnia, ale były spore okresy, gdy można było całkiem legalnie czytać i rozmawiać. Zygmunt przynosił *Times'a* i *Economist'a*, ja zaś *New York Herald Tribune*. Zostawiał mi do przeczytania najciekawsze wyjątki, nazajutrz dzieliliśmy się wrażeniami. Zazdrościłem mu łatwości, z jaką zaprzyjaźnił się z pracującymi w tym samym pokoju Anglikami. Nie tracił poczucia humoru. Łatwo sięgał do skarbcza swej niezawodnej pamięci, by wy dobyć jakiś dobry kawał.

Patrzył na ludzi z rosnącym zrozumieniem i współczuciem. Wielką dla niego radością były odwiedziny zamieszkałych w Kraju córek, ich listy i fotografie wnuków, które mi z radością pokazywał. Dla dzieci, nawet obcych,

miał szczerzy sentyment i umiał sobie zaskarbiać ich przyjaźń. Ograniczając własne potrzeby, by wysłać rodzinie paczki, a nawet w ostatnim okresie, gdy chodzenie już bardzo go męczyło, nie żałował trudu, by wyszukać odpowiednie przedmioty niewieściej mody.

Jedyną większą przyjemnością, jaką sobie, póki mógł, pozwalał, było chodzenie po górach. Kolejarzom przysługuje na czas urlopu bezpłatny bilet na Kontynent. Zygmunt jeździł w Alpy, w Pireneje, robił duże piesze wycieczki. Nie szukał dzieł sztuki, omijał miasta i muzea, ale czuł przyrodę, umiał się z nią stapiać. Włóczył się po odludnych partiach gór samotnie, zawsze jednak umiał nawiązać ludzkie kontakty z gospodarzami pensjonatów czy schronisk, obdarzał ich dzieci cukierkami, opowiadał o nich z troskliwością. Znałem te same okolice, więc po powrocie dzielił się doświadczeniami. Lubił też pracować w wolnych chwilach w ogrodzie pp. Sukiennickich, przyjaciół jeszcze z Wilna, u których mieszkał. Bardzo się gniewał, gdy p. Sukiennicka coś zmieniła w jego koncepcjach kwiatowych.

W 1965 r. warunki pracy pogorszyły się, bardzo wzrosły wymagania. Zygmunt nie mógł już tego wytrzymać. W połowie 1966 r. przeszedł na emeryturę. Nie mógł już pracować w ogrodzie, z trudnością chodził. Bywał już bodaj tylko u pp. Wiktorostwa Martinów, którzy okazywali mu bardzo wiele serca do ostatniej chwili — i poza nią.

Osierocił w kraju małżonkę, dwie córki (najstarsza zmarła na kulka lat przed wojną, co wielkim było dla niego ciosem), i dwoje wnuków. W Londynie — brata, w całym świecie — wielu przyjaciół. Wrogów chyba nie miał.

Józef Poniatowski

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYŻNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

B.D.I.C

„DOMOWA NURSE“

O P E R A C J A

CZWARTEK, 31 sierpnia 1967.

Jest środek pięknego lata, a ja muszę iść do szpitala. Ciekawy byłem sam — czy będę się bać tej operacji. Ale nie. Miałem w sierpniu tyle roboty, że nawet zapomniałem o terminie i szpital — pisał i przypominał, żebym się wreszcie tam zgłosił. Jutro będą mnie operować.

Wczoraj przywiołem moje auto (Mini) do rodziców i postawiłem je w ogrodzie. I mego psa też tam zostawiłem. Jest to australijski bokser: suczka Tania. Ma teraz 4 miesiące, a ja kupiłem ją dwa tygodnie temu. Żał mi zostawiać psa — bo polubiłem go. Boję się też, żeby o mnie nie zapomniała.

Do szpitala poszliśmy piechotą: ja, ojciec i Tania. Było to bardzo daleko — i lepiej byłoby pojechać tam, ale ja wolałem się przejeść. Właściwie — to chciałem iść jak najdłuższą drogą — żeby tam jak najpóźniej przyjechać. Ale w końcu doszliśmy.

Mój pies Tania — wcale nie był smutny jak się ze mną zegnał. Ojciec raczej wyglądał zmartwiony. Nie wiem, czy dlatego, że odprowadzał mnie na operację — czy, że tak długo szliśmy piechotą, przez mój kaprys. Woznemu przy bramie pokazałem moje skierowanie — a on pokazał mi drogę na prawo — do długiego, parterowego pawilonu A. 2. Po obu stronach tej drogi kwitły róże i były jabłonie pokryte jabłkami. Teraz już byłem sam. Obejrzałem się: ani Tani, ani ojca nie widziałem.

W szpitalu od razu wzięli mnie w swoje obroty. Dostałem łóżko w kącie sali pod oknem i chodziłem przez cały dzień w szlafroku i kłapiących pantoflach. Bardzo często dają tu jeść: z nudów zjadałem za każdym razem po dwie porcje. Mam ze sobą książki i gazety — ale nie chce mi się czytać. Spaceruję po sali i przyglądam się tym co tu leżą. Mama obiecała odwiedzić mnie po południu. Dobrze — bo przynajmniej dowiem się jak Tania czuje się po tym spacerze — i czy jest jej dobrze w ich domu.

Mama przyszła i opowiadała, że tato i Tania śpią po obiedzie. Siedziała tu dość długo, ale to dobrze — bo miałem jakby kawałek domu w szpitalu i nie musiałem przyglądać się chorým.

Mama poszła, a ja jeszcze raz dostałem żarcie, a potem to bardzo dobrze spałem.

PIĄTEK, 1 wrzesień.

Dziś rano była operacja mojej ślepej

kiszki. Przeważnie śpię. Co się obudzę — to widzę mamę obok łóżka. Nic mnie nie boli. Wieczorem — to rozbudziłem się na dobre i wszystko mnie złościło. Zamiast mojej piżamy miałem na sobie koszulę bez rękawów, a moje plecy były mokre. Chciałem znowu spać, ale nie mogłem. Dali mi zastrzyk na sen — ale po godzinie znowu się obudziłem. Leżałem i słuchałem odgłosów z różnych łóżek. Sprzykrzyło mi się i znowu chciałem zasnąć i zacząłem kręcić się na łóżku, aż przyszła siostra i dała mi tym razem pigułkę. Nie bardzo pomogło — bo budziłem się tej nocy często.

SOBOTA, 2 września.

Rano dostałem herbatę i mogłem włożyć moją piżamę. Już poczułem się lepiej, bo plecy miałem przedtem mokre od tej gumy, którą położyli pod prześcieradłem. Już mi przynoszą jedzenie, ale jeść mi się wcale nie chce. W południe zeszedłem z łóżka i usiadłem na fotelu. Dużo z tym miałem roboty i namęczyłem się porządnie, ale o wiele przyjemniej jest siedzieć tu niż leżeć na tym wstrętnym łóżku. Oni pewno dają tę gumę pod prześcieradło, żeby chory przedzej wyrwał ze szpitala.

Mama zdziwiła się bardzo, że już siedzę. Ale nie mogłem jeść żadnych owoców, które przyniosła mi tutaj. Mało mówiłem. Przeważnie odpoczywałem od myślenia i mówienia. Nawet zapomniałem zapytać o Tanię. Poprosiłem, żeby jutro — w niedzielę nikt do mnie z domu nie przychodził, bo przyjedzie mnie odwiedzić, z Londynu — moja girl friend.

NIEDZIELA, 3 września.

Rano cieszyłem się myślą i oczekiwaniem mojej dziewczyny. Przyszła z melonem. Okazało się jednak, że ja sam czuję się jak melon — i nie mogłem nawet ocenić jej pięknego wyglądu. A postarała się i wyglądała bardzo ładnie. Gdy odeszła, byłem trochę zmartwiony — ale niedługo, bo zaraz zasnęłam i spałem bardzo dobrze.

PONIEDZIAŁEK, 4 września.

Dziś odwiedzili mnie Ojciec, Mama i Tania. Ucieszyłem się, gdy zobaczyłem mego psa. Specjalnie wyszedłem na ścieżkę, żeby go zobaczyć. Tania witała się ze mną — ale potem więcej wahała róże przy tej ścieżce, niż mnie. Dziś jadłem nawet trochę — i spałem też dobrze i w dzień i w nocy.

WTOREK, 5 września.

Obudziło mnie coś. To ksiądz nachylony patrzył i mówił. Byłem strasznie zaspany — on właśnie pytał, czy chcę się wypowiedzieć. Chciałem odpowiedzieć — nie — ale odpowiedziałem — tak, bo żał mi się go zrobiło, że tak wcześnie wstaje i chodzi po szpitalach.

ŚRODA, 6 września.

Dzisiejszy dzień odznaczył się tylko ulewным deszczem i wichurą. Szyby były tak zapłakane — że przez nie było trudno zobaczyć — co się na dworze dzieje. Szstorm trząsał jabłonią i jabłka rozpryskiwały się naokoło. Chciałbym już być po drugiej stronie okien i żeby wiatr mną potrząsał jak tą jabłonią. Nie lubię patrzeć na łóżka z chorymi po operacji. Tu leżą po operacjach brzusznych. I myśli się o funkcjach brzucha. I mówi się o brzuchu. Nie wiedziałem dawniej, że brzuch jest taki ważny.

CZWARTEK, 7 września.

Obudziłem się do tej „cup of tea“ — o szóstej, a potem nie mogłem zasnąć. Bok z tą raną swędził mnie. Szykowałem się na okropną nudę. Żeby wyjść myślami stąd — zacząłem planować jak zmodernizować mój dom. Kupiłem go na wiosnę. Jest stary — bo miałem mało pieniędzy, i mnóstwo z nim jest roboty, w ogóle, — a co dopiero — gdy się chce go unowocześnić.

Odnawiałem właśnie w myślach moją kuchnię — gdy mnie zasłonięto i chirurg — ten co operował mnie, z naczelną męską nurse, znaleźli się ze mną w tym małym pomieszczeniu. Kazano mi machać nogami w różnych kierunkach — a ponieważ nie sprawiło mi to bólu — więc wymachiwałem ochotczo, by rozruszać się trochę. Chirurg nie miał białego kitla, był to chudy, wysoki, sztywny i elegancko ubrany Anglik. Uśmiechnął się, że tak macham. Był to bardzo krótko. Powiedział: chrząszcz brzmi w trzcinie, i poszedł. Zwykle nic nie mówił, gdy odchodził po wizycie. Więc było to raczej niezwykłe. Ciekawy jestem — gdzie się tego nauczył?

W tym dniu wyjęto mi szwy, a na zajutrz rano przyjechałem do rodziców. Taksówką — żeby przedzej tam być, i zobaczyć moją piękną suczkę Tanię, moje Mini zmyte czyściutko tym środowym deszczem.

Szłałam się dzisiaj strasznie. Przyszła depesza od Mamy z Wilna. Parę słów, a przecież czułam łyzy mamy w tych dwóch linijkach ostrożnego telegramu. Biedactwo, zamiast „Rosebank“, jak nazywa się domek Mackenziech, gdzie mieszkamy, Mama zaadresowała Bank Rose. Moja kochana, czy ona biedulka myśli, że my mieszkamy tu w banku jakiegoś Rosego?

Ale moja depesza doszła. Przez tyle miesięcy od upadku Francji wahałam się, wreszcie wysłałam stąd. I doszła. A teraz jest mi strasznie ciężko, dużo gorzej niż było wczoraj kiedy nie wiedziałam gdzie Mama z Ojcem są, czy jeszcze w Wilnie, czy może w Warszawie, czy wywiezieni do Rosji. Ten telegram od nich uderzył mnie jakąś dziwiącą, olbrzymią falą beznadziejności. Czy ja ich jeszcze kiedy zobaczę?

8-go po południu.

Pani Mackenzie wchodzi coraz to do mnie do pokoju od frontu, jest wyraźnie niespokojna. Widziała jak płakałam nad depeszą. Ona przecież nie może wiele zrozumieć z nas, z naszych problemów, niepokoju i obaw. Ale jest dobra. Jest zezowata, ma skrzywione usta, ledwo coś sepleni boczkim warg, tak, że nie mogę się z nią dogadać. Ale wiem, że chciałyby pomóc. Nie rozumiem jej szkocko-angielskiego, tak samo jak nie rozumiem obyczaju, który mnie otacza, ale pani Mackenzie głaszcze małą po głowie i uśmiecha się krzywo i smutno, bo nie może inaczej. Jej zapobiegliwa obecność pomaga mi do pohamowania nagłych wyskoków rozpaczy.

Moja dziecina bardzo jest nerwowa, chyba już wszystkie języki pomieszały się w jej dwuletniej główce i długo nie będzie mówiła żadnym poprawnie. Po polskim szczebiocze, po kilku słowach dobrze sformułowanych, znalazła się we Francji. A teraz tu. Bawiąc się z wnukami pani Mackenzie (a może to jej dzieci, a nie wnuki? Jest ich pięcioro w Rosebanku, wszystkie śpią w nieopalaney sypialni na piętrze) woła teraz ku nim jedynym słowem jakie zapamiętała z zabaw we Francji. Woła: „l'eau“, już nie woda i jeszcze nie water.

I jeszcze jedno zmartwienie: zaczęła płakać po nocach, boi się. Może to pozostałość po nalotach na La Rochelle, kiedy leżałyśmy razem pod wojskowym samochodem, przytulone do ziemi, a może przypomina sobie we śnie świst tej bomby, która spadła o trzy metry od burty naszego statku „Clan Fergusson“ tam w porcie Le Vernon? Biedne moje dziecko i biedny mój mąż, który nie

przecież nie zawinił, chciał się tylko bić, nie więcej.

8-go wieczorem.

Pani Mackenzie napaliła w piecu szcudziej niż zwykle. Zauważyła chyba, jak strasznie marzną. Na wyjście nawet płaszcz nie mam tylko tę kurtkę, w której uciekałam z Kowna, a chodzę z małą na długie spacerki nad morze, żeby mi potem lepiej spała. Nie, nie dorobię się szybko nowego płaszcza. Jurek nie dostanie żadnego przydziału. Stąd nie dostaje się. Miesiąc temu nie orientowałam się jeszcze w niczym, ale teraz już wiem — stąd nie dostaje się.

9 października.

Kiedy mała przestaje wreszcie płakać i zasypia przytulona do swego pierwszego w życiu misia (szkockiego misia, dostała go od sąsiadki Rosebanku niejakiej panny Berwick), to wtedy ja zaczynam się bać i albo sen nie przychodzi w ogóle, albo mającą mi się te sprawy, o których wołałam zapomniać. We śnie uciekam co nocy z Hołowiczpola w tę nieprawdopodobną księżycową poświatę prawie rok temu — no tak, uciekałam na św. Tadeusza — a suczka moja żaba, która najpierw ukryła się w chyłkiem przeze mnie opuszczanym domu, potem nagle na którymś tam kilometrze zabiegła drogę koniom. Zostawiłam żabę na tej srebrzyście od księżycy wyświeconej drodze z przykazaniem: „do domu piesku, do domu“ tak jakbyśmy wszystkie trzy — mała, żaba i ja miały jeszcze jakikolwiek dom.

A potem śni mi się więzienie w Marcinkańcach i twarz sowieckiego oficera. Nie patrzył na mnie, powtarzał, że także ma dziecko, a kiedy poprosiłam o trochę siomy dla małej, albo siennik — wzruszył tylko ramionami. Po oficerze, co nocy, śni mi się Francja, ale od razu ta z kłęski i ucieczki i końca nadziei. Wtedy wstaję, idę do frontowego pokoju, staram się pisać. Jurek mówi, że tak nie można, że jesteśmy uprzywilejowani. Razem, w Anglii, zdrowi.

10 października.

Dlaczego jego tutaj odesłali z tego miasteczka Innerleithen? Dlaczego taka niesprawiedliwość? Dobrze, że nie straciłam bez reszty zdolności modlenia się. Już we Francji myślałam, że odeszło ode mnie wszystko to co wiązało się z dzieciństwem, a więc i modlitwa. Nie mogłam się modlić, bo nie śmiałam

o nic prosić. W więzieniu w Marcinkańcach, a potem w tym wagonie na wysokim nasypie na granicy w Oranach — kobiety tak głośno, wspólnie modliły się, że aż strażnicy krzykali „ciszej“, „to nie kościół“, a tylko mnie jedną litewski strażnik z nasypu strącił, że aż przekoziółkowałam się z małą w ramionach na sam dół, do parowu. Tamte modlące się zostały w wagonach. Więc długo nie miałam odwagi modlić się o nic. Dopiero na statku z Francji w brudzie i głodzie, kiedy leżeliśmy ciałem przy ciele, pokotem na pokładzie, kiedyśmy kluczyli jakimś strasznymi zakosami po ciemnym morzu, żeby wreszcie wylądować w Liverpoolu — dopiero tam między jęczącymi przez sen pasażerami i malajskimi marynarzami, którzy się strasznie bali bombardowania zaczęłam się modlić na nowo. Modliłam się za rodziców i za siebie, za ten statek kołyszający się jak upiór i za ludzi koło mnie. Dziękowałam Bogu za spotkanie z Jurkiem w Paryżu, że mi pozwolił dolecieć w ostatniej chwili, że Jurka ominęła bomba w Lublinie, że mnie nie zesłano. Teraz znowu się modlę. O wszystko.

Zimno jest na tej wyspie Bute i chwilami bardzo dla mnie straszno. Co będziemy dalej robić? Czy mamy tu przesiedzieć całą wojnę? Jurek zaciska usta i milczy. Codziennie chodzi do tu-tejszej komendy polskiej, pyta o przydział. A potem wraca z pochyloną, siwą głową, zaczyna się bawić z małą, wiem, że niczego nie wyprosił, nie uzyskał. Nawet się przeciw temu dziwić nie mogę, właściwie jest już starym człowiekiem, ale ja patrząc na niego mam ochotę wybiec przed Rosebank, stanąć na drodze, po której chodzą dalej ludzie, którzy mają domy, którzy mogą służyć swojej ojczyźnie — i krzyć.

11 października.

Dobrzy są ci Szkoci. To wszystko nieprawda co śpiewali o nich po warszawskich kabaretach: o ich skąpstwie i twardości.

Od chwili naszego przyjazdu tutaj nie ma chyba dnia, aby ktoś nie zastukał do drzwi, nie spytał o „wee girlie“, nie przyniósł jakiegoś upominku.

Dziękuję im wszystkim najpiękniej jak umiem moją angielszczyzną, która okazała się po prostu niewystarczająca — ta moja piękna warszawska angielszczyzna, z której byłam taka dumna. Zapraszam tych obcych ludzi na herbatę, chociaż pani Mackenzie, która nas

Z ROKU 1940

karmi trzy razy dziennie, stanowczo odmawia podawania gościom cukru. Ale moi szkoccy dobroczyńcy niewiele sobie z tego robią, głaszczą małą po łepetynie mówią „poor Polish bairnie“. Mała najpierw się boczy, potem oswaja i włoży gościom na kolana. „Czy oni są także bolszewiców“ spytała kiedyś Jurka. Skąd zapamiętała to słowo? Może zasłyszała je podczas naszych wieczornych rozmów nad dogasającym kominem, kiedy myśleliśmy, że ona już zasnęła za uchylonymi do sypialni drzwiami? Jurek niemal co wieczór każe mi powtarzać przebieg ucieczki z Hołowiczpola i wszystko to co tam się wydarzyło po siedemnastym września aż do ucieczki na Wilno, Kowno, Rygę i Sztokholm. Powtarzam niechętnie, nie chcę myśleć o więzieniu, ani o upokorzeniach, ani o ludziach, którzy byli tacy bliscy, swoi, domownicy, a potem wyciągali mi poduszki spod głowy i grozili komisarzem. Ale on ma jakiś przymus wewnętrzny słuchania o tych sprawach. Może ja zresztą nawet to rozumiem. Ta ziemia nowogródzka to była jego ojczyzna w ojczyźnie. W pierwszy wieczór paryski, gdy nie wierzyłam jeszcze, że ucieczka jest poza mną, że jestem w świecie zachodnim, w świecie otwartej walki, powiedział mi: „Czuję, że do nas nie wrócę więcej. Nie zobaczę naszych drzew. Daj Boże, żebym mógł chociaż zginąć jak żołnierz“.

Właściwie na co my możemy mieć nadzieję? Chyba tylko na Amerykę. Nie znam się na polityce, ale nie wierzę już w gotowość Zachodu. Linia Maginota i cała ta reszta. Od całkowitego zniechęcenia i braku wiary uratowała mnie chyba tylko bitwa o Londyn, którą przeżyliśmy we wrześniu w Innerleithen.

Jurek urządził sobie jakoś dzień. Ratuje go nadzieję i uporem. Wychodzi zaraz po śniadaniu, wystaje, prosi, szturmuję, czyha na tych kolegów, którzy mają jakieś tam możliwości. Zaciął się, chce brać udział w wojnie. Boże, ale cóż to za wojna, jeżeli nawet tu w W. Brytanii, gdy w Innerleithen zaczął się alarm, że płynie niemiecka armada — drągi im dali zamiast karabinów do obrony szkockiego wybrzeża.

Siedzimy na tej wyspie Bute jak na jakimś ostatnim, zapomnianym wulkanie. Jest mi coraz zimniej, coraz smutniej, coraz straszniej.

Coraz to częściej wieczorem, kiedy mała nareszcie zaśnie — to Marysia B. wspaniała warszawska recytatorka usy-

pia ją ostatnio opowiadaniem tuwimowskich bajek — zbieramy się przy wygasającym kominku, tych parę bliższych osób z tamtego życia, z Warszawy.

Ja prawie się nie odzywam. Jestem o tyle od nich wszystkich młodsza i to co się zacieralo jakoś w zajętych i czynnych dwóch latach przed wojną — wypływa teraz ze zdwojoną siłą. Nie należę do nich. Nie należę do pokolenia mojego męża, bo nie umiem myśleć tak jak oni. Dla mnie wolność nie była czymś ciężko wywalczonym, była zwyciężajna. Może dlatego o tyle trudniej przechodzę to wygnanie, niepewność, tęsknotę i obawy. Patrzę na naszych gości, słucham jak uciekają w przeszłość, w Bezdany, w Legiony, jak z tamtych doświadczeń wysnuwają wnioski i siłę na teraźniejszość, czuję się wyobcowana. W Warszawie w zeszłym roku jeszcze, kiedy spotykaliśmy się na własnym stołecznym bruku, wszyscy oni byli zwykłymi ludźmi, nie miałam dla nich ani zbytniego podziwu, ani żadnego politowania. Teraz jest inaczej. Im chyba o tyle bardziej ode mnie usunęła się ziemia spod nóg, ziemia nadziei, ziemia wywalczona — przed nimi jest już tylko starość.

A jednak zazdroszczę im wszystkim, bo poznali w jakimś momencie swojej walki smak zwycięstwa. A co będzie ze mną, gdy osiągnę ich lata, co z moim dzieckiem? Patrzę na tych pułkowników, wojewodów, białokonnych szwoleżerów, tych, siwowłosych, łysych, znużonych, o których mówiono kiedyś „nasi chłopcy z Legionów“, — rozsiadłych beczynnym wokół kominka w Rosebank, wspominających przeszłość.

Czasami, żeby przerwać wspomnienia, których się boi dla swego pułkownika, Marysia przerywa ten nastrój jakimś wierszem. Wracamy wtedy wiedzeni przez jej głos do Warszawy. W pokoju robi się cieplej. Dobrze, że z nami ona tu jest.

12 października.

Dzisiaj nad Rothesay przez całą noc przelatywały samoloty. Mówią, chociaż nikt nie wie napewno, oczywiście, że to Luftwaffe atakowała Gurock i Greenock koło Glasgowa. Mała zbudziła się od tego szumu wśród nocy, krzyczała o światło. Musieliśmy kołysać ją na zmianę. Wymiotowała, kaszlała, wołała „l'eau“. Zasnęliśmy w jednym łóżku nad ranem, otulone w płaszcz Jurka, który dostał tam, jeszcze na krótkim „przydziale“ koło Peebles.

Jurek wrócił z komendy z rozjaśnioną twarzą. „Niedługo kupimy ci płaszcz“ powiedział — „Zobaczysz, dostanę przydział“.

Patrzę na niego z podziwem i z rozrzewnieniem. Przypomina mi się jego zdobycie P.O.S. na kilka miesięcy przed wojną, jest teraz w nim to samo nastawienie, co wówczas. Wtedy, kiedy zgłosił się na zdobycie P.O.S.u, bądź co bądź starszy pan przecież, były minister, senator — patrzyli na niego podejrzliwie. A on P.O.S. zdobył i to nie byle jaki, nie brązowy, nawet nie srebrny, a właśnie złoty, bo się zaciął. Pamiętam, ostatnią z pięciu sprawności jakie musiał zdać było przejechanie pewnej ilości kilometrów w oznaczonym z góry czasie. Jurek wynajął rower i jak nie puścił się mim od Placu Aleksandra w dół Alejami, na szosę wilanowską, to aż się oparł koło naszego domu na Sadybie, na Czerniakowie. No i zrobił POS. Przypominam sobie to beztróskkie zdarzenie z innego życia i myślę jak dziecko: a może on, jak się rozpędzi, to znowu oprze się aż o nasz dom na Sadybie lub choćby tylko o jego wypalone mury?

Powinni go stąd gdzieś wysłać, coś mu dać robić. Wiek i przeszłość — jaka przeszłość? Chyba tylko bohaterska. Jest znakomitym inżynierem. W wysiłku wojennym jedynie to się liczyć powinno — przydatność i wytrzymałość, zapał i wiara. A on te wszystkie elementy posiada w stopniu dużo większym od niejednego młodego..

Takbym chciała mieć płaszcz... Długi, zapinany pod szyję, żeby nie wiało...

14 października.

Dobrze, że ona jeszcze tak mało mówi, ale czasami i tak za wiele. Strasznie zaczepiają nasi na promenadzie. Skąd oni się tu wzięli ci wszyscy młodzi mężczyźni? Przysiadają taki na ławce i zagaduje na migi, po francusku, po polsku, kilka angielskich słów dołącza tu i tam, czasami jest nahałny. Jeszcze nie wiedzą, że jestem Polką, próbują. A jeśli nie zaczepiają, tylko we dwóch na przykład siedzą na ławeczce, nie tylko o dziewczynach mówią. Inaczej wyobrażałam sobie wojnę. Oni pewnie też.

Jutro imieniny małej. Dobrze, że jeszcze nie rozumie co to imieniny. Za tych kilkanaście funtów na miesiąc trudno kupować prezenty. Pani Mackenzie obiecała upiec tort — birthday cake, o którym uczyłam się w angielskiej czytance na pensji Sikorskiej. Czy ja naprawdę jeszcze niecały rok temu byłam w Polsce?

(Dokończenie na str. 30)

Autorke tego pamiętnika wiosną roku 1940 Rosjanie wywieźli na zsytkę do Kazachstanu, skąd postanowiła uciec. Niniejszy, ósmy kolejny odcinek opowiada przygodę 21-ego dnia podróży w stronę Polski.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mam taką migrenę, że mi jest ciemno w oczach. Za to ten lęk nocny mi przeszedł. Trzeba się ubrać i dzieckiem się zająć.

Weszła Żydówka — ta sama co wczoraj — z mlekiem i bułką. Gdy chcę zapłacić — mówi — że zawoła ojca. Przychodzi ten sam Żyd — który mnie wczoraj tu wprowadził. Ja przygoto-

Nie należę do żadnej rzeczywistości. Wciąż na coś czekamy — prywatnie i jako naród. Nic się nie dzieje, tylko ten wiatr i wiatr i... rozbryzg fali od morza podchodzi aż pod stopnie Rosebanku.

Co z moimi? Jak długo oprą się wywzkom? Czy ich kiedy zobaczę?

Wczoraj nasi najzapaleńsi strategowie — generał S. i pan C. zapewniali nas do północy, że wojna potrwa nie rok, ani dwa, ale pięć albo i dziesięć lat, bo Ameryka nie przystąpi do wojny, rozczarowana wynikami zeszłej. Więc jak już wyszli, klękałam przy łóżku matęj i w wielkiej pokorze prosiłam Boga, żeby pozwolił mi wrócić przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Po trzydziestce tak mało już zostaje czasu. Ja wiem, że takie modlenie jest głupie i powierzchowne, ale dla mnie to ważne — być jeszcze chociaż trochę młodą — tam w domu. Przysięgałam sobie, że jeśli Bóg mnie wysłucha, to nigdy już, nigdy nie wyjadę z ojczyzny, posadzimy spowrotem w Hołowiczpolu wszystkie wyrwane przez czerwonych, owocowe drzewka i nigdzie i nigdy nie ruszę się więcej.

Po południu.

Jurek telefonował do Dundee do pułkownika R. zastępcy szefa saperów. On nic mu nie obiecał, ale Jurek wierzy, że niedługo uciekniemy stąd do czynnego życia.

Chciałabym sobie kupić ten płaszcz w Glasgowie. Pewnie szary, żeby starczyło aż do powrotu do domu, neutralny kolor, który nie łatwo się zbrudzi.

Jutro ktoś ważny ma przyjechać z Londynu na inspekcję. Jurek go zna podobno, tego majora. Niech przyjedzie, niech zobaczy jak żyjemy. Ilu się marnuje i za co? A może Jurek namówi go, żeby mu znalazł coś w Londynie? Przecież angielski zna od lat, o tyle lepiej od innych.

Wtedy kupiłabym sobie ten płaszcz w Londynie, a nie w Glasgowie.

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

wałam się już na to, o co mam go poprosić i co mu zaofiarować w zamian. W kieszeni mam dużą złotą broszkę ze ślicznym kwadratowym szmaragdem. Powiem, że mu ją dam za informację o przemytniku.

Tymczasem on mówi — ile mu się należy, a ja wyciągam pieniądze i płacę mu za nocleg i kolację. Potem podnoszę głowę i parząc na niego — pokazuję mu tę broszkę i chcę mu opowiedzieć o nas, ale nie wiem jak zacząć. Tak ładnie sobie ułożyłam. Teraz popłatało mi się wszystko i zamilkłam. Ale on już odgadł — i od razu zażądał bym mu pokazała przepustkę.

W ciągu tych blisko trzech tygodni podróży — nabrałam doświadczenia i wiedziałam, że czasem wystarczy wyjąć tylko — kazachstański paszport — każdy bez oglądania, jest przekonany, że on jest legalny. Stary jednak — wyjął okulary i przeczytał wszystko co tam było napisane powoli i starannie. Potem przyjrzał mi się raz jeszcze przez te okulary i schował je. Przeszedł kilka kroków w kierunku drzwi i zawrócił wolno. Widocznym było, że nie wie teraz co ma robić ze mną i usiłował się nakręcić — na wielki gniew i oburzenie.

Potem rozpętało się: zaczął krzyczeć, machać rękami i wywracać krzesła. Mnie jakoś omijał. Wreszcie otworzył drzwi na podwórze i zaczął wyrzucać z izby — co się tylko dało. Wreszcie z tych mniejszych rzeczy w izbie pozostał tylko nocnik. — I ten też wyleciał przez drzwi na podwórze. Wyrzucił nasz węzełek z rzeczami — a potem poduszki. Chciał także i pierzyny — ale były za ciężkie. W końcu zaczął mnie szarpać i wypychać z pokoju i wołał, że zaraz odprowadzi nas na strażnicę.

Jacyś furmani z głębi podwórza przyglądali się temu zajściu, ale nie przemawiali się zbyt. Jak przestał wyrzucać — to odeszli. Ja zaś byłam tak oszołomiona jego gwałtowną reakcją — że zamiast od razu odejść jak najdalej stąd — stałam w miejscu i pozwalałam się przesuwać w kierunku drzwi. A może wciąż miałam nadzieję, że jak mu ten gniew przejdzie — to mnie wysłucha i pomoże?

Znalazłam się wreszcie na podwórzu z broszką i dzieckiem. Ktoś podał mi węzełek z naszymi rzeczami i szepnął cicho: „Pytaj o grubą Hafiję“ i doprowadził nas do bramy. Tam stały zaprzęgnięte do wozu koniki i zastrzygły pocieszająco uszkami do nas i przeszliśmy przez bramę na ulicę.

Poszłam najpierw na lewo. Przede mną stał duży biały budynek z napisem, że to jest strażnica. Wobec tego odwróciłam się poszłam w przeciwnym kierunku i zobaczyłam dwóch żołnierzy. Znajdowali się o parę kroków przede mną. Szli wolno — w tym samym kierunku co ja. Skręciłam więc w trzecią ulicę. Była wąska i porośnięta trawą. Spotkałam tu dwie kury i jednego psa. Pies spał z mordką na łapach, a kury ustąpiły mi uprzejmie z drogi. Uliczka ta skończyła się przełazem, za którym było pole. A pole z jednej strony urywało się i był tam długi i bardzo głęboki jar, a w dole, daleko — płynęła rzeka.

Dzień był pogodny i na południowym zboczu, na którym znalazłam się teraz, słońce grzało silnie. Poczulałam się słaba i bardzo zmęczona, więc przysiadłam na kamieniu, a małego puściłam na ziemię. Obejrzałam się: nikt nie szedł za nami. A może ten stary Żyd rozmyślił się i nie doniósł o nas? Schowałam więc broszkę, którą dotąd ścisnęłam w rękę i uświadomiłam sobie — że po tym wszystkim migrena mi całkowicie przeszła.

Jeżyk rzucił z góry kamyczki — przyjemnie było tak siedzieć i patrzeć jak się toczą. A potem nadleciał skądś biały motylek i usiadł na różowej stokrotce. Życie jest jednak piękne — pomyślałam i przyglądałam się z góry rzece, usiłując odgadnąć — gdzie jest ten bród. Nic jednak z tego nie wyszło: wszędzie były wysokie i strome brzegi i wody w nich dużo — szara i mętna płynęła szybko.

Brzegi gdzieniegdzie były porośnięte krzakami i mogłam sobie dodatkowo wyobrazić, że tam siedzą ukryci sowieccy żołnierze. Pewno nudzi im się teraz i drzemią lub w karty grają w oczekiwaniu zmroku — i wieczornych łowów na ludzką zwierzynę.

Ja nigdy nie lubiłam polowań. Żadnych polowań. A tym bardziej na mnie.

Na pociechę — wyjęłam jabłko które miałam jeszcze z Uszycy i chleb i zjedliśmy śniadanie. Potem wstałam, wzięłam synka za rączkę i zaczęliśmy schodzić stromą ścieżką w dół, w kierunku rzeki. Trafiliśmy w końcu na wąską polną drogę, która ciągnęła się równoległe do rzeki. Na kamieniu przy drodze — chłop w postrzępionym kapeluszu i butach w harmonijkę — skręcał sobie papierosa. Ucieszył się gdy nas zobaczył — bo był sam — a widać było, że lubiał pogawędzić. Pozdrowił więc nas i zapytał czy my z tamtej

wioski? Wymienił przy tym jakąś nazwę. Kiwnęłam głową, że tak. Wobec tego zainteresował się czy idziemy do tej samej wioski co on. Pokazał kierunek ręką i również wymienił nazwę wioski. Znowu odpowiedziałam, że tak. Wstał więc i szedł z nami i dużo opowiadał. A ja przypominałam sobie jak na podwódku w tym strasznym zajeździe — ktoś szepnął mi by pytać o „grubą Hafiję“. Teraz właśnie była pora, by zapytać.

Nie wiedziałam jednak czy tak się nazywa bród na Zbruczu, czy wieś jakaś, czy może jest to imię dziewczyny. Ułożyłam więc sobie ogólnikowe zapytanie o tej „Hafii“ i zapytałam, czy daleko jest stąd do „grubej Hafii“. — On odwrócił głowę i spojrzał uważnie na mnie. „To wy pewno po kaszę do niej idziecie“ — zagadnął od razu. „Tak, po kaszę“ — odezwałam się niepewnie. I pomyślałam teraz, że „Gruba Hafija“ — to na pewno nie nazwa brodu na rzece, tylko chyba jakaś wioska tak śmiesznie się nazywa i że tam w sklepie sprzedają pewno kaszę.

Chłop czekał — może ja coś więcej powiem — ale milczałam, więc dodał: „Chyba z pustym będziecie wracać do domu — bo u niej kaszy teraz nie ma“. „Mówili, że ją strażniki łapali — jak przechodziła, więc rzuciła worek do rzeki, a sama uciekła“.

A więc „Gruba Hafija“ to nie wioska i nie sklep, ale dziewczyna i o nią to mam się dopytać.

Chłop zamilkł — ja szłam z dzieckiem za nim — i przyglądałam mu się i usiłowałam zgadnąć, jak też to on się zachowa gdy dowie się, czego ja naprawdę szukam. On zresztą — chyba się już domyślił, bo stanął nagle i powiedział, że pójdzie „na krótsze drogi“ — i poszedł. Ja zostałam iostałam chwilę — a potem pobiegłam za nim i zawołałam by zaczekał. Zatrzymał się i patrzył jak podchodzę. Gdy stanęłam przy nim — to od razu: że my aż z Kazachstanu i chcemy na tamtą stronę — do domu.

Chłop przyglądał mi się długo — jakby mnie dopiero teraz zobaczył, i milczał. A potem: że źle może być ze mną bo tu bardzo pilnują, i że Gruba Hafija — tylko kaszę przynosi — żeby na niej zarobić. I że co innego kaszę przynieść, a co innego człowieka przeprowadzić. Za to są duże kary. Chciałam mu dać pieniądze. Nie przyjął. Stał i wahał się. Ja stałam i patrzyłam na niego. Potem odezwał się, ale tak

szorstko i niechętnie. Nie patrzył na mnie — ale na rzekę i zarośla. Wymienił nazwę wsi i że jej chata stoi zaraz za rogiem, trzeci dom od gminy, jest tam nowa brama na podwórze i studnia z kołowrotem.

Odwrócił się i szybko odszedł. Nie pozdrowił mnie i ja mu nie podziękowałam.

Słońce stało jeszcze wysoko, a do „Hafii“ najlepiej byłoby przyjść o zmroku — więc pomyślałam, że posiedzę trochę tu, przy tych zaroślach. Gdyby ktoś nadszedł — to łatwo będzie się tu schować. Ledwie jednak usiadłam — zobaczyłam wystające zza krzaków rogi — a potem całą krowę. Była duża, czerwono-biała i miała dobry apetyt. Specjalnie smakowała jej biała koniczyna rosnąca na drodze, na której siedzieliśmy. Paśla się tak blisko nas, że wolałam wstać i odsunąć się trochę. Chyba zaraz pokaże się jakiś pastuch — pomyślałam — i rzeczywiście, w zaroślach zaszeleściło i wyszedł. Nie jeden — ale dwóch: w szynelach i z kabinami. Podeszłam blisko krowy — by zrobić na nich wrażenie, że to ja właśnie ją pasę. Ale krowa od razu odskoczyła i znikła w zaroślach po drugiej stronie drogi. Chciałam pobiec za nią, ale tam było bagno i poślizgnęłam się. Żołnierze roześmiali się, a jeden zawrócił i pomógł mi tę krowę wypędzić na drogę. Potem odeszli i przygadywali — że do mnie się zgłoszą po mleko.

Pogłaskałam tę krowę i poszłam przedko — prosto do Hafii... Gdy weszłam do wsi, zdziwiłam się, że jest tu tak pusto. Nikogo nie spotkałam ani na ulicy — ani na podwórzach. Znalazłam dom gminny, odliczyłam trzecią chatę i stanęłam przed wrotami. Tu zawałałam się. Tamten chłop wyraźnie powiedział, że wrota są nowe. Te przeciwnie — były bardzo stare i zniszczone. Chciałam już odejść i rozejrzeć się, gdzie tu jest nowa brama — gdy ktoś właśnie nadszedł, zatrzymał się przy tej samej bramie i zapytał: „A wy do Hafii?“ Odpowiedziałam, że tak i obejrzałam się: za mną stał żołnierz N.K.W.D. i zaprowadził mnie do chaty, gdzie mieszkała jego siostra „gruba Hafija“.

W głębi podwórza przy studni z kołowrotkiem — stała kobieta i kręciła korba. Duże, drewniane — obrośnięte mchem wiadro zatrzymało się przed nią. Pociągnęła je na brzeg studni i wylała z niego wodę do dwóch blaszanych wiader, stojących obok niej na ziemi.

Wyprostowała się i popatrzyła w naszym kierunku. Ja obejrzałam się na moją wojskową asystę i skrzyłam w kierunku studni, a żołnierz poszedł wprost do chaty.

Gruba Hafija nie była dziewczyną, ale wdową. Dowiedziałam się, oczywiście, o tym dopiero późno wieczorem, gdy siedzieliśmy przy sobie w ciepłej kuchni, spoglądając w czerwony żar pieca i oczekując jakiejś jej tylko wiadomej godziny odejścia.

Przezwicko dodane do jej imienia — również nie było trafne. Była ona rosłą, foremnie zaokrągloną kobietą. Miała szeroką i wesołą twarz. Brat jej — ten właśnie żołnierz, który wszedł tu z nami — był do niej podobny. Poczekaliśmy aż uczepli te wiadra do koromysła i wzięliśmy na ramię i razem weszliśmy do domu.

Żołnierz NKWD — ten którego spotkałam przy bramie — siedział przy stole i krajał chleb, a stara kobieta, jak się okazało potem — matka — podawała mu kolację i wyglądała, że nie zauważyli nawet, że weszłam tu z Hafiją. Ona jednak nie spieszyła się: postawiła wpięć wiadra na ziemi, a nosidła zdjęła i oparła o drzwi. Potem podnosiła te wiadra pełne wody i lekko stawiła je kolejno na ławie obok drzwi. Wreszcie otarła ręce niebieskim fartuchem, odwróciła się do nas, uśmiechnęła się szeroko do dziecka. Stałyśmy wciąż blisko siebie, Hafija jednak nie zapytała po co tu przyszedłam. Ja odezwałam się do niej pierwsza — powiedziałam cicho, że mam do niej sprawę i chciałam z nią tylko pomówić. Zdziwiła się jakby zawahała — ale wyszła ze mną do sieni. Wychoząc za nią obejrzałam się na tamtych przy kuchni, wciąż jednak jakby nie zauważyli mojej obecności w ich chacie.

Z sieni przeszliśmy do drugiej izby i usiadliśmy przy sobie na ławie przed stołem, nakrytym kolorowym obrusem. Tu, szybko — bez żadnego wstępu, zapytałam: „Czy możesz mnie z dzieckiem przeprowadzić na drugą stronę rzeki?“ Nie zdążyła mi jednak odpowiedzieć — gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich jej matka. Wysoka, chuda, o ostrej gniewnej twarzy — pomarszczonej i niechętniej. Przez chwilę przyglądała mi się badawczo — a potem spojrzała na Hafiję. Wyraźne było, że przyszyła posłuchać o czym my tu mówimy.

Jej gniewna obecność nie sprzyjała moim zamiarom. Od razu wyczułam, że stara kobieta już się domyśliła z czym tu przyszedłam i jest do mnie wrogo usposobiona. Hafija wciąż milczała i patrzyła na mnie i na moje dziecko —

(Dokończenie na str. 32)

JŻELI izby ustawodawcze nie wprowadzą poważniejszych obcięć, administracja dysponować będzie w przyszłym roku budżetowym, rozpoczynającym się 1. lipca, fantastycznymi kredytami w wysokości 186 miliardów dolarów, tzn. o 10,5 miliardów większymi niż w roku obecnym. Głównie z powodu przeciągania się zmagania w Wietnamie, na które preliminarz przewiduje aż 26 miliardów, gdy na inne potrzeby resortu obrony (razem z emeryturami) przeznaczają 51 miliardów dolarów, czyli tyle, ile przewidziano w roku bieżącym. Rzecz jasna, że nawet owych 26 miliardów nie wystarczyłoby na pokrycie kosztów wojny na Dalekim Wschodzie, gdyby ona się rozszerzyła lub zaostrzyła. Nie wolno przy tym zapominać, że tak czy inaczej preliminowane wydatki nie będą miały pełnego pokrycia i że wobec tego dodatkowo wzrośnie zadłużenie skarbu państwa, którego procenty już kosztują 14 miliardów dolarów rocznie.

Nie dziw, że wobec tego i wobec kurczenia się zapasu złota ograniczony został program kosmiczny oraz rozmiar pomocy wojskowej i gospodarczej dla sojuszników, że redukuje się placówki dyplomatyczne, upraszcza administrację wojskową, zwalnia tempo nabywania najkosztowniejszego sprzętu, zmniejsza lub likwiduje niektóre zagraniczne

bazy wojskowe itd. Nowy sekretarz obrony, Clark Clifford, który przejmie w marcu tę odpowiedzialną funkcję po McNamara, znajdzie się w niełatwej sytuacji. Dobrze, że cieszy się powszechnym zaufaniem prezydenta, senatu i Pentagonu, jako wypróbowany doradca aż trzech prezydentów (Trumana, Kennedy'ego i Johnsona). Może skończy się pod nim rządy cywilnych „whiz kiddów“ w Pentagonie, którym McNamara bardzo ufał niż doradcom wojskowym. Choć preliminarz budżetowy już został opracowany, Clifford, mający 61 lat, stanie przed niejedną trudną decyzją i to nie tylko w związku z zagmatwaną sytuacją na Dalekim Wschodzie czy ze słabnięciem NATO. Będzie on musiał już niebawem rozstrzygnąć nie tylko sprawę budowy sieci przeciwrakietowej, ale także spór związany z narzucaniem przez McNamarę marynarce wojennej myśliwców bombowych F-111 B, które zdaniem jej ekspertów potrzebom wojny morskiej nie odpowiadają, bo są za drogie, o 1/3 za ciężkie i za mało zwrotne, a ponadto nie posiadają ani dostatecznego pułapu ani dostatecznej zdolności natychmiastowego przyspieszania lotu. W sumie lotnicy morcy wykryli w tej wersji aż 252 mankamenty, z których aż 100 wymaga bezwzględnie usunięcia, gdy wersja dla lotnictwa lądowego (F-111 A) zdobyła sobie niemal pełne uznanie. Główna wytwórnia tych samolotów „General Dynamics“ twierdzi natomiast, że także morską wersja będzie „bezkonkurencyjna“ i że jej seryjne produkowanie da, jak McNamara się spodziewał, oszczędność ok. 1 miliarda dolarów.

Oczywiście, wypróbowuje się, planuje lub seryjnie produkuje sporo innych, nowych typów uzbrojenia lub sprzętu, że tylko wymienię: międzykontynentalne rakiety „Minuteman 2“ oraz wielogłowicowe, „MIRV“, rakiety „Poseidon“ dla okrętów podwodnych, dwukrotnie potężniejsze niż rakiety „Polaris“, rakiety lotnicze „Phoenix“ i przeciwlotnicze „Chaparral“, torpedy Mk-46 o stałym paliwie, myśliwce A-7 i A-11, nie mówiąc o nowych wersjach „Phantomów“, „helipady“ umożliwiające lądowanie helikopterów na grząskim gruncie, małe nadajniki radiowe, amfibijne pojazdy gasienicowe dla piechoty morskiej, rewelacyjne czołgi „70“, bomby „Snakeye“, potężne reflektory dla samolotów itd. Bodaj aż za dużo „tego dobrego“.

20. stycznia dokonano pod Newadą wybuchu atomowego o mocy 500 KT, a więc najpotężniejszego z dotychczasowych.

SIŁY POWIETRZNE PAŃSTW UKŁADU WARSZAWSKIEGO:

Brytyjski „Instytut Studiów Strategicznych“ ocenia ich stan liczebny następująco:

Sowiety: 300 rakiet międzykontynentalnych i ca 750 rakiet średniodystansowych o zasięgu do 3.200 klm. oraz około 10.000 samolotów bojowych, w tym 250 międzykontynentalnych bombowców, nie licząc ca 850 samolotów marynarki wojennej. Ponadto sporo rakiet plot., w tym najnowsze „Galosz“. Personel około 700.000 (razem z wojskami rakietowymi).

Polska: około 950 samolotów bojowych, personel ca 60.000.

Czechosłowacja: ok. 750 samolotów i 45.000 personelu.

Bułgaria: ok. 400 samolotów i 24.000 personelu.

Niemcy Wschodnie: ok. 400 samolotów i 20.000 personelu.

Rumunia: ok. 300 samolotów i 18.000 personelu.

Węgry: zaledwie 150 samolotów i 9.000 personelu.

Podług szwajcarskiego miesięcznika „Allgemeine Schweizerische Militär Zeitung“ źródła jugosłowiańskie posiadają przeważnie identyczne lub zbliżone informacje. Jedynie stan lotnictwa sowieckiego i polskiego oceniają wyżej: sowieckiego na 12.000, a polskiego na 1.240.

Sprzęt wyłącznie sowieckiego typu z tym, że satelickie siły powietrzne nie posiadają ani dalekosiężnych bombowców i rakiet, ani kilku najnowszych typów myśliwskich i rozpoznawczych. Podług źródła amerykańskich ich „Migi 21“ ustępują amerykańskimi myśliwcom „Phantom“ pod względem szybkości (1.400 : 1.600 klm/godz.), zasięgu (2.000 : 2.600 klm), pułapu (20.000 : 24.000 metrów) i uzbrojenia w rakiety.

Kage

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA

dużymi, czarnymi oczyma. Miała ona wyjątkowo piękne i wyraziste oczy, które teraz wyrażały ciekawość. Ciekawość czyjegoś życia, przygód, a może dramatu. A stara kobieta — przy drzwiach — nie była niczego ciekawa. Widocznie znała zbyt dobrze życie i nieraz widywała skutki różnych niejasnych spraw.

Przez dłuższą chwilę w izbie panowała cisza. A potem ja odezwałam się znowu: nie głośno, lecz wyraźnie powtórzyłam swoją prośbę — wciąż patrząc na Hafiję. Odpowiedź przyszła od drzwi — od tej starej: że jej córka nie przeprowadza ludzi przez granicę. Popatrzyłam na jej zacięte usta i wrogie oczy, i przyszło mi na myśl, że nie wygląda na taką — którą dałoby się przekonać lub uprosić. Próbowалаm jednak jeszcze: i patrząc już tylko na nią — powiedziałam prosząco — to może mi choć powie tylko, w którym miejscu jest bród — a ja już sama tam trafię. I znowu stara kobieta — prędko zakrzyżała, że nie dowiem się tego od nich, bo gdy mnie złapią — to zaraz zapytają, czy u Hafii byłam. I że ona wie na pewno, że mnie złapią. Tu już nie jednego złapano. Oni bardzo pilnują tego brodu na rzece. (c.d.n.)

Wystawa 75-lecia PPS



St. Wąsik — przewodniczący C.K.Z. P.P.S., St. Soboniewski — prezes S.P.K., A. Carthy — sekretarz Międzynarodówki Socjalistycznej, R. Zakrzewski — redaktor „Robotnika“, gen. K. Głabisz — przewodniczący Rady Głównej S.P.K., H. Moszczyński — przewodniczący T.U.R. i T. Krasoń — sekretarz S.P.K.

„W socjalizmie, w ruchu robotniczym spoczywa dziś ta siła, co skruszy kajdany najazdu i wyzwolenie przyniesie społeczeństwu...“

Józef Piłsudski (30. 8. 1897)

WYSTAWA 75-lecia Polskiej Partii Socjalistycznej zorganizowana w styczniu br. w Londynie, w Polskim Ośrodku Młodzieżowym, wypadła okazale. W pięknie udekorowanej sali emblematami PPS i WRN oraz trzema sztandarami partyjnymi, z których jeden — weteran sprzed pierwszej wojny światowej z Francji, zgromadzono około półtora tysiąca eksponatów dobrze i przejrzyście w chronologii ułożonych.

Olbrzymie zdjęcia wybitnych działaczy oraz cytaty z ich pism czy artykułów otwierali: G. Worcell i B. Limanowski, działający wówczas na emigracji oraz L. Waryński „proletariatyk“ działający w kraju. Potem następuje cała plejada nazwisk, wśród których występują nazwiska polskich prezydentów, wodzów naczelnych, premierów, ministrów... Wszyscy oni przeszli przez szkołę wychowania politycznego i obywatelskiego w szeregach PPS, która zawsze miała i nadal ma na swych sztandarach wypisane hasło niepodległości Polski obok demokracji i sprawiedliwości społecznej.

Oddzielną serię stanowiły plansze ilustrujące życie PPS na emigracji po drugiej wojnie światowej: w Italii, w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, we Francji, w Belgii, w Szwecji i w Szwajcarii. Obok nich cały szereg zdjęć z międzynarodowych konferencji socjalistycznych z udziałem przedstawicieli Polskiej Partii Socjalistycznej.

Innym, bardzo bogatym działem były wydawnictwa: książki, broszury, cza-

sopisma, pamflety, ulotki w języku polskim i obcych. Jedno z nich reprodukuje poniżej. Jest to strona tytułowa broszury Feliksa Perla (Res.) o Adamie Mickiewiczu, wydana we własnej drukarni PPS w Londynie w roku 1898. Mickiewicz, w „Trybunie Ludów“, wydawanej we Francji pisał: „Socjalizm nowoczesny jest tylko wyrazem poczucia tak starego, jak poczucie życia... Poczucie socjalistyczne jest popędem ducha ku lepszemu bytowi... To poczucie objawiło się z siłą zupełnie nową, przynajmniej jest to nowy zmysł, który człowiek duchowy zdołał sobie wytworzyć, jest to nowa namiętność“.

Zarówno Biblioteka Polska w Londynie jak i Polski Ośrodek Naukowy udzieliły szereg ciekawych eksponatów, niektóre z nich stanowiły prawdziwe białe kruki.

Poprzez wszystkie eksponaty przewijała się winieta „Robotnika“, centralnego organu partii, który jak niegdyś, przed laty, podobnie i dziś jest wydawany na emigracji w Londynie.

Wystawę otworzył Albert Carthy, sekretarz Międzynarodówki Socjalistycznej. Poza nim przemawiali p. Tadeusz Prokopowicz, jako przewodniczący komitetu wystawowego, J. H. Oldenbroek, były sekretarz międzynarodówki związków zawodowych oraz p. Stanisław Wąsik, przewodniczący Centralnego Komitetu Zagranicznego Polskiej Partii Socjalistycznej. Po przemówieniach i otwarciu wystawy miała miejsce tradycyjna lampka wina, która przeciągnęła się w miłej atmosferze do późnych godzin wieczornych.

W otwarciu wzięli udział członkowie partii z Wielkiej Brytanii, z Francji, z Belgii i z Niemiec. Wśród publiczności znalazła się spora grupa osobis-

tości z polskiego życia politycznego i społecznego.

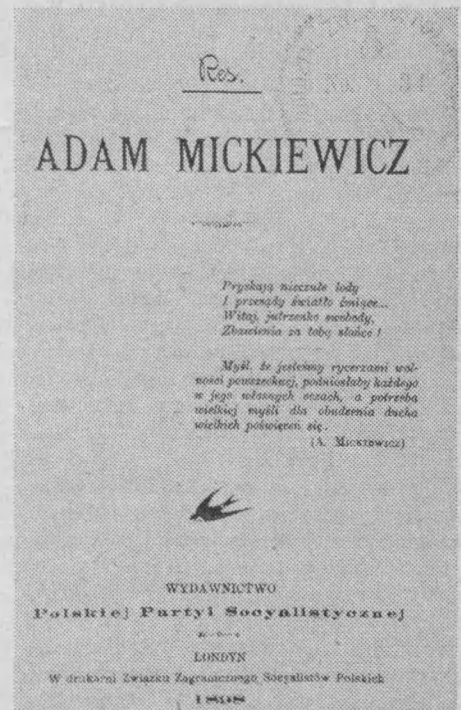
W ciągu dwu dni wystawę zwiedziło ponad siedemset osób, w tym sporo polskiej młodzieży studenckiej. Wystawa została sfilmowana, a otwarcie wystawy nagrane dla audycji radiowej na kraj (R.W.E.).

Wystawa 75-lecia była wystawą nie tylko historii PPS ale i wystawą 75 lat najnowszej historii Polski.

Wyszedłem pod wrażeniem czterech wielkich portretów ludzi z PPS: Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Pużaka, Tomasza Arciszewskiego i Zygmunta Zaremby.

Utkwiły mi w pamięci słowa Morgana Philipa, dawnego sekretarza Brytyjskiej Partii Pracy: „...zasyłam naszym polskim towarzyszom socjalistom, wygnanym ze swych siedzib i ze swego kraju i rozproszonych po wszystkich zakątkach świata — słowa życzliwości i zachęty, nosiciele odwiecznej polskiej tradycji niepodległościowej, socjalni demokraci i bojownicy wolności politycznej i społecznej, oni to padli ofiarą nowego totalizmu, który pod maską szermierza pokoju i demokracji usiłuje zwieść umysły i ujarzmić dusze ludzkie, niwecząc postępowe osiągnięcia, tak drogo okupione półwieczem walk politycznych. I tutaj przystoi nam, jako socjalistom międzynarodowym, byśmy złożyli hołd pamięci naszych wielkich polskich towarzyszy, którzy torowali w przeszłości szlaki, ludzi takich jak Niedziałkowski zamordowany przez hitlerowców, jak męczennik Żuławski i jak ofiara nowej tyranii, bohaterski Pużak...“

W. M.



Pamięci Michała Grażyńskiego

9. 12. 1967 z okazji poświęcenia nagrobka śp. Michała Grażyńskiego na cmentarzu Putney Vale w Londynie, przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego Kazimierz Sabbat wygłosił przemówienie, które zamieszczamy poniżej.

Dwa lata temu zakończył życie Michał Grażyński jeden z najwybitniejszych ludzi Polski Niepodległej. Dokończył swą ziemską wędrówkę ten Syn Ziemi Krakowskiej, wychowanek, a potem młody historyk na Krakowskiej Wszechnicy, Żołnierz i współorganizator Powstania Śląskiego, Wojewoda Śląski i wspaniały administrator, Przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego i wielki wychowawca młodzieży, jeden z czołowych przywódców Drugiej Wielkiej Emigracji, Człowiek Dobry, Emigrant Niezlomny.

Księga Jego życia nie zamknęła się z Jego śmiercią. Udziałem ludzi wielkich i cechą ich wielkości jest, że dzieło ich jest trwalsze niż ich życie. Służbę, którą pełnił Michał Grażyński pełnił nadal jego przyjaciele i współpracownicy, a pełni ją ze świadomością, że prowadzą nadal dzieło, które On budował i którym kierował. Jest to Służba interesem Narodu i Państwa Polskiego.

Był Druh Michał przez lat 30 Przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego. Na Harcerstwie wycisnął niezatarte piętno. To jego przed innymi jest zasługą, że Harcerstwo stało się tak istotnym czynnikiem w życiu Narodu przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Był wychowawcą. Jego gawędy i rozkazy wytyczały program wychowawczy. Dwa szczególnie z Jego wskazań wywarły na Harcerstwie wpływ decydujący. Jedno z nich określa stosunek Harcerstwa do spraw Narodu. Harcerstwo nie może być biernym świadkiem wydarzeń, lecz właściwymi sobie metodami musi się włączyć w nurt życia Narodu i brać w nim żywy udział. Drugie wskazanie dotyczy „Prawdy życia”. „Trzeba w Harcerstwie urzeczywistniać Prawdę to jest zgodność życia z zasadami głoszonymi”, mówi Grażyński w 1931 r. na Zjeździe Oddziału Śląskiego ZHP.

Te dwa wskazania Harcerstwo wprowadzało w życie młodzieży. I dlatego mogło Harcerstwo odegrać tę szczególną rolę w czasie Drugiej Wojny Światowej, zarówno dostarczając twórcy do akcji podziemnej w całym kraju jak i tworząc własne oddziały i prowadząc własną akcję wychowawczą i organizacyjną. Ta rola Harcerstwa



Michał Grażyński

ciągle znana jest tylko fragmentarycznie, bo nie było rzeczą możliwą opracowanie tego wielkiego tematu źródłowego i nie wydaje się, aby to było możliwe w Kraju, gdzie historię Polski Podziemnej ciągle się zniekształca. I na emigracji odgrywa Harcerstwo szczególną rolę w zakresie wychowania młodzieży naszej na Polaków i więzania tej młodzieży z losami Narodu Polskiego. Było to i jest świadomą realizacją i kontynuacją programu wychowawczego Druha Michała Grażyńskiego, Przewodniczącego Związku. Stworzył Michał Grażyński Szkołę myślenia i działania wychowawczego, zjednął dla niej i wychował w niej liczne grono instruktorskie harcerskie, które zasady tej szkoły realizowało i po dzień dzisiejszy realizuje. Sam zetknąłem się z nim osobiście dopiero na emigracji, ale w zakresie spraw wychowawczych, w zakresie Służby Narodowi, był dla mnie, tak jak dla wielu z nas, wzorem i nauczycielem. Był nam mistrzem i przyjacielem.

Był Michał Grażyński jedną z czołowych postaci Emigracji Niepodległościowej. Posiadał dar jasnego myślenia i jasnego przedstawiania prawy. Budził szacunek i budził zaufanie. Był szczerzy i prostolinijny. Był nieugięty w obrocie Sprawą Polskiej. Służba Sprawie Narodowej była głównym Jego zainteresowaniem i treścią życia. Po wojnie Służbie tej oddał się bez reszty. Umiał wielkie idee wcielać w czyn. Pierwszy wystąpił z inicjatywą stworzenia Skarbu Narodowego, jako podstawy niezależnej polskiej polityki na emigracji. Uczy-

nił to w broszurze „Zarys Programu Niepodległościowego” ogłoszonej w 1947 r. pod swym dawnym powstańczym pseudonimem Borełowski. Dążył do zgody narodowej, do zjednoczenia sił politycznych na emigracji, był współtwórcą Aktu Zjednoczenia. Jako Prezes Ligi Niepodległości Polski strzegł wiernie i bezkompromisowo polskiej tradycji niepodległościowej, spuścizny politycznej Józefa Piłsudskiego.

Ciężar tych prac, zbyt wielkich jak na barki jednego człowieka, mógł nieść tylko dzięki pomocy żony, Pani Heleny, — Druhny Heli, która sama, jako wybitna instruktorka, jest jedną z czołowych postaci Harcerstwa Polskiego.

Michał Grażyński, Powstaniec Śląski, wieloletni Wojewoda Śląski, również na swoim umiłowanym Śląsku wycisnął niezatarte piętno. Kiedyś, gdy Śląsk, razem z całą Polską, odzyska prawdziwą wolność, gdy odżyje na Śląsku tłumiona teraz pamięć wojewody Grażyńskiego, gdy ją weźmie na skrzydła ludowa legenda, powstaną na Śląsku Jego pomniki, zbudowany zostanie tam Jego grobowiec. Dzisiaj dla upamiętnienia miejsca spoczynku tego utrudzonego wędrowca w drodze do wolnej Polski, do Śląska, święcimy na Jego grobie, na tym cichym podlondyńskim cmentarzu tablicę pamiątkową.

Michał Grażyński odszedł na wieczną wartę. Dzieło Jego jest trwalsze niż Jego życie. Harcerstwo Jego imię i Jego pamięć otoczył czcią i miłością. Nie zapomni Go wierny Śląsk. Pamiętać Go będzie Polska.

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6
„MATKI I ŻONY“ 18/6
„MIĘDZY LONDYNEM
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.

i wszystkie kioski i księgarnie polskie

CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!

Notatnik kulturalny

B.D.I.C

SEKCJA HISTORII KULTURY Polskiego Towarzystwa Historycznego pod kierownictwem prof. J. Bujnowskiego rozwija coraz żywszą działalność. Duże zainteresowanie wzbudził wieczór poświęcony zagadnieniu stosunku między „Dziełem literackim a prawdą historyczną“. Oświetlone ono było przez przewodniczącego i rozwinięte przez trzech referentów: gen. M. Kukieła, płk. A. Sawczyńskiego i prof. W. Günthera. Zagadnienie zilustrowane było przeważnie na podstawie twórczości H. Sienkiewicza. Dopiero w dyskusji z obecnymi na sali, zagadnienie zostało uogólnione. M.in. zabierali z sali głos mgr. J. Ostrowski, oświetlając zagadnienie z punktu widzenia filozoficznego i p. Renkawicz, który omawiał je z punktu widzenia teologicznego.

DR FRYDERYK GOLDSCHLAG wybitny dermatolog i subtelny eseista, łączy w sobie ścisłość przyrodnika z polotem humanisty. W krótkich odstępach czasu miał referaty w sekcji Historii Kultury i Polskim Towarzystwie naukowym. Po odczycie o przysiędze hipokratesowej i wykładzie o genetyce, mówił ostatnio o „Architektach wnętrza ciała ludzkiego“.

DR JÓZEF ROTBLAT, fizyk atomowy i specjalista w dziedzinie izotopów, b. asystent Instytutu Radowego im. Marii Curie-Skłodowskiej w Warszawie, wygłosił na publicznym zebraniu dorocznym Polskiego Towarzystwa naukowego odczyt na temat „Wpływ Marii Curie-Skłodowskiej na naukę współczesną“.

PAMIĘCI PROF. T. KOMARNICKIEGO poświęcone było specjalne zebranie publiczne w Instytucie Polskim i Muzeum Sikorskiego. Przemawiali: amb. E. Raczyński, prezes Instytutu; prof. B. Helczyński, prezes P.T.N. na Obczyźnie; dr T. Koczy i gen. M. Kukiel, prezes P.T.H. w W. Brytanii.

BIESIADA KRZEMIENIECKA jest swego rodzaju instytucją, mającą na celu kultywowanie tradycji związanych z Liceum Krzemienieckim. Ostatnio odbyło się ósme z rzędu zebranie, z udziałem ok. 50 osób. Biesiada posiada swój komitet, na którego czele stoi p. Halina Czarnocka ze Studium Polski Podziemnej. Członkowie Biesiady zbierają dokumenty i wszelkie materiały dotyczące historii Liceum i uwypuklające hi-

storyczne znaczenie tej placówki kulturalnej na rubieżach Rzeczypospolitej.

„**DRAMAT NONSENSU W OCZACH REŻYSERA**“, taki był temat ostatniego zebrania Sekcji Historii Kultury, na którym dr L. Kielanowski przedstawił dzieje tego rodzaju twórczości scenicznej, której pierwszym przedstawicielem jest Alfred Jarry, autor pochodzenia polskiego, a jego pierwsza sztuka „Król Ubu“ wystawiona była w r. 1890. Wśród dalszych jego reprezentantów byli I. S. Witkiewicz, Beckett, Ionesco i Adamow. Prof. J. Bujnowski mówił o nowoczesnej poezji, jako zjawisku analogicznym. W dyskusji pewne zastrzeżenia co do wartości tego kierunku zgłosili: prof. Günther, dr F. Goldschlag, który podszedł do tego zjawiska od strony psychiatry, a mgr. J. Ostrowski przypomniał wnioski z podobnego wieczoru poświęconego twórczości S. Mrożka, kiedy wskazano na satyryczny i eksperymentalny charakter teatru absurdu, od którego zaczynają odchodzić jego dojrzałsi zwolennicy.

PIŁSUDSKI W FILATELISTYCE POLSKIEJ, pod tym hasłem urządzona została w ramach obchodów Józefa Piłsudskiego wystawa w sali Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Była ona starannie obesłana przez Członków Związku Filatelistów Polskich. Patronat objął gen. K. Sosnkowski, a otwarcia dokonała córka Marszałka dr Wanda Piłsudska.

„**MISJA AMB. J. LIPSKIEGO** w Berlinie 1933-1939“ ma się wkrótce ukazać po angielsku nakładem Columbia University Press. Jest to zbiór dokumentów opracowany przez prof. W. Jędrzejewicza, który przygotowuje do druku również po angielsku pamiętniki i dokumenty dotyczące amb. Juliusza Łukasiewicza. Podczas swego niedawnego pobytu w Londynie prof. Jędrzejewicz miał odczyt w Instytucie Piłsudskiego o misji amb. Lipskiego.

„**HISTORIA POLSKI**“ O. HALECKIEGO ukazała się w przekładzie włoskim z angielskiego wydania „A history of Poland“ z r. 1955. Przekładu „Storia della Polonia“ dokonał Stefani Dal Pozzo, a książka ukazała się nakładem Edizioni Hossianum w Rzymie.

„**TADEUSZ KOŚCIUSZKO**“ ADELI TATARINOFF - EGGENSCHWILLER, kustoszki muzeum T. Kościuszki w So-

lurze, ukazał się po niemiecku, jako monografia o Naczelniku. Wydawnictwo to przypadło na 150-lecie śmierci Kościuszki obchodzone we wszystkich krajach polskiego osiedlenia.

KS. HELMUT HOLZAPFEL wydał w Monachium książkę pt. „Das Katolischen Polen heute“ (Dzisiejsza Polska Katolicka). Znaczna jej część poświęcona jest osobie kardynała S. Wyszyńskiego. Poprzednio ten sam autor wydał „1000 Jahre Kirche Polens“ (Tysiąc lat kościoła polskiego).

KARL DEDECUS, wybitny literat niemiecki wydał dwa zbiory prozy i poezji polskiej w swoich przekładach. „Polnische Poesie des 20 Jahrhunderts“ (Poezja polska 20 wieku) i „Polnische Prosa des 20 Jahrhunderts“ („Proza polska 20 wieku). Ten drugi zbiór jest w dwóch tomach.

POLSKI RUCH WYDAWNICZY W KRAJU stał się przedmiotem szczególnego zainteresowania „Times Literary Supplement“. Z artykułu pt. „Commentary: Polish Publishing“ dowiadujemy się, że 20.000 egzemplarzy powieści E. Kuncewiczowej rozeszło się w 10 dni, a tyleż z książki Putramenta w ciągu miesiąca. Nadto, że „Dom Książki“ kontroluje 1.700 księgarń i 14.000 kolporterów, oraz że jest duża różnorodność domów wydawniczych, które dzielą się na dwie kategorie: państwowe i kooperatywy. Liczba tytułów wydawanych rocznie waha się od 5 do 8 tysięcy, a liczba drukowanych egzemplarzy sięga ok. 100.000.000.

NAGRODY NOWOJORSKIEJ FUNDACJI JURZYKOWSKIEGO za r. 1967 wynoszące po ok. 1000 dolarów otrzymali: Prof. dr gen. M. Kukiel — historyk; Władysław Bartoszewski — autor publikacji z dziejów okupacji niemieckiej w Polsce; Józef Łobodowski — poeta, powieściopisarz i publicysta; Mieczysław Grydzewski — redaktor „Wiadomości“; Jerzy Szaniawski — dramaturg; Stefan Mrożewski — grafik-drzeworytnik; Zygmunt Menkes — artysta-malarz; Henryk Mikołaj Górecki — kompozytor; doc. dr Marian Weiss — lekarz medycyny; prof. dr Tadeusz Krwawicz — lekarz okulista; prof. dr Adam Gillon — historyk literatury i tłumacz poezji polskiej na angielski; Karl Dedecius — tłumacz z polskiego na niemiecki i wydawca polskiej prozy i poezji współczesnej.

WŁADA MAJEWSKA została laureatką nagrody teatralnej „Dziennika Polskiego“ i otrzymała nagrodę w uznaniu całokształtu jej działalności artystycznej.

3 i 4 lutego br. obradował w Londy Zjazd Zjednoczenia Polskiego. Zjednoczenie skupia 50 polskich organizacji społecznych.

W wyniku wyborów władz na nową jednoroczną kadencję prezesem został red. Paweł Hęciak.

Do Zarządu weszli: Z. W. Bieńkowski, M. Brzezicki, Z. Kołodziejcki, S. Kolańczyk, J. Lityński, J. Płoski, A. Rynkiewicz, A. Ścibor-Rylski i R. Zakrzewski.

* * *

XII WIECZÓR AUTORSKI MARIANA HEMARA

Wieczory Hemara są właściwie pierwszej klasy kabaretem artystycznym, esencją teatralności, ukrytą pozornie w lupince od orzecha, jakim jest scena „Ogniska Polskiego“. Czytane przez autora wiersze są uzewnętrznionym dialogiem z publicznością, której widoku mu brak w jego występach przed mikrofonem. Piosenki, w doskonałym wykonaniu Renaty Bogdańskiej, dodawały ilości bogatej oprawy kostiumowej, nadając występowi trzyosobowego zespołu cechy okazałego widowiska. Wymowna dekoracja „nutowa“ pomysłu i wykonania Tadeusza Orłowicza i niezwykle dyskretny akompaniament fortepianowy Marii Drue harmonizowały z atmosferą wieczorów. J. O. N.

OPLATKI W SZWAJCARII

Lasone — Tessin, styczeń 1968.

Garstka Polaków mieszkająca w kantonie Tessin rok rocznie w okresie Bożego Narodzenia urządza tradycyjną Gwiazdkę. Uroczą Lasone, obok Asceny w latach czterdziestych miejsce dużego obozu internowanych Polaków, była w tym roku miejscem spotkania. Polacy oraz okoliczni Szwajcarzy wysłuchali Mszy św. odprawionej przez ks. B. Majchrzaka, po czym w polskiej restauracji zgromadziło się ok. 60 osób na obiedzie, w czasie którego przemawiali prezydent gminy p. Brogini oraz K. F. Vincenz, który im. SPK podziękował prez. A. Olewnickiemu, kol. S. Poprawie oraz T. Tomysłakowi za sprawną organizację uroczystości, a pp. Wandzie i Stefanowi Poprawom za pomoc w zorganizowaniu wystawy Kiermaszu Książki Polskiej.

Zürich

Komitet organizacji polskich w Zürichu urządził 6 stycznia tradycyjny opłatek, na którym obok miejscowych Polaków i gości szwajcarskich była młodzież reprezentowana przez sty-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

pendystów z Kraju. Przemawiali prez. dr. K. Biźnia i ks. E. J. Frania. Atrakcją był zawodowy szwajcarski zespół taneczny pod kier. p. Holza. Kiermasz Książki Polskiej obsługiwały panie Halzka Vincenz-Poniatowska i Jacqueline Doberska.

St. Gallen

Polski Komitet Gwiazdkowy zorganizował 7 stycznia w St. Gallen Polską Gwiazdkę, połączoną ze śpiewaniem kołęd, tombolą oraz zabawami towarzyskimi. Do zebranych przemówił prezes Koła Polskiego p. Paweł Mierzwa.

K. V.

Gombrowicz i Mrożek na scenach szwajcarskich

Theater an Neumarkt w Zürichu wystawiał przez dwa miesiące sztukę Gombrowicza „Yvonne księżniczka Burgundii“ a po niej Mrożka „Czarodziejska Noc“.

KONKURS SPK W NORWEGII

„ZNASZ-LI SWÓJ KRAJ?“

Drugi raz już w ciągu roku urządziło SPK w Norwegii konkurs pt. „Znasz-li swój kraj?“, otwarty dla wszystkich Polaków w Norwegii. Konkurs, autorem którego jest niestrudzony sekretarz SPK, p. Jan Kunert, składa się z kilkunastu pytań, każde zapatrzone jest w wiadomą z góry odpowiednią liczbę punktów, najwyższa kolejno suma punktów przynosi jedną pierwszą, dwie drugie i trzy trzecie nagrody pieniężne i książkowe. Przy większej ilości tej samej liczby punktów nagrody dzieli się lub przyznaje przez losowanie. Pytania obejmują fakty i wydarzenia z historii, geografii, polityki, literatury, teatru, sztuk plastycznych, muzyki itd.; odnoszą się one przeważnie do okresu 20-lecia Niepodległości, niektóre sięgają do czasów dawniejszych. Konkurs cieszy się wzrastającym zainteresowaniem, udział jest stosunkowo duży. Obok Polaków stale osiadłych na uchodźstwie w Norwegii włączają się do konkursu także Polacy z Kraju, przebywający czasowo w Norwegii. Ale, gdy który z nich zdobędzie nagrodę, co zdarza się często, SPK nie ogłasza publicznie jego nazwiska, nie chcąc laureata narazić na ewentualne szykany po powrocie do Kraju ze strony urzędów „gienierała“ Moczara lub jego osławionego ZBOWID-u. Ambasada reżimowa w Oslo patrzy krzywym okiem na tę popularyzującą się inicjatywę SPK, tym groź-

niej, gdy w konkursie znajdują się takie pytania jak np. „Którego dnia i miesiąca w r. 1939 Sowiety napadły dziecko na Polskę“ lub „Popularna nazwa układu, podpisanego w r. 1939, który przygotował czwarty rozbiór Polski“. Konkurs „Znasz-li swój kraj?“ uczy, przypomina i daje kulturalną rozrywkę. Stwarza też zdrową rywalizację. SPK otrzymało dużo listów z wyrazami uznania i wdzięczności za podjęcie tej inicjatywy.

SETNA ROCZNICA URODZIN

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W BRUKSELI

W GRUDNIU odbyła się w sali SPK w Brukseli w setną rocznicę urodzin Marszałka Piłsudskiego uroczysta akademii, poświęcona działalności i znaczeniu tej niezwyklej w historii Polski postaci. Jak zawsze, gdy chodzi o bardzo wybitnych ludzi, nie wszyscy współcześni Go rozumieją i dotychczas nie wszyscy Go rozumieją. Dopiero czas wyjaśni w pełni istotę woli i motywów działania marszałka Piłsudskiego na tle ówczesnego położenia i przede wszystkim na tle panujących w tym czasie w Polsce stosunków.

Ale już dzisiaj obchody rocznicy Jego urodzin świadczą o tym, że świadomość tej roli i przede wszystkim świadomość jego zasług ujawnia się coraz bardziej, i to — co trzeba podkreślić — właśnie tam, gdzie panuje wolność, to znaczy na Zachodzie. Bo w Kraju, w którym panuje dzisiaj dyktatura i gdzie wolności nie ma, obchody takie nie są możliwe. Jest w tym zestawieniu swoista wymowa, a jeżeli chodzi o istotę rządów Piłsudskiego, to chyba najlepiej wyraził on ją sam w odczycie, wygłoszonym 29go czerwca 1924 w Klubie Społeczno-Politycznym w Warszawie pod tytułem „Demokracja a wojsko“. Jest to odwieczny problem stosunku nakazu i wolności.

„Gdy ten problem rzucam przed wami — brzmi jeden z ustępów odczytu — to dlatego, że swoją zagadkowością i trudnością zawsze mnie nęcił. Bóg zaszczerpił w moje łono elementy siły i mocy nakazu, co posłuch wzbudzać umie. Dał mi w załączku, w uczuciu, miłość dla moi i siły. A jednocześnie przez długie życie przeszedłem z bojunikami demokracji. Dlatego to problemu owego szukałem. Szukałem rozwiązań, nie cofałem się przed załamaniem, które ultra-fiolet dają, które ultra-fioletem oślepiają. Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody. Byłem dzieckiem swobody — i dla niej, dla tej swobody mocy szukałem. A mocy bez siły nakazu i przymusu nigdzie nie znalazłem. I w tym wieczystym pro-

(Dokończenie obok)

blemie, w tej sprzeczności demokracji i wojska, byłem długo chowany. Problem ten ujmowałem w ręce, nie czując wstydu ani niechęci, bo byłem dzieckiem swobody. Ale sprzeczności nakażu i swobody dotąd nie rozwiązałem.“

W tych słowach, wydaje nam się, spoczywa odwieczny problem silnych i trwałych rządów, bez których żaden kraj się nie ostoł, a jednocześnie swobody i wolności, która jest słusznym prawem każdego człowieka. Problem, którego nikt nigdy do końca nie rozwiąże i który zawsze stanowić będzie źródło sprzeczności i starć.

Wróćmy jednak do Akademii. W zapełnionej zupełnie sali zawisły sztandary Kół S.P.K. w Belgii oraz Związku b. Żołnierzy I Dywizji Pancerniej. Portret Marszałka widniał na tle przedwojennego sztandaru państwowego polskiego, który przechował śp. Konsul Prus-Piołunowski.

Zebrań zagałę przewodniczący Komitetu ppłk. Stefan Lebelt w mundurze, witając licznie przybyłych uczestników, a także gości. Mówca oświetlił postać Marszałka, przytaczając dosłownie zdania o nim wybitnych osób zagranicznych i podnosząc w ten sposób znaczenie Marszałka Piłsudskiego nie tylko dla Polski samej, ale uwypatniając je również na tle międzynarodowym.

Świetnie opracowany wykład wygłosił dr Jerzy Korab Brzozowski. Trudno w krótkim sprawozdaniu oddać treść tego wykładu. Jeżeli ppłk. Lebelt położył nacisk na głosy obce o Marszałku, to dr. Brzozowski zwrócił uwagę na głosy polskie, zaczynając je od cytatu z żałobnego kazania Biskupa Gawliny, wygłoszonego w Katedrze Św. Jana w Warszawie w maju 1935 r.:

„Stanęła nad nim ręka Boska i upodobał go sobie Pan Bóg i nazaczył czoło jego stygmatem wielkości. I kazał mu pełnić posłannictwo w Narodzie naszym.“

Prelegent zwrócił uwagę na legendę, zrodzoną wokół imienia Komendanta Strzelców i Brygadiera Legionów, która to legenda wyraziła się w dziełach najwybitniejszych naszych poetów współczesnych jak: Edward Słoiński, Orłot, Lechoń, Wierzyński, Tuwin, i zacytował w końcu słowa niedawno zmarłej znakomitej pisarki Marii Dąbrowskiej, wyrażone w „Elegii“:

„...Trumna Józefa Piłsudskiego, która przez tydzień widzialnie ciążyła nad Polską, stała jednocześnie jak gdyby w domu każdego z nas. Póki nie przeżyło się tego ciosu, trudno było wyobrazić sobie, że śmierć tak najdoskonalej PUBLICZNA: śmierć wodza, wskrzesiciela i odnowiciela Państwa, może być do tego stopnia wstrząsającym przeżyciem PRYWATNYM i OSOBISTYM.“

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

MAG BODARD

JAK mówi francuskie przysłowie: „praca kobiety nie kończy się nigdy“ i może właśnie dlatego Francja poszczycić się może procentowo największą ilością kobiet w tak zwanych „wolnych zawodach“, czyli sędziów, lekarzy, adwokatów itd. To samo dzieje się od niedawna na polu sztuki filmowej. Coraz to więcej reżyserów francuskich zdobywa sobie światowe uznanie. Najbardziej dzisiaj znaną na terenie międzynarodowego filmu jest reżyserka francuska Mag Bodard, której dwa filmy „Parasole Cherbouga“ i „Szczęście“ cieszyły się ogromnym powodzeniem. Zapytana jak pokonała trudności swego zawodu i męskie sprzeciwu w tej dotychczas ekskluzywnej dziedzinie, pani Bodard odpowiedziała: „Lubię współpracować z mężczyznami. Po prostu współpraca z nimi idzie mi jakoś składniej niż z kobietami. Mężczyźni bowiem nie są małostkowi. Mężczyzna raz przekonawszy się o słuszności jakiejś koncepcji, przyjmuje ją i wykonuje z zapalem, tak jakby to była jego własna koncepcja. Mało która kobieta potrafiłaby się zdobyć na takie stanowisko.

Prelegent przypomniał — między innymi — fakt, że gdy Piłsudski przekazał Sejmowi po wskrzeszeniu Państwa do dyspozycji swoją w narodzie władzę, Sejm na wniosek Daszyńskiego, Korfanteo, Stolarskiego, Witosa i stukilkudziesięciu innych posłów ze wszystkich klubów, jednomyślną uchwałą powierzył Mu dalsze sprawozdanie najwyższego urzędu Rzeczypospolitej, oraz zacytował zapomniane już dzisiaj entuzjastyczne powitanie wracającego spod Kijowa Józefa Piłsudskiego przez Marszałka Sejmu Trąmpczyńskiego.

W pięknej artystycznej części uroczystości świetny skrzypek, członek orkiestry Filharmonii w Leodium, Tadeusz Geisler-Wyganowski wykonał na skrzypcach po mistrzowsku utwory Wieniawskiego „Legendę“ i „Pieśń polską“ oraz nieznanego twórcy Chopina na skrzypce „Largo“. Władysław Wojciechowski włożył w deklamację utworu Wierzyńskiego o Piłsudskim niezwykle talent recytacyjny. Sala słuchała go z zapałym oddechem. A doskonały baryton Zbigniew Krukowski pięknymi pieśniami żołnierskimi zakończył program artystyczny. Słuchacze byli wyraźnie wzruszeni.

Wieczorem w kaplicy Polskiej Misji Katolickiej ks. Rektor H. Repka odprawił nabożeństwo i wygłosił kazanie związane z uroczystością. J. D.

A poza tym — nigdy, żadnemu mężczyźnie na terenie studia filmowego nie dają odczuć, że to ja, kobieta, jestem kierownikiem całego przedsięwzięcia“.

Postawa pani Bodard jest typowym podejściem do życia francuskiej kobiety i na jej przykładzie zaczynamy rozumieć dlaczego międzynarodowy plebiscyt, przeprowadzony kilka lat temu wykazał, że Francuska jest najłatwiejszą do współżycia żoną.

Najbliższym filmem pani Bodard, już zapowiedzianym w Londynie, jako niezwykle „kasowy“ jest przebój kostiumowy pt. „Benjamin“.

„LONDYN DLA INWALIDÓW“

Nazwisko Bruce Lockhart zapewne jest znane niejednej czytelniczce „Orla“. Jedną z przedstawicielek tej starej rodziny jest również bardzo dobrze znaną postacią w Polsce, którą odwiedzała wielokrotnie po wojnie jako członek wielu misji charytatywno-społecznych.

Freda Bruce-Lockhart, mimo swego nieuleczalnego inwalidztwa jest niezmiernie malowniczym typem ludzkim, znaną działaczką katolicką, a przede wszystkim kobietą o niezwykłym hartu ducha. W trzydziestym roku życia zapadła na nieuleczalną chorobę, która spowodowała częściowy paraliż i niemożność swobodnego poruszania się. Kalectwo to jednak nie wpłynęło na życiowy zapał Fredy Bruce-Lockhart, przeciwnie: doświadczenia swoje w inwalidzkim wózku postanowiła ująć w formę książki, aby w ten sposób służyć własnym doświadczeniem innym, tak samo jak ona przez los doświadczanym ludziom. Kilka miesięcy temu na półkach księgarskich Londynu ukazała się jej książka pod tytułem: „Londyn dla Inwalidów“. Jest to podręcznik dla ludzi poruszających się za pomocą inwalidzkiego wózka, lub w najlepszym razie — o kulach. Książka pani Lockhart jest o tyle interesująca, iż jej rady i spostrzeżenia znajdują zastosowanie w każdym dużym mieście. Freda Bruce Lockhart ma zamiar opracować cały szereg takich przewodników dla wszystkich stolic europejskich, aby — jak mówi — ludzie unieruchomieni w wózku — mogli narówni z innymi cieszyć się tym pięknym światem Bożym, zwiedzaniem, odpoczynkiem i dobrą kuchnią w miejscach, gdzie wózek kaleki zdoła dotrzeć bez nieosiągalnej nieraz pomocy osób trzecich.

NURKI NA TWARZ

Wspominaliśmy niedawno na łamach „Orla“, że najcenniejsze futro świata, a więc nurki — staniały. Ze dzięki ko-

niunkturze, czyli rozrodczości tych małych gryzoniów futro nurkowe opuści niedługo sferę marzeń i dla niejednej kobiety stanie się nie tyle ciałem, co dostępnym odzieniem, w którym jej własne ciało zyska na powabie i odczuje chwilę tryumfu: „nareszcie mam nurki!“.

Ale cóż się ostatnio okazało? Przede wszystkim to, że kobiety są istotami nieobliczalnymi. Ponieważ nurki stały — przestały dla wielu kobiet być przedmiotem marzeń. Wieść gminna rozniosła się od Kanady poprzez wszystkie kontynenty, że brzydkie szynszyle okazały się właśnie ładne, że srebrne lisy wracają do łask, bo zaprzestano ich masowej hodowli, że... i tak dalej. Hodowcy nurków na całym świecie posinieli ze zmartwienia. Ale nie na długo. Po prostu postanowili dalej szukać sprzymierzeńców w świecie kobiecym, w tym świecie, który w dziewięćdziesięciu procentach żyje ułudą, modą i tym co noszą inne. Hodowcy nurków sprzymierzili się bowiem ostatnio z... potentatami kosmetycznych firm.

— Nie chcecie nosić nurkowego futra? Za tanie? Za przystępne? Proszę bardzo. Nurki, to nie tylko skórka. To także tłuszcz — jedyne na świecie, które teźże skórce nadawały blask i połysk i czyniły ją tak odporną, tak nie do zdarcia. Jeżeli, drogie panie, wygładałyście pięknie w nurkach, to dlatego, że ich długi włos, błyszczący, lśniący i giętki — nadawał waszej cerze specjalny blask. Twarz wasza, drogie panie, wychylająca się niedbale z wysokiego, nurkowego kołnierza — miała poblask perły. A dlaczego? Dzięki nurkowemu tłuszczowi, który pokrywał futerko. Nie chcecie nosić nurków? W porządku. Damy wam wzamian coś o wiele cenniejszego: kremy, emulsje, mleczka i zmywacze, wyrabiane z niepowtarzalnych, jedynych na świecie wspaniałych olejków, które wydziela ra swe futro mały gryzoń — nurek.

No i mamy nowe odkrycie: krem nurkowy zapewnia wieczną młodość, emulsja z tłuszczu nurkowego oczyszcza porę jak żadna inna i uodparnia cerę na przeciwnieństwa złej pogody. Nurki na włosy? Jak najbardziej! Szampon na nurku ożywia łamliwy włos, przywraca mu kolor i blask, konserwuje.

Trzy olbrzymie koncerty kosmetyczne o światowej sławie wypuszczają niedługo na rynek swoje „nurkowe“ preparaty. Ale co najciekawsze — beznamienne badania laboratoryjne, przeprowadzane przeważnie przez mężczyzn: lekarzy-skórników, chemików i naukowych kosmetyków — bo są tacy — potwierdziły w pełni fałsz reklamy jaką się dla tych preparatów lansuje. Podobno tłuszcz nurka jest rzeczywiście jedynym z najlepszych i najłżejszych tłusz-

ców w naturze. A więc drogie panie — nurki na twarz!

WYSTAWA STROJÓW 19 WIEKU

Na zakończenie parę słów o pewnej rewii mody, która przeszła niezauważona. A szkoda, gdyż londyńska wystawa strojów 19-go wieku była niezwykle interesująca. W jednej z londyńskich sal licytacyjnych mieliśmy taki przegląd mody datujący się od roku 1817, „najmłodszym“ zaś eksponatem była sukienka z roku 1908.

Na tej rewii-wystawie-aukcji kostiumolodzy teatralni, zbieracze i szara publiczność oglądali np. suknie noszone przez carową Wszechrosji — żonę Mikołaja I, oraz przez jej siostrę, pierwszą królową Rumunii. Najpiękniejsze suknie, poematy pracy, dobrego smaku i wysiłku rzetelnego rzemieślnika, usiane bukietami jedwabnych konwali, aksamitnych fiołków i muślinowych narcyzów, należały niegdyś do żony króla szwedzkiego. Ale najbardziej zaskakujące i romantyczne stroje były własnością słynnej Elżbiety Rumuńskiej, znanej lepiej pod swym poetyckim pseudonimem: Carmen Sylva. Królowa ta w zaskakujących jak na swoje czasy

strojach zaklinała cały czar swej romantycznej natury i suknie jej, już dzisiaj bardzo spłowiłe i z lekka zakurzone — wciąż jeszcze potrafią wskrziesić nastrój tamtych tak dawnych, beztroskich i romantycznych lat: oto atlasowy tren, haftowany w czerwone róże; dziwimy się wysiłkowi hafciarki, która pokryła suknię królowej ciężkim, szczerozłotym szlakiem. Oto aksamitne falbany, spiętrzone jedne nad drugimi usiane kryształowymi paciorkami. I oto znów róże, aplikowane najdrobniejszym ścięgiem. Cóż za wysiłek i jaka pomysłowość! Niedarmo świat sprzed pierwszej wojny światowej nazywał królowę-poetkę „Dziąką różą królewskich domów Europy“.

Największy jednak zachwyt wzbudzała „sukienka na stan macierzyński“, bardziej już nam współczesna, bo datująca się z roku 1906. I dzisiaj cieszy ona oczy nowoczesnej kobiety. Jest to frywolna szatka, uszyta z francuskiego szyfonu, podobita naturalnym jedwabiem chińskim koloru „policzków nowonarodzonego“. Tej macierzyńskiej sukni towarzyszy halka spieniona brukselskimi koronkami i tak piękna, że mogłaby nam, dzisiaj, służyć za balową suknię. K. E.

NAJLEPSZE PODARKI

Dla przyjaciół:

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — Wieczory pod dębem

Cena 42s., przes. 2/6

MINA TOMKIEWICZ — Bomby i myszy

Cena 35s., przes. 2s.

Dla przyjaciół angielskich:

**DAVID IRVING — Accident — The Death of
General Sikorski**

Cena 45s., przes. 1/6

W. S. KUNICZAK — The Thousand Hour Day

Cena 42s., przes. 4/6

w KSIĘGARNI S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

ALICJA POMIAN-POŻERSKA

NAJLONOWE SKRZYDŁA

POEZJE

ilustrowane drzeworytami

STEFANA MROŻEWSKIEGO

Słowo wstępne napisał

LEONIDAS DUDAREW OSSETYŃSKI

Druk i oprawa graficzna Oficyny Poetów i Malarzy

Stron ponad 235

• *8 drzeworytów*

• *Cena \$ 4.75*

SAMARYTANIN

SEWILSKIEGO zabrali do szpitala — powitała mnie żona po powrocie z biura.

— Wypadek? — przestraszyłem się.

— Nie, na obserwację. Ma podobno coś z nerkami, czy wątrobą, Sewilska nie jest pewna i lekarze także nie, i właśnie dlatego zabrali go na obserwację. Sewilska myśli, że to od whisky — poinformowała mnie jednym tchem żona.

— Co ona tam wie! — oburzyłem się — Whisky to najzdrowszy alkohol. Nigdy nie słyszałem, żeby komu miało zaszkodzić.

— A pamiętasz, jak chorowałeś po imieninach doktora Dojdy? — zaatakowała żona. — Nawet nie mogłeś na drugi dzień iść do biura.

— To wcale nie było od whisky — zaprotestowałem. — Sałatka śledziowa była trochę nieświeża.

— Tak? I tylko tobie jednemu zaszkodziła, prawda? — ironizowała moja o wiele lepsza połowa. — Mów to komu innemu, mój kochany. Przez cały wieczór lałeś w siebie ten szkocki nektar, więc nic dziwnego, że na drugi dzień wyglądałeś, jak nieboskie stworzenie.

Widząc, że rozmowa przybiera charakter wycieczek personalnych, czemu jestem z zasady przeciwny, zmieniłem zrezygnownie temat.

— Długo ma być w szpitalu? — zapytałem.

— No, chyba jakieś dwa tygodnie — żona pochwyliła przynętę. — Sewilska sama nie wie. W każdym razie obiecałam jej, że do niego pójdziemy we czwartek, bo ona wtedy nie może.

Skrzywiłem się.

— Wiesz przecież, że na mnie atmosfera szpitalna działa przygnębiająco — powiedziałem z niesmakiem. — A przecież to nic poważnego, taka obserwacja.

— Nie wykręcaj się, mój drogi — oburzyła się żona. — Gdyby tobie pozostawić w tej sprawie wolną rękę, to swoich przyjaciół oglądałbyś dopiero na marach. Skąd wiesz, co u niego lekarze wykryją? Może to coś na prawdę poważnego?

— Poważnego? — wzruszyłem ramionami. — Tydzień temu u Astra-chańskich żona go musiała uspokajać, tak się rozbawił, pamiętasz? Upierał się, że zademonstruje Tarzana na żyrandolu w jadalni. Tak się nie zachowuje poważnie chory człowiek.

— Co ty wiesz o tych sprawach? — z pogardą rzuciła mi w twarz towarzyszka mego życia. — Ciężko chorzy miewają właśnie takie wybryki. Płomień często wybucha mocniej przed zgaśnięciem.

Z doświadczenia wiem, że kiedy żona zaczyna używać kwiecistych porównań, to w chwilę potem wjedzie na arenę jej nieboszczka mama, jako broń decydująca i najcięższa. Wobec tego wycofałem się dyskretnie na upatrzone z góry stanowiska.

— Jak uważasz, moja droga — zgodziłem się.

Sewilski wyglądał wręcz kwitnaco. Niedbale rzucił przyniesione przez nas czekoladki na stos rozmaitych podobnie wyglądających paczek przy łóżku i zaczął bawić moją żonę doskonałymi zresztą kawałami ze szpitalnego życia.. Trochę mnie to zgniewało, bo my tam w biurze mamy z powodu jego nieobecności więcej roboty, a tu on sobie leży, je, śpi, na telewizję patrzy, jak gdyby nigdy nic.

— Nie boisz się, że to coś poważnego? — zapytałem.

— Ach, skądże! — wzruszył lekceważąco ramionami. — Po prostu sprawdzają dla pewności. W naszym wieku to zupełnie normalne. Tobie by się też przydało.

Tu, korzystając z odwrócenia się mojej żony, nachylił się ku mnie i szepnął:

— Popatrz no na tę pielęgniarkę, tam na prawo! Pierwsza klasa, co? I wesola kobitka przy tym, że prosię siadać.

Spojrzałem. Rzeczywiście, pielęgniarka była wybitnie ładna. Ogarnięty zazdrością, właśnie miałem zrobić jakąś uszczypliwą uwagę, kiedy nad moim uchem zahuczał tubalny głos:

— Józek, stary draniu, co ty tu

robisz w tej trupiarni? Na tamten świat się wybierasz, czy co?

Obejrzałem się. Za mną stał potężnie skonstruowany jegomość w wieku Sewilskiego i moim, wyciągając ku memu przyjacielowi potężną prawicę.

— Jak się masz, Zenek, stary koniu — przyjaźnie pozdrowił go Sewilski. — Mój kolega z wojska, Zenon Stąpajło — przedstawił nam przybysza..

Tymczasem Stąpajło rozsiadł się wygodnie przy łóżku Sewilskiego i grzmiał na całą salę:

— Niedobrze z tobą, Józek, jakeś się pozwolił łapiduchom do lazaretu zapakować. Jak tylko usłyszałem, że cię wsadzili do szpitala, to powiedziałem sobie, że muszę cię po starej znajomości odwiedzić i trochę ci ducha dodać, bo jak tu już jesteś, bracie, to z tobą kiepsko!

Sewilski uśmiechnął się z lekkim przymusem:

— No, no, nie jest jeszcze tak źle. Ja tu tylko na obserwacji.

— To się tak mówi. Mojego znajomego także zabrali na obserwację, a jak ze szpitala wyszedł, to — powiadam ci, bracie — dosłownie w kawałkach.

— To już pan przesadza! — zaprotestowała moja żona.

Stąpajło nachylił się ku niej konfidencjonalnie:

— Przesadzam? Moja pani, żeby mnie samego w separacie z wariata-ami zamknęli, jak ja przesadzam! A drugiemu koleżce, to przez pomyłkę zamiast innego pacjenta nogę oberżnęli. Koleżka cierpiał, znaczy się, na chroniczny katar, więc go wzięli na obserwację, jak Józka. Budzi się jednego ranka — a tu już po nodze! Maszyna się pomyliła.

— Jak to maszyna? — zapytał z niepokojem Sewilski, którego twarz nagle zaczęła tracić zdrowy, różowy kolor i upodabniać się odcieniem do malowanych na jasno-zielony kolor ścian.

— To ty, bracie, nic nie wiesz? — zaśmiał się pogodnie Stąpajło. —

Dokończenie na str. 40)

Teraz tu o wszystkim maszyna decyduje. Wszystkie, znaczy się, dane co do pacjenta wrzuca się do maszyny, korbką pielęgniarz zakręci, i wylatuje odpowiedź, co z facetem robić. Automatyzacja, postęp! Lekarze już nie mają nic do gadania.

— To niemożliwe! — oburzył się Sewilski. — Ja się nie zgadzam!

— Co ty tu masz do gadania? — uśmiechnął się koleżka z wojska. — Ty tu jesteś, znaczy się, numerek dla maszyny, i koniec. Maszyna każe nogę obciąć? Obetną nogę. Każę ci małpią nerkę wstawić? Wstawią małpią nerkę.

— Co za małpią nerkę? — zaniepokoił się coraz bardziej błądy Sewilski.

— Co ty, bracie, ręki na pulsie nie trzymasz? Postępów nauki nie śledzisz? W Ameryce, jak facetowi wstawili małpią nerkę, to dzisiaj — zamiast do biura chodzić — po drzewach skika i banany prosto z gałęzi spożywa. Wiadomo, wpływy małpiego organu.

— Chyba się coś panu pomyliło — zainteresowałem, widząc kroplisty pot na czole pacjenta. — Skądże by znowu nerka miała wpłynąć na zmianę ludzkiego charakteru?

Stąpajło obrzucił mnie pełnym politowania spojrzeniem.

— Pan szanowny gdzie pracuje, jeżeli można spytać?

— Na poczcie.

— To ja bym panu radził od czasu do czasu jakiś magazyn z opakowania wyjąć przed doręczeniem i trochę swoją wiedzę medyczną poszerzyć.

— Co pan znowu? — oburzyła się moja żona? — Mój mąż nie jest listonoszem! Pracuje w biurze.

— Listonosz także człowiek, proszę pani — odparł przyjaciel naszego przyjaciela. — A zawód zdrowy, na świeżym powietrzu, nie to, co w biurze. Pani szanowna wie przecież, czego się od siedzenia w biurze najłatwiej nabawić? .

— Proszę pana! — zaprotestowała żona.

— Ja tam nic nie mówię — ciągnął Stąpajło. — Ale jak już cię lekarze w swoje łapy dostali, Józek, to z tobą nieklawo. Testament zrobię?

— Zwariowałeś? — słabym głosem zaproponował Sewilski. — Ja tylko na obserwację...

— Jak sobie uważasz, bracie. Ale żonaty człowiek o żonie powinien także myśleć. Znałem takiego jednego — Franciszek mu było na imię — co jak go zaczęli obserwować na wątrobę, to się potem okazało, że wszystkie podróbki ma do chrzanu.

Sewilski przymknął oczy i oddychał ciężko, nie mówiąc. Na szczęście, w tej chwili rozległ się dzwonek, zwiastujący koniec wizyty. Podnieśliśmy się z krzesel.

— No, to cześć, Józek! Trzymaj się ciepło i nie daj sobie wyciąć, czego nie potrzeba, ha,ha! — zagrzymiał kumpel Sewilskiego. — Jak znowu będę w Londynie, to do ciebie zajrzę, żeby zobaczyć, co z ciebie jeszcze zostało!

Na ulicy Stąpajło zapytał:

— A państwo w którą stronę? Może podwieźć?

— Nie, nie! — pośpiesznie odpowiedziała moja żona. — My do autobusu. To stąd dwa kroki.

— Do autobusu? — zdziwił się tamten. — Miałem znajomego, co siedział w autobusie na piętrze, i autobus się przewrócił. Ślisko, zna-

czy się, było. Okropnie faceta paratało. No, ale w takim razie rączki całują. Może się kiedy jeszcze spotkamy u tego bidaka Józka. Muszę do niego wpaść znowu, żeby go trochę pocieszyć.

W autobusie żona skierowała się na dół, zamiast na piętro, jak zawsze.

— Chodźmy na górę — zaproponowałem. — Okropnie mi się chce palić po tym szpitalu.

— Idź sam — odpowiedziała ponuro. — Dzisiaj ślisko. Nie widzisz, jak pada?

A swoją drogą, ciekaw jestem, co oni Sewilskiemu wytną?

Wojciech Stefański

KSIĄŻKI NADESŁANE

SIENKIEWICZ ŻYWY, Gryf Printers, Londyn 1967, stron 207. Tom VI, serii „Żywych“. 16 rozpraw poświęconych różnym aspektom twórczości Henryka Sienkiewicza.

ZESZYTY HISTORYCZNE. Zeszyt trzynasty. Instytut Literacki, Paryż 1968, str. 240. Artykuły, wspomnienia, dokumenty, przedruki, recenzje i polemiki, listy do redakcji.

PRZEMIANY, dwumiesięcznik, przegląd myśli katolickiej, Rzym, marzec-kwiecień 1968, nr 2., str. 228. Treść numeru: Kościół, problemy, poezje, dwugłosy, dyskusje, relacje, recenzje, listy.

LEWY NURT. Zbiór rozpraw i artykułów pod red. dr. Józefa Żmigrodzkiego. Wyd. Centralnego Komitetu P.P.S. w Londynie. Zima 1967/68, str. 160.

Zofia Romanowiczowa: ŁAGODNE OKO BŁĘKITU. Powieść. Wyd. Libella — Paryż, 1968, str. 242.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. **Korespondencję** z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we **FRANCJI:** „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na **płd. Francję** — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); **W BELGII:** J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w **NIEMCZECH:** S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w **NORWEGII:** Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w **SZWAJCARII:** Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w **SZWECJI:** Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w **WŁOSZECH:** W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w **ARGENTYNIE:** „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w **AUSTRALII:** „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w **KANADZIE:** T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w **STANACH ZJEDN.:** J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. **ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH.** Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. **PRENUMERATA** — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. **Przedstawicielstwo w Wiedniu:** Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

jest bohaterem narodowym Grecji, imieniem jego nazwano ulice w Atenach i Thessalonice, w szkołach młodzież uczy się o jego wyczynach...

Matka jego, pani Leonarda Lambriandes, do dziś dnia nie może przyjąć do siebie po tym strasznym dla niej szoku. Jest zupełnie złamana. Gdy odwiedza swoją rodzinę w Polsce jest przedmiotem adoracji, pomocy i opieki zarówno sfer oficjalnych, wojskowych i organizacji sportowych (Jerzy był wielokrotnym mistrzem pływackim Polski, Grecji, Belgii, Węgier etc.), szczególnie ZBOWiDu, który chce nadać temu charakter polityczny, antyemigracyjny. Imieniem Jerzego jest nazywany jeden z Hufców Harcerskich... W rocznicę jego śmierci są odprawiane uroczyste nabożeństwa żałobne. Wyszła książka z historią jego bohaterskich czynów pt. „Agent Nr. 1” pióra T. Sztrumpf-Wojtkiewicza...

A my tu, na emigracji? A przecież należy on właściwie „do nas”. To tu mamy Związek b. Żołnierzy b. Sam. Brygady Karpackiej i SPK! Czyż nie mogłyby te organizacje nawiązać kontakt z Matką Jerzego I. Szajnowicza? Tak wrażliwą i czułą na każde słowo pociechy i pamięci o jej synu? Nadać mu pośmiertnie Złotą Odznakę SPK i odznakę Brygady? Byłoby to nadaniem pośmiertnym temu tak bohaterskiemu koledze. To przecież drobnostka a oznaczałoby, że to my a nie ZBOWiD ma prawo do Jerzego? Nie jestem pewien czy mój apel odniesie skutek, ale na wszelki wypadek podaję adres p. Leonardy Labrianides-Odos Mavrocorgato 18, Thessaloniki, Greece.

Z poważaniem

Jerzy P. Piątkowski
Sao Paulo

POSZUKIWANIE

Poszukujemy p. Franciszka KOZIARZA, b. legionisty. Przed wojną gospodarował na działce pod Poczajowem — osada „Zacisze”. Miał trzy córki: Wandę, Oleńkę i Jadwigę. Poszukuje go rodzina w kraju, która nie podała bliższych danych. Wiadomość prosimy kierować pod adres: **Polnischer Kriegsinvalidenverband e. V. Union Polish Invalids — 8 München 13, Gartenstr. 3/0, West-Deutschland.**

DO POPRAWIENIA

W artykule M. Kukiela: „Uwagi o nauczaniu historii na emigracji”, „Orzeł Biały”, nr 43:

Str. 1 zam. Chwościkiem powinno być: Chościskiem; str. 1 zam. dca eskadry powinno być: eskorty; str. 2 zam. Ziemo-myślawa powinno być: Ziemoysła; str. 2 zam. miała Anglia monarchię powinno być: monarchę. str. 3 zam. Nation generouse mais trubulante powinno być: Nation générale mais turbulente.

W artykule K. Brzozowskiej „Scena narodowa”, „Orzeł Biały” nr. 43 na str. 7 zam. niszczyły kary ma być: niszczyły kraj.



Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule, który poświęciłem pamięci prof. Zaleskiego w ostatnim nr-ze „Orla Białego” (Nr 43 — luty) wkradły się pewne nieścisłości, które pragnę sprostować z uwagi na dobro biografii tego zasłużonego Polaka.

Oto sprostowanie:

1. Alinea 3 brzmieć powinno jak następuje: „Urodził się 29. IX. 1882 w Kłonowcu w woj. Kieleckim. Szkoły średnie kończył w Radomiu i Łodzi. W latach 1901—1905 studiował na Politechnice Warszawskiej — Wydział Architektury. Jako prezes „Zjednoczenia Studentów Politechniki” i członek tajnego Związku Młodzieży Polskiej „ZET” zostaje zaangażowany w walkę o Szkołę polską w Królestwie, co powoduje kilkakrotne aresztowanie jego i osadzenie w Cytadeli w X-ym pawilonie. Uwolniony, bierze czynny udział w organizowaniu słynnego strajku szkolnego młodzieży polskiej w 1905 r. Stan zdrowia zmusza go do wyjazdu za granicę gdzie

poświęca się studiom humanistycznym z razą na Uniwersytecie w Monachium, potem w Paryżu, gdzie kończy również Szkołę Wyższych Studiów Społecznych. W 1907 r. wraca do Warszawy i przez cztery lata pracuje jako nauczyciel literatury polskiej w prywatnym szkolnictwie. Kontynuuje również swoją działalność konspiracyjną, jako członek Centralizacji ZETu i redaktor tajnego pisma „Kiliński”. Zagrożony nowym aresztowaniem wyjeżdża ponownie w 1910 r. do Paryża, zaoczny wyrok carski zamyka mu drogę powrotu do kraju”.

2. Habilitacja prof. Zaleskiego na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się w 1929 r. W roku 1937-ym zostaje profesorem zwyczajnym tegoż Uniwersytetu.

3. Prof. Zaleski z obozu w Buchenwaldzie wyzwolony został w maju 1945 i wrócił do Paryża.

Dziękując z góry za umieszczenie powyższego sprostowania, łączę wyrazy poważania

Czesław Chowaniec
Paryż

KRZYŻÓWKA Nr 602/68

ZNACZENIE WYRAZÓW

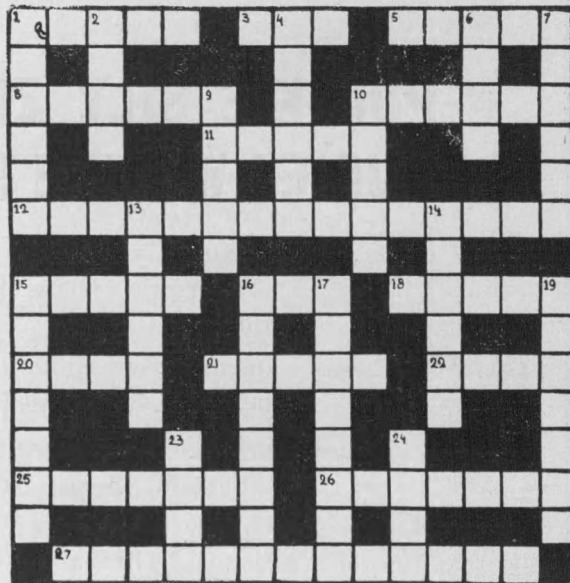
Poziome: 1) i 5) każdą robotę odkłada na później; 3) i 16) dzwonnik z Notre Dame; 8) najcięższy środek lokomocji (wspak); 10) ewangelista — malarz (wspak); 11) zboże; 12) cechuje ludzi szlachetnych; 15) i 18) jemu poświęcił Mickiewicz Trzecią Część „Dziadów”; 20) góry (wspak). 21) święta z Asyżu; 22) w architekturze i w dawnym wojsku; 25) zasługuje na pochwałę (wspak); 26) używała jej Kleopatra i Pompadour; 27) krok za linię?

Pionowe: 1) równa się prawdzie u Platona (wspak); 2) i 6) umiejętność rozumowania; 4) nasz święty, z Portugalii i Włoch; 7) niczego jej nie brak?; 9) uwikłanie, powiązanie; 10) „w zielonej sukience, ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce, wśród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem”; 13) z tej samej ziemi; 14) ogień w walce; 15) część rycerskiego ubioru; 16) „...król uczynił ucztę wielką na tysiąc książąt swoich i przed onym tysiącem pił wino”; 17) Webera — wolny; 19) skrót osobisty; 23) i 24) te, tamte i wszystkie inne.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 601/68

Poziome: 1) i 5) poliszynel, 3) zło, 8) krocie (wspak), 10) wojsko (wspak), 11) pacht, 12) ostatnie podrygi, 15) i 18) memorandum, 16) lew, 20) zali, 21) szmer, 22) kurs, 25) dumanie (wspak), 26) Tiepolo (wspak), 27) przebrać miarę.

Pionowe: 1) piekło, 2) i 6) licencja, 4) łapcie, 7) lewicy, 9) kpiny, 10) otrok, 13)



Adonis, 14) randka, 15) mizynek, 16) Liza-
zander, 17) wierność, 19) myszaty, 23)
dmie, 24) rogi.

Czy jesteś
członkiem
SPK?

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

KSIEGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

- Tom I cz. 1* — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. 30s
- Tom I cz. 2* — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września. 42/6
- Tom I cz. 3* — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeci kampanii, 9—14 września. 50s
- Tom I cz. 5* — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża. 30s
- Tom II cz. 1* — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941. 35s
- Tom III* — Armia Krajowa. 52/6

Prosimy
o odnowienie prenumeraty
na rok 1968

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław

BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU 35s

Sosnkowski Kazimierz

MATERIAŁY
HISTORYCZNE 63s

Rudnicki Jan

SŁOWA A CZYNY 65s

Narbut-Łuczyński J. A.

U KRESU
WĘDRÓWKI 52/6s.

Korboński Stefan

W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ 63s

Nowakowski Zygmunt

WIECZORY
POD DĘBEM 42s

Tomkiewicz Mina

BOMBY I MYSZY 35s

Grabowski Zbigniew

OJCZYŻNA EUROPA 50s

Kuniczak W. S.

THE THOUSAND
HOUR DAY 42s

Korboński Stefan

WARSAW IN EXILE 42s

Przesyłka każdej książki 4s.